



HARLEQUIN®

*tak smakuje
życie*

ORCHIDEA



**Skazani
na siebie**

Nora
Roberts

WYDAWCA: WYD. MIASTO WARSZAWY, ul. WARSZAWSKA 113, 01-030 WARSZAWA

SKAZANI NA SIEBIE

ROZDZIAŁ 1

Sto pięćdziesiąt milionów dolarów to nie była suma, na którą można by kichać. adna z osób znajdujących się w przestronnej bibliotece w Jolley's Folley by sobie na to nie pozwoliła. adna z wyjątkiem Pandory. Zrobiła to bez skrępowania, zasłaniając się tylko papierową chusteczką. Potem wysiąkała nos i odchyliła się, czekając, by krople, które dys-kretnie zapuściła, przyniosły jej oczekiwaną ulgę. Wiele by dała, eby nie złapać tego piekielnego przeziębienia. Co więcej, wołałaby znajdować się w tej chwili w jakimkolwiek innym miejscu na świecie.

Otaczały ją dziesiątki ksiąg, które przeczytała, i setki, których nie poznała, choć spędziła w tej bibliotece wiele godzin. Zapach skóry, w którą były oprawione, mieszał się z lekko wyczuwalną wonią kurzu. Pandora wołała to ni duszący aromat lilii umieszczonych w trzech wazonach.

W jednym rogu pokoju stał komplet szachów z marmuru i kości słoniowej, przy którym rozegrała z wujem Jolleyem niejedną partię. Wuj uwielbiał szachy. Jego przeciwnik nie powinien dać się zwieść okrągłej dobroduszej twarzy i niewinnemu spojrzeniu. Wuj z zapałem oszukiwał, ale Pandora za bardzo się tym nie przejmowała. Kochała wuja. Na dobrą sprawę było jej wszystko jedno, a wuj uwielbiał wygrywać - obojętne, uczciwie czy nie.

Kiedy ju kogoś kochała - a uczuciem tym obdarzyła niewiele osób w yciu - kochała całym sercem i duszą. Miała w sobie niepohamowaną energię i elazną nieustępliwość.

Kochała wuja Jolleya na swój spontaniczny, impulsywny sposób, akceptując wszystkie jego dziwactwa. Liczył sobie dziewięćdziesiąt trzy lata, ale nigdy nie był ani nudny, ani gderliwy.

Miał młodzieńczy sposób bycia i nietuzinkowe poczucie humoru.

Na miesiąc przed jego śmiercią poszli na ryby, prawdę mówiąc, kłusowali w stawie nale ącym do sąsiada. Kiedy złapali więcej pstrągów, ni zdołaliby zjeść, odesłali kilka właścicielowi - oczyszczonych i zamro onych. Nie wiedzieli, czy sąsiad był tym zachwycony.

Będzie jej brakowało wuja Jolleya. Patrzył teraz na nią z ogromnego portretu z charakterystycznym uśmiechem, jaki przybierał niezależnie od tego, czy robił milionowy interes, czy podawał wiceprezydentowi drinka. Ju za nim tęskniła. Nikt z jej rozsianej po świecie rodziny nie rozumiał jej i nie akceptował tak jak on. To jeszcze jeden powód, dla którego go uwielbiała.

Pogrą ona w alu, rozdra niona z powodu przeziębienia, słuchała Edmunda Fitzhugh, objaśniającego monotonnym głosem szczegóły testamentu wuja Jolleya. Maximillian Jolley McVie nigdy nie był mistrzem zwięzłego wypowiedzenia się. Zawsze powtarzał, e jeśli ma się coś zrobić, nale y to zapiąć na ostatni guzik. Jego testament i ostatnia wola były dobitnym potwierdzeniem tego przekonania.

Nie starając się nawet ukryć znudzenia, Pandora zaczęła przypatrywać się osobom zgromadzonym w bibliotece.

Nazwanie ich ałobnikami byłoby rodzajem złośliwego artu, który na pewno spodobałby się Jolleyowi.

Był tutaj jedyny yjący syn Jolleya, Carlson z oną. Jak te ona ma na imię? Lona?

Mona? Zresztą, co to ma za znaczenie. Siedzieli sztywno, przyobleczeni w czerń. Skojarzyli się Pandorze z krukami, które przysiadły na przewodzie telefonicznym, czekając na jakiś smakowity kąsek.

Była te kuzynka Ginger, słodka, śliczna, zupełnie nieszkodliwa, ale nie grzesząca nadmiarem inteligencji. Tym razem uło yła jasne włosy w stylu Jean Harlow. Ocię ały, nachmurzony kuzyn Biff wyglądał w czarnym ubraniu niczym jeden z braci Brooks. Siedział

rozparty w fotelu, ze skrzy owanymi nogami, jakby obserwował grę w polo. Pandora była pewna, e śledzi ka de słowo adwokata. Jego ona - czy to Laurie? - przybrała sztuczny, pełen szacunku wyraz twarzy. Pandora wiedziała, e nie odezwie się ani jednym słowem, chyba e po to tylko, by jak echo powtórzyć to, co powie Biff. Wuj Jolley uwa ał ją za głupią nudziarę. Pandora, choć niechętnie, przyznawała mu rację.

Wuj Monroe, jak zawsze zadowolony z siebie, palił cygaro, nie bacząc na to, e jego siostra, Patience, zawzięcie macha chusteczką. Mo e właśnie dlatego, pomyślała Pandora.

Wuj Monroe nade wszystko lubił robić siostrze na złość.

Kuzyn Hank wyglądał jak prawdziwy macho, silny i umięśniony, w czym dorównywała mu ona o posturze atletki, Meg. W czasie miesiąca miodowego przewędrowali całe Appalachy. Wuj Jolley zastanawiał się, czy przed pójściem do łó ka uprawiali gimnastykę.

Przypomniawszy to sobie, Pandora omal nie zachichotała. Szybko jednak przysłoniła usta chusteczką, po czym przeniosła wzrok na kuzyna Michaela. A mo e to był kuzyn z jakiejś bocznej linii? Słabo orientowała się w powiązaniach rodzinnych. Zdaje się, e jego matka była krewną wuja Jolleya poprzez drugie mał eństwo syna Jolleya. Okropnie to pogmatwane, pomyślała. Ale i Michael Donahue był skomplikowanym mę czyzną.

Wiedziała, e wuj Jolley wyró niał go spośród innych krewnych. Jeśli o nią chodzi, ktoś, kto zamiast zająć się czymś po ytecznym, zarabia na ycie pisaniem scenariuszy telewizyjnych seriali, jest pasoytem. Z przyjemnością przypomniała sobie, e kiedyś powiedziała mu to bez ogródek.

No i oczywiście nie mogło się obejść bez kobiet. Jeśli mę czyzna umawia się z dziewczynami z okładek i aktoreczkami, zapewne nie jest zainteresowany intelektualnymi dysputami. Pandora uśmiechnęła się, przypomniawszy sobie, jak wyraziła wprost swoją opinię, kiedy Michael ostatni raz odwiedził wuja Jolleya. Wuj się wtedy zaśmiewał.

Na dobrą sprawę ze wszystkich obecnych w tym pokoju to właśnie Michael Donahue troszczył się o starszego pana i przysparzał mu więcej radości ni ktokolwiek inny z rodziny, z wyjątkiem jej samej.

Pandora zatrzymała na nim wzrok. Wyglądał na mało zainteresowanego tym, co się wokół niego

dzieje. Przybrał nieco arogancką pozę, zacisnął wargi w linijkę. Pandora uwa-iała, e z całej twarzy Donahue właśnie usta są najbardziej pociągające.

Wujowi Jolleyowi Michael od razu przypadł do gustu, o czym zresztą powiedział

Pandorze. Sam był niski i okrągły i być mo e dlatego smukła sylwetka i pociągła, wyrazista twarz młodego krewnego wydały mu się interesujące. Pandorze te mo e by się podobał

Michael, gdyby nie jego spojrzenie, najczęściej nieobecne i obojętne.

W tej chwili wyglądał jak jeden z bohaterów swoich seriali. Niedbale oparty o ścianę, w eleganckim garniturze i krawacie, myślami błędzący daleko stąd. Ciemne włosy miał w nieładzie, jakby po jeździe kabrioletem zapomniał u yć grzebienia. Wyglądał na znudzonego całą tą sytuacją.

Pandora ałowała, e się nie zaprzyjaźnili. Chętnie porozmawiałyby o wuju Jolleyu z kimś, kto tak jak ona tolerował jego humory i fanaberie.

Nie ma sensu tak myśleć. adna z osób znajdujących się w bibliotece nie była sobie bliska. Wuj Jolley zgromadził ich tutaj, a teraz przypatrywał się im z portretu ze złośliwą satysfakcją.

Westchnęła, po raz kolejny wysiąkała nos i ponownie próbowała skupić się na słowach Fitzhugh, ale niewiele do niej docierało.

Jeszcze godzina, pomyślał Michael, a nie wytrzymam. Tkwił tu tylko dlatego, e kochał tego zwariowanego staruszka. Jeśli ostatnią rzeczą, jaką mo e jeszcze dla niego zrobić, jest przebywanie w tym pokoju ze stadem sępów i słuchanie zawilości testamentu, zrobi to.

Gdy tylko ten spektakl dobiegnie końca, naleje sobie brandy i wypije w samotności za spokój duszy starszego pana. Jolley uwielbiał brandy.

Kiedy Michael był jeszcze młodym chłopcem, pełnym zwariowanych pomysłów, które nie mogły liczyć na zrozumienie rodziców, wuj Jolley słuchał go cierpliwie i zachęcał

do marzeń. Ilekroć Michael przyje d ał do Folley, znajdował w osobie wuja cierpliwego i chętnego słuchacza swoich niestworzonych opowieści. Michael nigdy tego nie zapomniał.

Kiedy otrzymał pierwszy raz Emmy Award za jeden ze swoich seriali, *Ucieczka Logana*, przyleciał z Los Angeles do Catskills i wręczył statuetkę wujowi. Wciąż jeszcze stała w jego sypialni.

Michael słuchał jednostajnego głosu adwokata i marzył o papierosie. Rzucił palenie dopiero co, a dokładnie przed dwoma dniami, czterema godzinami i trzydziestoma pięcioma minutami.

Przytłaczała go obecność ludzi, których zgromadziła śmierć Jolleya. Uwa ali go za starego zwariowanego, choć nieszkodliwego, nudziarza. Posiadłość warta sto pięćdziesiąt milionów dolarów to jednak zupełnie co innego. Michael patrzył, jak wodzą taksującym wzrokiem po meblach w bibliotece. Mo e i nie były w ich guście, ale mo na by je przecie spienię yć. Wiedział, e wuj kochał te swoje stare wiktoriańskie meble.

Miał wątpliwości co do tego, czy ktoś z rodziny był w tym domu choć raz w ciągu ostatnich dziesięciu lat. No, z wyjątkiem Pandory, przyznał niechętnie. Mo e i jest irytująca, ale uwielbiała Jolleya.

W tej chwili wyglądała ałośnie. Michael nie przypominał sobie, by kiedykolwiek przedtem widział ją w tak opłakanym stanie. Bywała wściekła, pogardliwa, zniecierpliwiona, ale nigdy nie była nieszczęśliwa. Gdyby łączyły ich bardziej przyjacielskie stosunki, usiadłby teraz obok niej, wziął ją za rękę i spróbował pocieszyć. Jednak charakter ich znajomości go do tego nie upowa niał. Nie wiadomo, jak Pandora by zareagowała.

Jej zaskakująco niebieskie oczy były teraz zaczerwienione i opuchnięte. Była tak blada, e widać było wszystkie piegi na nosie, których, jako rudowłosa, miała bez liku.

Zazwyczaj jej skóra o odcieniu kości słoniowej była lekko zaró owiona - nie wiedział, czy było to oznaką zdrowia, czy raczej temperamentu.

W gronie ubranej na czarno rodziny wyglądała jak papuga wśród kruków. Miała na sobie sukienkę w ywym niebieskim kolorze. Podobała się Michaelowi, choć za nic by jej tego nie powiedział. Do wyra enia ałoby nie potrzebowała czerni, krepy ani lilii. To akurat rozumiał a nadto dobrze, choć nie potrafił porozumieć się z Pandorą.

Irytowała go czasami swoimi uwagami na temat jego stylu ycia i kariery. Zresztą, nie omieszkiał odplacać jej pięknym za nadobne. Była inteligentną, utalentowaną kobietą, która wolała zyskiwać sławę, wyrabiając bi uterię dla eleganckich butików, ni korzystać z dyplomu uniwersyteckiego.

Nazywała go materialistą, on ją idealistką. Przyczepiła mu etykietkę szowinisty, on jej pseudointelektualistki. Jolley słuchał i chichotał, ilekroć się kłócili. Teraz, kiedy odszedł, nie będzie ju okazji do sprzeczek. Dziwne, ale Michael uznał to za jeszcze jeden powód, by ałować, e wuj po egnął się z tym światem.

Prawda wyglądała tak, e z nikim z rodziny prócz Jolleya nie utrzymywał bli szych kontaktów. Jego ojciec bawił gdzieś w Europie z czwartą oną, a matka osiadła w Palm Springs z mę em numer trzy. Nigdy nie rozumieli syna, który postanowił zarabiać na ycie w czymś tak mieszczańskim jak telewizja.

Natomiast wuj Jolley pochwalał jego wybór. Więcej, akceptował to, co Michael robił, i to było najwa niejsze.

Szeroki uśmiech pojawił się na jego twarzy, gdy usłyszał, jak Fitzhugh mówi o zapisie testamentowym dla wielorybów. To w stylu Jolleya. Kilgoro zniecierpliwionych krewnych syknęło przez zęby. Przepadło właśnie sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Michael przeniósł

wzrok na ogromny portret wuja Zapewniałeś, e będziesz miał ostatnie słowo - zwrócił się do niego w duchu. Problem tylko w tym, e nie mo esz tego sam zobaczyć.

- „Memu synowi, Carlsonowi...” - Fitzhugh odchrząknął. Zaległa przejmująca cisza.

Bez większego zainteresowania Pandora obserwowała krewnych, słuchających w napięciu adwokata. Wymieniono zapisy dla słu by i na cele dobroczynne. Teraz przyszedł czas, by wytoczyć najcię sze działa. Fitzhugh na moment podniósł wzrok na zebranych. - „...którego...

miernota była dla mnie zawsze zagadką - kontynuował - zostawiam kolekcję sztuczek magicznych w nadziei, e potrafi wykrzesać z siebie choć odrobinę poczucia humoru”.

Pandora zasłoniła usta chusteczką i omal się nie zakrztusiła, widząc, jak Carlson się czerwieni. Brawo, wujku Jolleyu, pomyślała, przygotowując się na niezłą zabawę. A nu zapisał cały swój majątek ASPCA - Amerykańskiemu Stowarzyszeniu Zapobiegania Okrucieństwu wobec Zwierząt.

- „Mojemu kuzynowi Bradleyowi i jego onie Lorraine zostawiam swoje najlepsze yczenia Niczego więcej nie potrzebują”.

Pandora otarła łzy na wspomnienie rodziców. Zadzzwoni do nich wieczorem do Zanzibaru.

- „Mojemu kuzynowi Monroe, który w yciu grosza nie zarobił, zostawiam swój ostatni dolar oprawiony w ramkę.

Mojej kuzynce Patience zostawiam domek w Key West bez większej nadziei, e będzie potrafiła go u ytkować”.

Monroe sięgnął po cygaro. Patience wyglądała na przera oną.

- „Synowi mego siostrzeńca, Biffowi, zostawiam kolekcję zapalek w nadziei, e w końcu, podpali świat. Ślicznej córce mego siostrzeńca, Ginger, która kocha równie śliczne rzeczy, zostawiam srebrne lustro, które podobno nale ało kiedyś do Marii Antoniny.

Drugiemu synowi mego siostrzeńca, Hankowi, zostawiam sumę 3528 dolarów. Sądzę, e to wystarczy mu do końca ycia na nasiona pszenicy”.

Pomrukiwanie, które zaczęło się przy pierwszym zapisie, stawało się coraz głośniejsze. Zebrani z trudem opanowywali złość. Jolley nie mógłby pragnąć niczego więcej.

Pandora popełniła błąd, zerkając na Michaela. Nie sprawiał ju wra enia obojętnego i wyobcowanego, wydawał się pełen podziwu dla wuja. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, nie była w stanie dłu ej się powstrzymać i zachichotała. Zebrani popatrzyli na nią ze zgorzeniem.

Carlson wstał.

- Panie Fitzhugh - zaczął, tłumiąc gniew - testament mego ojca to zwykła farsa. To oczywiste, e sporządzając go, nie był przy zdrowych zmysłach i nie mam wątpliwości, e sąd go obali.

- Panie MacVie. - Fitzhugh ponownie odchrząknął. - Doskonale rozumiem pana odczucia w tej sprawie. Zapewniam jednak, e mój klient był w pełni władz umysłowych, kiedy spisywał testament. Co prawda, zredagował go nie tak, jak mu radziłem, ale testament jest legalny i ma moc prawną. Oczywiście mo e pan skonsultować się ze swoim prawnikiem.

- Bzdury - parsknął Monroe.

- Bzdury - powtórzyła jak echo Patience.

- Wuj Jolley lubił bzdury - włączyła się niespodziewanie Pandora. - Jeśli miałby ochotę zapisać swoje pieniądze towarzystwu na rzecz zapobiegania głupocie, miałby do tego pełne prawo.

- Łatwo ci mówić, moja droga. - Biff polerował paznokcie o klapę marynarki. Złota bransoleta od zegarka połyskiwała w promieniach słońca. - Mo e stary wariat zostawił ci kłębek sznurka, ebyś mogła robić więcej wisiorków.

- Jeszcze nie dostałeś zapalek, chłopie - zauwa ył leniwie Michael ze swego kąta i wszystkie spojrzenia skierowały się w jego stronę. - Uwa aj, co podpalisz.

- Pozwólcie czytać dalej - przerwała im Ginger, całkiem zadowolona ze swego spadku. Maria Antonina, zastanawiała się. Pomyśleć, Maria Antonina!

- Dwa ostatnie zapisy się łączą - zaczął Fitzhugh, zanim ktokolwiek zdą ył jeszcze coś powiedzieć. - I są trochę... niekonwencjonalne.

- Cały ten dokument jest niekonwencjonalny - parsknął Carlson.

Kilka głów skinęło potakująco.

Pandora zawsze unikała spędów rodzinnych. Śmiertelnie ją nudziły. Z całym rozmysłem ziewnęła, przysłaniając dłonią usta.

- Czy moglibyśmy kończyć, panie Fitzhugh, zanim moja rodzina do reszty się skompromituje? - spytała.

Wydawało jej się, choć nie była tego pewna, e dojrzała w oczach adwokata błysk aprobaty.

- Tę część testamentu pan McVie napisał własnoręcznie - powiedział prawnik. -

„Pandorze McVie i Michaelowi Donahue - ciągnął po krótkiej przerwie - dwóm osobom z mojej rodziny, które sprawiły mi najwięcej przyjemności swoimi poglądami na ycie, radością z przebywania ze starym człowiekiem i wysłuchiwaniami jego artów, pozostawiam resztę mego majątku na wyłączność, to jest wszystkie konta, wszystkie interesy, wszystkie obligacje, akcje, papiery wartościowe, wszystkie dobra osobiste, ruchomości i nieruchomości z całym swoim uczuciem. Do podziału w równych częściach”.

Pandora zerwała się z fotela.

- Nie mogę wziąć jego pieniędzy! - zawołała i podeszła do Fitzhugh. - Nie wiedziałabym, co z nimi zrobić. Tylko skomplikowałyby mi ycie. - Uderzyła dłonią w papiery le ące na biurku. - Powinien był najpierw mnie zapytać.

- Ale , panno McVie...

Zanim adwokat zdążył cokolwiek powiedzieć, Pandora rzuciła się do Michaela.

- Mo esz sobie zabrać wszystko. Ju ty będziesz wiedział, co z tym zrobić. Kup hotel w Nowym Jorku, kamienicę w Los Angeles, klub w Chicago i samolot, eby latać tam i z powrotem. Nie obchodzi mnie to nic a nic.

Michael z całym spokojem wsunął ręce do kieszeni i popatrzył Pandorze prosto w oczy.

- Doceniam tę propozycję, kuzynko. Mo e zaczekamy, a pan Fitzhugh skończy, zanim pociągniesz za spust.

Pandora popatrzyła na niego przez chwilę, po czym, tak jak ją uczono w dzieciństwie, zaczerpnęła głęboko powietrza i odliczyła w duchu do dziesięciu, by się uspokoić.

- Nie chcę jego pieniędzy - powtórzyła.

- Wyraziłaś się dostatecznie jasno. - Michael uniósł brwi w sposób, który zawsze ją irytował. Przybrał po części cyniczny, po części rozbawiony wyraz twarzy. - Zdziwiłaś rodzinę tym małym spektaklem.

Nie mógłby dobrać odpowiedniejszych słów, by odzyskała samokontrolę. Podniosła głowę, popatrzyła na niego butnie, po czym szybko spuściła z tonu.

- A więc dobrze. Przepraszam, e panu przerwałam - zwróciła się do Fitzhugh. -

Proszę kontynuować.

Prawnik skorzystał z chwili przerwy, by przetrzeć okulary. Kiedy jego klient sporządził testament, wiedział, e nadejdzie w końcu dzień, gdy jako wykonawca testamentu będzie musiał stanąć twarzą w twarz z rozwścieczoną rodziną. Rozmawiał o tym z Jolleyem, przekonywał go, tłumaczył, wskazywał na absurdalność zapisu.

- „Zostawiam to wszystko - czytał dalej - pieniądze, akcje, obligacje, które są potrzebne, choć nudne, interesy, które cię ą niczym kamień u szyi, i dom wraz z całym wyposażeniem, który jest dla mnie bardzo wa ny, bo wią ą się z nim wspomnienia, Pandorze i Michaelowi, poniewa się o mnie troszczyli. Zostawiam to im, bo nie ma w rodzinie nikogo, komu mógłbym przekazać to, co jest dla mnie wa ne. To, co nale ą do mnie, nale y teraz do Pandory i Michaela. Wiem, e zawsze będę ył w ich pamięci. Stawiam tylko jeden warunek”.

Michael uśmiechnął się pod wąsem.

- No, teraz będzie niespodzianka - mruknął.

- „W ciągu tygodnia od otwarcia tego testamentu Pandora i Michael wprowadzą się do mego domu w Catskills, znanego jako Jolley's Folley. Będą tam razem mieszkać przez sześć miesięcy i adne z nich

nie spędzi więcej niż dwóch kolejnych nocy pod innym dachem. Po sześciu miesiącach nieruchomości przejdzie na ich własność do równego podziału. Jeśli jedno z nich nie zgodzi się na te warunki lub wycofa się przed upływem sześciu miesięcy, majątek przejdzie na moich

ujących spadkobierców i na Instytut Badań nad Roślinami Mięso ernymi. Macie moje błogosławieństwo, dzieci. Nie zróbcie zawodu staremu człowiekowi, którego ju nie ma na tym świecie”.

Przez trzydzieści sekund panowała absolutna cisza. Fitzhugh zaczął składać papiery.

- Stary drań - mruknął pod nosem Michael. Pandora oburzyłaby się, gdyby nie to, e w tym akurat przypadku przyznawała mu rację. Atmosfera w bibliotece zagęszczała się, emocje rosły. Michael chwycił Pandorę za rękę i pociągnął ją do holu. Wbiegli do jednego z małych saloników.

- I co teraz? - Pandora po raz kolejny wysiąkała nos i opadła na fotel.

Michael zapomniał, e rzucił palenie, i sięgnął po papierosa.

- Musimy podjąć parę decyzji - oświadczył. Pandora rzuciła mu przeciągłe spojrzenie.

- Ja ju zdecydowałam - oświadczyła. - Nie chcę jego pieniędzy. Po podziale i opłaceniu podatku przypadnie po pięćdziesiąt milionów. Pięćdziesiąt milionów - powtórzyła, wznosząc oczy ku niebu. - To absurd.

- Jolley te tak uwa ał - przyznał Michael.

- On je miał tylko po to, eby się nimi bawić. Kłopot w tym, e ilekroć się bawił, pomna ał je. - Nie mogąc usiedzieć na miejscu, wstała i podeszła do okna. - Michael, zginę pod taką górą pieniędzy.

- Gotówka nie jest a tak cię ka, jak sądzisz. Pandora odwróciła się i usiadła na parapecie.

- Nie masz nic przeciwko pięćdziesięciu milionom, jak mniemam - zauwa yła z lekkim przekąsem.

- Có , mój stosunek do pieniędzy nie jest tak pogardliwy jak twój, Pandoro. Mo e dlatego, e kiedy dorastałem, były dla mnie mira em, a nie rzeczywistością.

Wzruszyła ramionami. Doskonale wiedziała, e jego rodzice zawsze yli głównie dzięki kredytom i znajomościom.

- Zabierz więc wszystkie - powiedziała.

Michael wziął błękitne jajko ze szkła i zaczął je przerzucać z ręki do ręki. Było chłodne, gładkie i warte kilka tysięcy.

- Jolley by tego nie chciał - zauwa ył.

- Chciał, ebyśmy się pobrali i yli długo i szczęśliwie. Chętnie bym go zadowolila, ale... nie stać mnie

na takie poświęcenie - dokończyła po chwili. - Nawiasem mówiąc, czy nie jesteś zaręczony z jakąś tancerką o blond włosach?

- Jak na kogoś, kto ze wstrętem odwraca się od telewizora, zdumiewająco dobrze orientujesz się w plotkach.

- Uwielbiam plotki - oświadczyła z takim przekonaniem, e a się roześmiała.

- Dobrze, Pandoro, zawrzyjmy rozejm. Nie jestem z nikim zaręczony, ale to i tak nie ma znaczenia, ponieważ zawarcie przez nas małżeństwa nie jest warunkiem realizacji woli wuja. Wszystko, czego od nas żąda, to ebyśmy przez sześć miesięcy yli pod jednym dachem.

Patrząc na Michaela, odczuła coś w rodzaju rozczarowania. Mo e nie przepadali za sobą, ale ceniła w nim to, e był przywiązany do wuja Jolleya.

- A więc rzeczywiście zamierzasz wziąć te pieniądze? - spytała.

Michael gwałtownie ruszył w jej kierunku, ale natychmiast się opanował. Pandora nawet nie drgnęła.

- Myśl sobie, co chcesz - powiedział obojętnie, jakby nie miało to adnego znaczenia.

- Ty nie chcesz pieniędzy, twoja sprawa. Czy zamierzasz przypatrywać się spokojnie, jak dom przechodzi w ręce tego całego klanu rodzinnego i paru nawiedzonych naukowców badających storczyki? Jolley kochał to miejsce i wszystko, co się tutaj znajduje. Odniosłem wrażenie, e ty te .

- Owszem. - Spadkobiercy sprzedadzą dom, pomyślała i przyznała w duchu rację Michaelowi. W bibliotece nie ma ani jednej osoby, która nie chciałaby spieniężyć domu.

Wtedy byłby ju dla niej stracony. Wszystkie te pretensjonalne pokoje, absurdalne bramy.

Jolley odszedł, zostawił dom niczym marchewkę, ale kij wciąż trzymał.

- On nadal próbuje sterować naszym życiem - zauważyła. Michael uniósł brwi.

- Dziwi cię to? - spytał.

- Nie - roześmiała się.

Obeszła wolno pokój. Michael obserwował ją z niejakim podziwem. Na ekranie wyglądałaby imponująco. Zawsze był tego zdania. Ta karnacja, włosy, postawa. Wyniosłość.

Parę kilogramów, które dodałaby kamera, nie zepsułoby tego zbyt kanciastego, trochę tyczkowatego ciała. Płomiennie czerwone włosy wydawałyby się na ekranie nieco bardziej stonowane ni w rzeczywistości. Zawsze się zastanawiał, dlaczego Pandora nie złagodziła trochę ich koloru.

Tak jak Pandorze, jemu te nie zależało na pieniądzach, ale nie dopuści do tego, by rodzinna zgraja szakali rzuciła się i rozdrapała to, co zostawił Jolley i co było mu tak drogie.

Jeśli dojdzie do starcia z Pandorą, trudno, dla dobra sprawy jest gotów i na to. Nawet sprawi mu to pewną satysfakcję.

Miliony przerażały Pandorę. Była przekonana, że tak dużo o pieniądzu może ją co najwyżej przyprawić o ból głowy. Te wszystkie obligacje, akcje, lokaty, fundusze. No i podatki. Woląла życie prostsze i skromniejsze. Choć oczywiście nikt nie uznałby jej mieszkania na Manhattanie za mało reprezentacyjne lokum.

Nigdy nie musiała się martwić o pieniądze i to jej odpowiadało. Poniżej albo powyżej pewnego poziomu były już tylko kłopoty.

Niewątpliwie spadek pomógłby jej w życiu zawodowym. Mogłaby sobie pozwolić na swobodę artystyczną, której tak bardzo pragnęła, i kontynuować styl życia, który trochę nad-wagę miał konto bankowe. Jej prace spotykały się z uznaniem krytyków, ale niewiele z tego wynikało. Poza Manhattanem uważa je za zbyt niekonwencjonalne. Musiała tworzyć wzory bardziej popularne, aby utrzymać się na powierzchni. A już pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt tysięcy pozwoliłoby jej...

Wściekła na siebie, przerwała te rozważania. Upodabnam się do Michaela, uznała. Prędzej umrę. On się sprzedał, swój talent, jaki by on był, rozmiął na drobne, a teraz z obecnych okoliczności postara się wyciągnąć korzyści finansowe. Jej myśli pobiegą innym torem. Przede wszystkim weźmie pod uwagę Jolleya.

Wyglądało na to, że czeka ją masa problemów. Musi dobrze zastanowić się nad poszczególnymi ruchami, tak jak to robiła, rozgrywając z wujem Jolleyem partię szachów.

Nigdy jeszcze nie mieszkała z mężem czynną i zrobiła to z całym rozmysłem. Właśnie swoim rytmem. Nie chodziło nawet o to, że nie chciała dzielić rzeczy, potrzebowała dla siebie własnej przestrzeni. Jeśli teraz przystanie na warunki wuja, będzie to jej pierwsze ustępstwo od dotychczasowego stylu życia.

Nie ulegało bowiem wątpliwości, że Michael jest na tyle atrakcyjny, że byłby niepokojący, gdyby nie był tak irytujący. Irytujący i łatwo wpadający w irytację, przypominała sobie z rozbawieniem. Wiedziała, który guzik nacisnąć. Czy nie szczyła się tym, że umie nad nim panować? Nie zawsze było to łatwe, był zbyt ostry. Ich kłótnie stawały się przez to bardziej interesujące. Zresztą nigdy nie przebywali razem dłużej niż tydzień.

Był jednak pewien argument niepodlegający dyskusji. Kochała wuja. Czy będzie mogła spokojnie żyć, jeśli sprzeciwi się jego ostatniej woli? A może jego ostatniemu artowi?

Sześć miesięcy. Zastanawiała się nad tym, patrząc na Michaela. Sześć miesięcy to bardzo długo, szczególnie jeśli nie sprawia ci przyjemności to, co robisz. Jest tylko jeden sposób, by przyspieszyć czas. Postara się potraktować tę sytuację jak dobrą zabawę.

- Powiedz mi, kuzynie - zwróciła się do Michaela - czy zdołamy przez sześć miesięcy mieszkać pod jednym dachem, nie kłócąc się i awanturując?

- Nie zdołamy - odparł.

Powiedział to tak spontanicznie, e a się roześmiała.

- Myślę, e w przeciwnym razie okropnie by mi się nudziło - rzuciła. - Za trzy dni mogę się wprowadzić. Góra za cztery - dodała.

- W porządku - odetchnął z ulgą. Sam nie wiedział, dlaczego w takim napięciu czekał, czy Pandora się zgodzi, ale nie chciał się teraz nad tym zastanawiać. - Załatwione. - Podał jej rękę.

- Załatwione - powtórzyła, zdziwiona,

e jego dłoń miała zgrubiałą skórę.

Spodziewała się raczej,

e będzie miękka i wydelikaccona. Kto wie, jakie jeszcze niespodzianki czekają ją w ciągu nadchodzących sześciu miesięcy.

- Powiemy im? - spytała.

- Chyba nas zamordują.

- Wiem - uśmiechnęła się. - Staraj się zachować spokój.

Gdy wyszli z saloniku, zastali w holu kilka osób z rodziny. Robili to, co udawało im się najlepiej, gdy się spotkali. Za arcie się kłócili.

- Roztrwonisz pieniądze na sztangi i sok marchwiowy - mówił Biff do Hanka. - Ja przynajmniej wiem, co robić z pieniędzmi.

- Stracisz na konie - wtrącił Monroe, wypuszczając dym z cygara. - Chybione inwestycje, odroczone podatki.

- A ty mógłbyś je przeznaczyć na kurs mówienia pełnymi zdaniami - włączył się Carlson. - Jestem jedynym yjącem synem staruszka. To ja powinienem dowieść, e nie był

przy zdrowych zmysłach.

- Był bardziej przytomny ni wy wszyscy razem wzięci - włączyła się Pandora, mocno zde gustowana uwagami rodziny. - Dał ka demu z was dokładnie to, co chciał, ebyście mieli.

- Wygląda na to, e nasza Pandora zmieniła zdanie co do pieniędzy - parsknął Biff. -

Có , dą yłaś do tego, prawda kochanie?

Michael poło ył dłoń na ramieniu Pandory i lekko je ścisnął.

- Mo e byś się wstrzymał ze swoimi insynuacjami, kuzynie.

- Wydaje się, że pisanie dla telewizji wyrobiło w tobie upodobanie do przemocy. - Biff pociągnął cygaro i uśmiechnął się. - Có , nie będę się wdawać w awantury - zdecydował.

- Tak będzie najlepiej - uznała ona Hanka i wyciągnęła rękę. Ucisnęła dłoń Pandory i Michaela. - Powinniście się trochę pogimnastykować, wzmocnić się. Chodźmy, Hank -

rzuciła w stronę męża.

W milczeniu, napinając mięśnie pod marynarką, Hank wyszedł za nią.

- Chodzące muskuły - podsumował Carlson. - Idziemy, Mono - zwrócił się do ony.

- Miłej jazdy do domu, wuju Carlsonie. - Pandora posłała mu najśłodszy uśmiech, na jaki było ją stać.

Patience zamachała nerwowo rękami.

- Key West, na litość boską, Key West. Nigdy nie byłam na południe od Palm Beach.

- Och, Michael. - Ginger zatrzepotała rzesami i położyła mu dłoń na ramieniu. - Kiedy będę mogła dostać swoje lustro?

Popatrzył na jej doskonale śliczną, trójkątną buzię. Oczy miała tak błękitne jak południowe morze. Podziękował Bogu, że wuj Jolley nie poprosił, by spędził pod jednym dachem sześć miesięcy z kuzynką Ginger.

- Jestem pewien, że pan Fitzhugh prześle ci je najszybciej, jak to będzie możliwe -

zapewnił.

- Chodź, Ginger, podrzucimy cię na lotnisko. - Biff wziął ją pod rękę i posłał uśmiech Pandorze. - Martwiłbym się, gdybym cię lepiej nie znał - powiedział. - Nie wytrzymasz sześciu dni z Michaeliem, a co tu mówić o sześciu miesiącach. Piekielny charakter - szepnął

porozumiewawczo do Michaela. - Zamordujecie się, zanim minie tydzień.

- Nie wydawaj jeszcze pieniędzy staruszka - ostrzegł Michael. - Wytrzymamy te sześć miesięcy choćby po to, aby ci zrobić na złość.

- Zobaczymy, kto wygra tę grę - odparował Biff, kierując się do drzwi. Ona wyszła za nim bez słowa. Od kiedy przyjechali, nie odezwała się ani razu.

- Biff, co zrobisz z tymi wszystkimi zapalkami? - spytała Ginger, gdy wychodzili.

Pandora odprowadziła ich wzrokiem.

- No có , Michael - zwróciła się do kuzyna - trudno powiedzieć, żeśmy się przedtem wszyscy kochali,

ale teraz to ju na pewno nie darzymy się sympatią.

- Martwi cię, e się im naraziłaś?

Wzruszyła ramionami i popatrzyła na niego z namysłem.

- Nie przyszło mi do głowy, by się martwić, e nara am się tobie, to czemu miałabym się martwić, i im się nara am?

- Jolley zawsze mówił, e jesteśmy zbyt do siebie podobni - stwierdził.

- Naprawdę? - Uniosła brwi. - I znów się z nim nie zgadzam. Ty i ja, Michaelu Donahue, nie mamy ze sobą prawie nic wspólnego.

- Przez sześć miesięcy będziemy mieli okazję się przekonać, czy masz rację. -

Podszedł do Pandory i odruchowo ujął ją za brodę. - Wiesz, kochanie, myślę, e z Biffem byś wytrzymała.

- Dałabym pierwszeństwo roślinom.

- Pochlebiasz mi - zachichotał.

- Bynajmniej. - Stała nieporuszona. To ciekawe uczucie stać tak blisko i nie warczeć na siebie. - Jedyne różnice między tobą a Biffem polega na tym, e ty mnie nie nudzisz.

- Wystarczy - uśmiechnął się. - Łatwo mi pochlebić. - Przesunął palec wzdłuż jej policzka. Była blada, ale patrzyła mu zdecydowanie prosto w oczy. - Masz rację, Pandoro, nie będziemy się razem nudzić. W ciągu sześciu miesięcy na pewno niejedno się wydarzy, ale nudno nie będzie.

To będzie interesujące doświadczenie, pomyślała, ale nie całkiem bezpieczne. Musi pamiętać o tym, e nie uwa a jej za pociągającą, ale gdyby mu pozwoliła, na pewno udawałby, e jest inaczej, choćby dla podbudowania męskiej ambicji.

- Nikomu nie zwykłam schlebiać - powiedziała. - Nie wiem, czym ty się kierujesz, ale ja biorę udział w tej farsie tylko przez wzgląd na wuja Jolleya. Sądzę, e bez trudu zainstaluję tu mój sprzęt do pracy.

- A ja będę tu mógł z powodzeniem pisać.

- Jeśli to, co robisz, mo na nazwać pisaniem - zauwa yła z przekąsem.

- To samo mógłbym powiedzieć o twoich błyskotkach, które nazywasz sztuką.

Policzki Pandory zaró owiły się, co sprawiło mu wyraźną przyjemność.

- O przepraszam, moja bi uteria wyra a uczucia - obruszyła się.

- Tak? Ile w tych dniach kosztuje namiętność?

- Myślę, e to raczej ty powinieneś być zorientowany w cenach. - Kichnęła i wytarła nos. - Większość kobiet, z którymi się umawiasz, wysoko się ceni.

- Myślałem, e rozmawiamy o pracy - zauważył z lekkim rozbawieniem.

- Mój zawód jest uświęcony tradycją, podczas gdy twój... twój to zwykła komercja. A ponadto...

- Bardzo państwa przepraszam...

W drzwiach biblioteki stanął Fitzhugh. Nie pragnął niczego więcej, jak odpocząć od klanu McVie i wypić spokojnie drinka.

- Czy mogę uznać, e zaakceptowaliście warunki testamentu? - spytał.

Sześć miesięcy. To będzie bardzo długa zima, pomyślała Pandora.

Sześć miesięcy. Byle do wiosny, pomyślał Michael.

- Mo e pan zacząć liczyć dni od końca tego tygodnia - powiedział do prawnika. -

Zgadzasz się, kuzynko?

- Zgadzam się - odparła, unosząc butnie brodę.

ROZDZIAŁ 2

Jazda od Manhattanu wzdłu rzeki Hudson w kierunku Catskills była bardzo przyjemna. Pandora lubiała tę drogę. Miała czas, by się odprężyć i uporządkować myśli. Teraz jednak nie była zrelaksowana. Trudno jej było zaakceptować sytuację, w jakiej się znalazła.

Przyzwyczajona zawsze robić to, na co sama ma ochotę, nagle musiała nagiąć się do czyjejs woli. Wuj Jolley zrobił jej nie lada kawał i postawił ją w trudnym położeniu.

Przewidział, e nie sprzeciwi się warunkom testamentu. I to nie ze względu na pieniądze. Znał ją na tyle dobrze, by wiedzieć, e jej nie skuszają. Słusznie liczył na to, e zrobi to ze względu na dom, na potrzebę kontynuowania tradycji rodzinnej. I tego właśnie od niej oczekiwał.

Musi opuścić Manhattan na sześć miesięcy. Oczywiście, e będzie wpadać do miasta od czasu do czasu na parę godzin, ale to jednak nie to samo, co w nim mieszkać. Lubiała miasto i jego atmosferę, odczuwała potrzebę przebywania w samym centrum wydarzeń, stymulował ją ruch, który ją zewsząd otaczał. Natomiast w długie weekendy wołała ciszę Jolley's Folley.

Tak została wychowana. Potrafiła cieszyć się i korzystać, ile się da, z otoczenia, w którym przebywa. Jej rodzice prowadzili cygański tryb życia. Tyle e zamiast wozami podró-

owali wagonami pierwszej klasy. Było ich na to stać. I zamiast ogniska w obozie, mieli kominek w salonie.

Zanim skończyła piętnaście lat, objechała ponad trzydzieści krajów. Jadła sushi w Tokio, włączyła się po wrzosowiskach Kornwalii, targowała się z handlarzami na tureckich bazarach. Jeździli z nimi nauczyciele prywatni, a więc, jak obliczyła, zanim poszła do college'u, zaledwie dwa lata uczęszczała do szkoły.

Egzotyczne dzieciństwo w ciągłych podróżach pozwoliło jej poznać różnych ludzi, rozmaite style życia, różne zwyczaje kulinarne. I co dziwne, to zetknięcie z różnymi kulturami sprawiło, że zapragnęła mieć dom i przynależność do konkretnego miejsca.

Choć jej rodzice lubili podróżować i wszystko, co widzieli, utrwalali na papierze i na taśmie filmowej, Pandora brakowało stałego punktu odniesienia. Gdzie był dom? W tym roku w Meksyku, w następnym w Atenach. Jej rodzice byli znani dzięki swoim książkom i artykułom, ale Pandora pragnęła mieć korzenie. I stwierdziła, że musi je sobie znaleźć sama.

Wybrała Nowy Jork i wuja Jolleya.

A teraz, ponieważ stałym punktem odniesienia stał się wuj i jego dom, zgodziła się spędzić sześć miesięcy pod jednym dachem z irytującym mężem, aby móc odziedziczyć majątek, którego ani nie chciała, ani nie potrzebowała. Życie, co stwierdziła już dawno, niestety, przebiega w sposób skomplikowany.

Ostatni art Jolleya McVie, pomyślała, skręcając na podjazd do Folley. Cóż, mógł ich zmusić, aby czasowo razem zamieszkali, ale nie zdołał sprawić, by się polubili.

Czułaby się lepiej, gdyby miała pewność co do intencji Michaela. Czy perspektywa przejęcia milionów, czy uczucie do starego człowieka skłoniło go do zaakceptowania warunków testamentu? Wiedziała, że ostatni serial Michaela, *Ucieczka Logana*, od czterech lat cieszył się niezmiennym powodzeniem i że poza nim robił również inne programy telewizyjne. Jednak pieniądze same w sobie stanowiły pokusę. Bądź co bądź, wuj Carlson miał więcej, niż mógłby kiedykolwiek wydać, a jednak był gotów podjąć kroki, by podważyć testament.

Nie przejmowała się tym. Wuj Jolley postąpił tak, jak uważał za stosowne. Fitzhugh nadał jego woli obowiązujący kształt prawny. Jeśli cokolwiek ją martwiło, to obcowanie na co dzień z Michaeliem Donahue.

W związku z sytuacją, w jakiej się znalazła, dużo o nim myślała w ciągu ostatnich kilku dni. Nie była pewna, czy będzie jej sojusznikiem, czy wrogiem. Tak czy inaczej musi z nim mieszkać. W każdym razie w jego pobliżu.

Kiedy przybyła na miejsce, była zmęczona jazdą i przedłużającym się przeziębieniem.

Mimo że wysłała bagaże dzień wcześniej, w samochodzie miała jeszcze dwie walizki.

Otworzyła bagażnik, wyjęła jedną z nich i popatrzyła przed siebie na Jolley's Folley.

Wuj zbudował ten dom, gdy miał około czterdziestki, a więc dom liczył ju sobie ponad pół wieku. Ciągnął się w różnych kierunkach, jakby wuj nie mógł się zdecydować, gdzie go zacząć i gdzie skończyć. Prawda wyglądała tak, e nigdy nie chciał go skończyć.

Zawsze bardziej interesował go sam projekt, proces tworzenia ni ukończenie dzieła.

Bez skrzydeł bocznych dom sprawiałby raczej wra enie statecznego dworu z późnych lat dziewiętnastego stulecia. Ze skrzydłami wyglądał jak plątanina ścian, narożników i wieżyczek. Nie było w tym adnej symetrii, a Pandora zawsze wydawał się tak mocny jak skała, na której był zbudowany.

Niektóre okna były długie i wąskie, inne szerokie, jedne z ołowianymi ramkami, inne z drewnianymi ramami. Jolley wciąż zmieniał plany, co i rusz wpadał na nowy pomysł.

Kamień pochodził z jednego z jego kamieniołomów, drewno z jednego z jego tartaków. Kiedy postanowił, e zbuduje dom, zało ył własną firmę budowlaną. Wkrótce McVie Construction stało się jednym z pięciu największych przedsiębiorstw w kraju.

Nagle Pandora uświadomiła sobie, e będzie właścicielką połowy udziałów Jolleya w przedsiębiorstwie, i to nie tylko w tym jednym. Wejdzie w posiadanie walcowni, fabryki silników, wytwórni oliwek dla dzieci i słodyczy. W co, na Boga, się wdała?

Michael obserwował ją z okna na piętrze. Włó yła obszerny luźny akiet w trzech różnych kolorach, niebieskim, ółtym i różowym. Tym razem nie miała czerwonych od płaczu oczu i nie była blada, ale wyglądała na ponurą i zrezygnowaną. Tym lepiej. W czasie pogrzebu wuja korciło go, by ją pocieszyć, dodać jej otuchy, ale powstrzymała go świadomość, e okazywanie zbyt dużej sympatii takiej kobiecie jak Pandora mo e okazać się fatalne w skutkach.

Znał ją od czasów, kiedy oboje byli dziećmi, i ju wtedy zdecydował, e jest nieznośna i rozpuszczona. Chociaż, kiedy towarzyszyła rodzicom w ich wyprawach reporterskich, przez całe miesiące jej nie widywał, to jednak spotykali się na tyle często, by poczuć do siebie wzajemną antypatię. Michael ją tolerował, poniewa wiedział, e była przywiązana do wuja Jolleya, który ją bardzo lubił. Musiał te przyznać, e była bardziej ludzka i uczuciowa ni jego krewni.

Był taki moment, przypomniał sobie, kiedy mu się podobała jako dziewczyna. Był nią zauroczony, jak to często bywa u nastolatków. Zawsze miała intrygującą twarz. W jednej chwili mogła być nijaka, w następnej wręcz fascynująca. Ale nic między nimi nie zaszło. A teraz wołał inne kobiety, delikatniejsze, bardziej wyrafinowane, wypielęgnowane, kobiece i...

z mniejszymi zębami.

Niezależnie od tego, co wołał, przerwał urzędowanie gabinetu, by zejść na dół.

- Charles, czy nadeszły ju moje bagaże? - Pandora ściągnęła skórzane rękawiczki samochodowe i rzuciła je na stolik w holu. Charles, dawny lokaj, pracował u wuja, jeszcze zanim ona przyszła na

Świat.

- Nadeszły dziś rano, panienko. - Wziąłby jej walizkę, gdyby nie odprawiła go ruchem ręki.

- Nie, daj spokój. Dokąd je zanieśli? - spytała.

- Do pawilonu na wschodnim dziedzińcu, tak jak panienka kazała.

Uśmiechnęła się i pocałowała go lekko w policzek. Starszy pan był najwyraźniej uszczęśliwiony. Jego kwadratowa twarz buldoga zaczerwieniła się lekko.

- Wiedziałam, e mogę na ciebie liczyć - zapewniła. - Nie miałam jeszcze okazji ci powiedzieć, jak bardzo się cieszę, e ty i Sweeney zostaliście. Ten dom nie byłby ju taki jak dawniej bez twojej popołudniowej herbaty i bez ciasta Sweeney.

Charles wyprę ył się dumnie.

- Nie moglibyśmy odejść, panienko. Nasz pan chciałby, ebyśmy zostali.

Ale umowił wam odejście, pomyślała Pandora, zostawiając po trzy tysiące dolarów za ka dy rok słu by. Charles był u Jolleya, od kiedy zbudowano dom, a Sweeney przyszła dziesięć lat później. Spadek, jaki otrzymali, wystarczyłby im a nadto na spokojne ycie na emeryturze. Pandora uśmiechnęła się. Jak widać, niektóre osoby nie są stworzone do emerytury.

- Charles, marzę o herbacie - zaczęła, wiedząc, e jeśli go czymś nie zajmie, będzie się upierał, by wnieść na górę jej walizki.

- Podać w salonie, panienko? - spytał.

- Świetnie. A jeśli Sweeney ma trochę tych swoich małych ciasteczek...

- Piekła je przez całe rano. - Charles skierował się do kuchni.

Pandora pomyślała o słodkim lukrze, pokrywającym ciasteczka.

- Ciekawe, ile mo na przytyć w ciągu sześciu miesięcy - zastanowiła się głośno.

- Ciasteczka Sweeney na pewno ci nie zaszkodzą - odezwał się Michael. - Mę czyźni na ogół wolą trochę ciała ni same kości.

Uniosła głowę. Michael stał u szczytu schodów.

- Nie interesuje mnie, co wolą mę czyźni.

- Byłbym ostatnim, który by z tym polemizował - odparował.

Wygląda na zadowolonego z siebie, ma dobre samopoczucie, pomyślała z irytacją. A na dodatek jest

przystojny. Przechylił się przez poręcz schodów i patrzył na nią z góry tak, jakby to on był tu panem. Musi jak najprędzej położyć kres tej sytuacji. Wola wuja Jolleya nie pozostawia cienia wątpliwości. Równy podział wszystkiego.

- Skoro już tu jesteś, to może mi pomóc - powiedziała, wskazując na bagażnik.

Nie drgnął nawet.

- Zawsze mi się wydawało, że jedyną kwestią, w jakiej się zgadzamy, jest feminizm - zauważył z przekąsem.

- Niezależnie od poglądów społecznych i politycznych, jeśli mi nie pomożesz, zanim wróci Charles, on to zrobi. Jest na to za stary, a zbyt dumny, by przyznać, że nie może.

- Odwróciła się i nie była zaskoczona, gdy usłyszała za sobą kroki.

Odetchnęła głęboko świeżym jesiennym powietrzem. Tak czy inaczej dzień był piękny.

- Przyjechałeś rano? - spytała.

- W nocy.

Pandora wyprostowała się nad bagażnikiem.

- Tak ci było pilno, aby się tu znaleźć?

Gdyby nie to, że chciał zacząć ten wspólny pobyt pokojowo, podjąłby wyzwanie.

- Chciałem już dzisiaj urządzać gabinet. Właśnie kończyłem, kiedy przyjechałaś.

- Praca, praca i jeszcze raz praca - westchnęła przeciągle.

- Musisz tyrać jak wół, aby spędzić godzinę scen z polowania na przestępców.

Pokojowa atmosfera nie była wszystkim, co się liczyło. Kiedy sięgnęła po walizkę, chwycił ją za nadgarstek. Później pomyśli, jaki jest delikatny, szczupły. Teraz myślał tylko o tym, jak bardzo by chciał, aby była jego żoną. Wtedy mógłby jej pokazać.

- Moja praca i jej rezultaty nie powinny cię obchodzić. Pandora uzmysłowiła sobie ze zdumieniem, jaką radość sprawia jej jego zdenerwowanie. Wszyscy ich krewni byli tacy uprzejmi, opanowani. Michael zawsze stanowił ich przeciwieństwo, co czyniło go bardziej interesującym.

- A sprawiłam wrażenie, że mnie obchodzi? - spytała z miną niewiniątka. -

Zapewniam cię, że nic a nic nie mogłoby być dalsze od prawdy. Może damy temu spokój i napijemy

się herbaty? Robi się chłodno.

Zawsze z podziwem patrzył, jak w jednej chwili potrafi przeistoczyć się w damę. Jako autor scenariuszy doceniał jej wrodzony talent. Umiał te obrócić całą sytuację na swoją korzyść.

- Świetny pomysł - przyznał, biorąc jedną walizkę. - Omówimy parę wytycznych.

- Naprawdę? - Pandora wyjęła drugą walizkę i zamknęła bagażnik. Nie mówiąc nic więcej, poszła do domu i przytrzymała mu drzwi. Walizkę zostawiła w holu. Wiedząc, jak bardzo Michael lubi Charlesa, nie miała wątpliwości, że zanieśli ją na górę.

Pokój, w którym zawsze mieszkała, przebywając u wuja, znajdował się na drugim piętrze we wschodnim skrzydle. Sama go urządziła. Utrzymany był w bieli z nielicznymi kolorowymi akcentami. Błękitne poduszki, długie malowidło olejne w kolorach zachodzącego słońca, wysoki szkarłatny dzban wypełniony strusimi piórami.

Położyła torbę na łóżko, a kielich rzuciła na krzesło. Z zadowoleniem stwierdziła, że na małym kominku z marmuru płonie ogień.

- Mam nadzieję, że herbata już czeka - rzekła, gdy Michael wniósł walizki.

Popatrzył na nią przeciągle. Miała na sobie kaszmirowy sweter wciśnięty w spodnie.

Przypomniawszy sobie, co go w niej pociągało, gdy byli nastolatkami, i po raz drugi uznał, że wolałby, aby była jego żoną.

W milczeniu zeszli na dół. W salonie urządzonego przez wuja z bliskowschodnim przepychem Charles właśnie ustawiał filiżanki do herbaty.

- O, zapaliłeś w kominku. Jak miło - ucieszyła się Pandora i wyciągnęła rękę do ognia.

Potrzebowała chwili, by dojść do siebie. Gdy byli w pokoju na górze, zauważyła, że Michael obrzuca ją szczególnym spojrzeniem, pod wpływem którego zrobiło się jej gorąco.

Zaskoczyło ją to i wyprowadziło z równowagi. - Ja naleję, Charles. Myślę, że do kolacji nie będziemy już niczego potrzebować - dodała.

Rozejrzała się uważnie po salonie, z przyjemnością stwierdzając, że kwieciste zasłony, pokryte brokatem sofy z licznymi poduchami oraz zabytkowe wazy są na swoich miejscach.

- Wiesz, to zawsze był jeden z moich ulubionych pokoi - zwróciła się do Michaela i podeszła do stolika, by nalać herbaty. - Miałam zaledwie dwanaście lat, kiedy znalazłam się w Turcji, a ten pokój zawsze mi ją przypominał. Nawet zapach jest tu podobny jak na bazarach.

Cukru? - spytała.

- Nie, dziękuję. - Wziął od niej filiżankę, nalewał sobie na talerzyk ciasteczka i usiadł.

On wolał mały salonik utrzymany w angielskim stylu rustykalnym, znajdujący się koło wejścia. To początek, pomyślał. Sześć miesięcy, licząc od dzisiejszego dnia, we dwoje, w towarzystwie starego lokaja i kucharki jako świadków. Oboje zdecydowali się spełnić warunki, jakimi został obwarowany testament. Problem w tym, jak w praktyce zorganizować wspólne funkcjonowanie pod jednym dachem.

- Zasada numer jeden. - Michael od razu przeszedł do konkretów. - Oboje zamieszkamy w skrzydle wschodnim, bo tak będzie łatwiej dla Charlesa i Sweeney. Ale... -

zawiesił głos, by następne słowa wywarły większy efekt - będziemy przez cały czas szanować swoją prywatność i respektować terytorium drugiej osoby.

- Ale oczywiście. - Pandora pociągnęła łyk herbaty.

- Znowu przez wzgląd na słu bę, wydaje się wskazane, ebyśmy jedli o tej samej porze. I w imię naszego przetrwania powinniśmy w rozmowie unikać tematów związanych z naszą pracą.

Pandora uśmiechnęła się i Skubnęła ciasteczko.

- O, tak, pozostanmy przy tematach osobistych.

- Słyszę ton uszczypliwości w twoim głosie - zauwa ył.

- Skąd, cieszę się, e mamy taki udany start. A teraz zasada numer dwa. adne z nas, choćby nie wiem jak się nudziło, nie będzie przeszkadzać drugiemu w pracy. Ja zazwyczaj pracuję między dziesiątą a pierwszą, a po obiedzie między trzecią a szóstą.

- Zasada numer trzy - włączył się Michael. - Jeśli jedno z nas będzie miało gości, drugie się wyniesie.

Pandora uśmiechnęła się z lekka ironicznie.

- Och, a ja tak bardzo chciałam poznać twoją tancerkę. Zasada numer cztery. Pierwsze piętro jest terenem neutralnym. U ytkujemy je wspólnie, chyba e wyniknie jakaś nad-zwyczajna sytuacja, ale wtedy musimy to wcześniej uzgodnić. - Stukała palcem w poręcz krzesła. - Jeśli oboje będziemy postępować fair, nie powinno być problemów.

- Nie sprawia mi kłopotów zachowywanie się fair. O ile sobie przypominam, ty lubisz oszukiwać.

- Nie wiem, o czym mówisz - powiedziała Pandora lodowatym tonem.

- O kanaście, pokerze, bryd u - wyjaśnił.

- Nonsens, nie masz adnych dowodów. - Nalała sobie drugą fili ankę herbaty. -

Zresztą karty to coś całkiem innego. - Uśmiechnęła się do niego słodko. Rozgrzana ogniem z kominka i gorącą herbatą, od razu poczuła się lepiej. Michael uświadomił sobie, e tak szczególnie uśmiech nie

zwiastuje niczego dobrego. - Wciąż jeszcze masz do mnie al o te pięćset dolarów, które wygrałam?

- Nie miałbym, gdybyś je wygrała uczciwie - przyznał.

- Wygrałam je - trwała przy swoim. - I tylko to się liczy. Jeśli oszukiwałam, a ty się nie zorientowałeś, to znaczy, e oszukiwałam na tyle dobrze, e mo na to uznać za dopuszczalne.

- Zawsze posługiwałaś się pokrętną logiką. - Wstał i podszedł bli ej. Musiała przyznać, e podoba jej się sposób, w jaki się porusza. Lekko nonszalancki, ale zarazem zdecydowany. - Jeśli jeszcze raz będziemy grać, niezale nie od tego w co, ju mnie nie oszukasz.

- Michael, zbyt długo się znamy, ebyś mógł mnie zastraszyć - uśmiechnęła się.

Podniosła rękę, by delikatnie klepnąć go w policzek ale zdą ył chwycić ją za nadgarstek. Po raz drugi poczuła na sobie to szczególne, niebezpieczne spojrzenie.

Teraz nie mieli między sobą bufora w osobie wuja Jolleya.

Oboje uświadomili to sobie z całą wyrazistością. To, co sprawiało, e warczeli na siebie i skakali sobie do gardeł, będzie mogło się ujawnić przez najbliż sze pół roku.

Przypuszczalnie oboje nie chcieli, by tak się stało, ale byli zbyt uparci, by się wycofać.

- Mo e dopiero zaczynamy się poznawać - zauwa ył Michael.

Wiedziała, e to prawda, ale nie była z tego zadowolona. On nie był nadętym durniem jak Biff czy nieszkodliwym osiłkiem w rodzaju Hanka. Mo e i był krewnym tylko poprzez mał eństwo ciotki, ale oboje mieli gorącą krew i to ich łączyło. Była w nim pasja. Mo na to było poznać po jego spojrzeniu, sposobie poruszania się, po postawie. Jak gdyby cały czas był

nastawiony na odparowanie ciosów. Pandora od razu to wyczuła, bo i w niej była gwałtowność i pasja. Mo e dlatego miała nieodpartą potrzebę posyłania strzał w jego kierunku, by się przekonać, czy potrafi sprawić, by do niej wróciły.

Stali przez chwilę nieporuszeni, mierząc się wzrokiem, taksując wzajemnie.

Najmądrzejsze, co ka de z nich mogło zrobić, to ustąpić i cofnąć się o krok. Pandora uniosła butnie brodę. Michael zrobił to samo.

- Następnym razem staniemy na ringu, Michael - powiedziała. - Jestem trochę zmęczona po podró y. Pozwolisz, e pójdę do siebie.

- Zasada numer pięć - rzekł, nie puszczając jej ręki. - Jeśli któreś z nas zaatakuje, poniesie konsekwencje. - Puścił jej nadgarstek i sięgnął po fili ankę. - Do zobaczenia na kolacji, kuzynko.

Pandora obudziła się wczesnym rankiem, wypoczęta i pełna energii. Nie wiedziała, czy to wpływ górskiego powietrza, czy sześciu godzin głębokiego snu, ale a się rwała do pracy. Śniadanie mo e

zaczekać, orzekła. Wzięła prysznic, ubrała się i zeszła do ogrodu.

Lubiła spędzać poranki w samotności i ciszy, kiedy przebywała sam na sam ze swoimi myślami.

Dom był pogrąony we śnie. Słuba będzie jeszcze spać co najmniej godzinę lub dwie, a Michael, jak pamiętała, zwykł wstawać późno, około południa.

Kolacja poprzedniego dnia upłynęła im bez zakłóceń. Może byli dla siebie uprzejmi ze względu na obecność Charlesa i Sweeney, a może byli zbyt zmęczeni, żeby się sprzeczać.

Trudno jej było zdecydować.

Jedli przy dużym stole pod światłem ozdobnego girandola i w chwilach, kiedy nie milczeli, rozmawiali o pogodzie i jedzeniu.

O dziewiątej kiedyś poszło do siebie. Pandora chciała poczytać, Michael zamierzał pracować. W końcu razie tak twierdził.

Na dworze było chłodno. Podniosła kołnierz akietu. Trawnik pokrywała cieniutka warstewka lodu. Lubiła takie chwile - samotność, światło poranka, niewiarygodny zapach gór i rzeki.

Kiedyś w Tybecie o mało nie nabawiła się odmrożenia, przebywając za długo na śniegu.

Uważała, że okolice Catskills są nie mniej fascynujące. Zawsze najbardziej lubiła zimę, gdy brodziło się w śniegu, a z ust wydobywały się obłoczki pary.

Zima w górach była czymś zupełnie innym niż w mieście. Tam była czasem pracy, dyskusji, spotkań. W Nowym Jorku potrafiła godzinami spierać się o związki zawodowe, politykę, prawa człowieka, bo tak naprawdę kochała spory i debaty. Potrzebowała stymulacji, pragnęła wyzwań, które rozpałały jej umysł.

Bywały jednak i takie okresy, kiedy nie oczekiwała od życia niczego więcej niż widoku wschodu słońca nad górami i wypicia rozgrzewającego drinka przy kominku.

Zdarzało się to, choć rzadko się do tego przyznawała nawet przed sobą, że tęskniła za silnym męskim ramieniem, na którym mogłaby się wesprzeć. Została tak wychowana, by niezależnie -

nie traktować jak obowiązek, a nie wybór. Jej rodzice stworzyli partnerski związek, oparty na zasadach równości. Pandora uważała to za coś wyjątkowego w świecie, w którym szale zbyt często przechylały się to na jedną, to na drugą stronę. W wieku osiemnastu lat zdecydowała, że interesuje ją tylko pełne partnerstwo. W wieku lat dwudziestu doszła do wniosku, że nie nadaje się do małżeństwa. Całą swoją pasję, energię i wyobraźnię włożyła w pracę.

Opłacało się. Odnosiła sukcesy, była znana, osiągnęła spełnienie twórcze. Wielu ludzi nie może o tym nawet marzyć.

Otworzyła drzwi do pawilonu. Był to duży kwadratowy budynek, wielkości mniej więcej stajni, z podłogą z desek i panelami na ścianach. Wuj Jolley nie uznawał bylejakości.

Włączyła światło.

Skrzynie i paczki, które przyniesiono, stały pod jedną ścianą. Do drugiej przymocowano półki, na których wuj Jolley trzymał narzędzia ogrodnicze podczas krótkiego okresu zainteresowania ogrodem. Był tu też stalowy zlew i brodzik z prysznicem. Oświetlenie i wentylacja działały bez zarzutu.

Pandora uznała, że przekształcenie tego pomieszczenia w pracownię nie zajmie jej dużo czasu.

Trwało to trzy godziny.

Na półkach ustawiła pudełka z koralikami różnej wielkości, z kamieniami szlachetnymi i półszlachetnymi. W Nowym Jorku trzymała je w sejfie. Tutaj nie było takiej potrzeby. Ponadto miała skrzynie z narzędziami, butelki z chemikaliami, najprzeróżniejsze sznurki, sznureczki, łańcuszki i włki.

Wydała na te materiały cały spadek, jaki otrzymała po babce, i dużą część oszczędności zgromadzonych w czasie, kiedy dopiero praktykowała w zawodzie. Opłaciło się. Z całą pewnością się opłaciło.

W swoje wyroby wkładała całą duszę. Nie zdarzyło się jeszcze, by zrobiła dwa identyczne egzemplarze. To byłoby, jej zdaniem, rzemiosło, a nie twórczość artystyczna.

Czasem jej biuiteria była prosta, klasyczna w formie i ta sprzedawała się dobrze, pozwalając jej na pewną swobodę twórczą. Innym razem wzory były śmiałe, ekstrawaganckie, wyszukane. Pandora nigdy nie kierowała się wymogami mody, ale wyłącznie własnymi upodobaniami. Bardzo rzadko zgadzała się zrobić coś pod dyktando klienta. Zdarzało się to tylko wtedy, gdy zainteresował ją zaproponowany wzór lub sam klient.

Odmówiła prezesowi dużej firmy, bo jego pomysł wydał jej się zbyt banalny, ale wykonała pierścionek na prośbę znajomego rodziców, bo jego projekt uznała za nowatorski.

Teraz przygotowywała naszyjnik, który zamówił ma popularnej piosenkarki.

Wiedziała, że to dla niej ogromna szansa, z zawodowego i artystycznego punktu widzenia.

Jeśli naszyjnik się spodoba, będzie mogła pozwolić sobie na zrealizowanie swoich fantazji artystycznych.

Przez następne dwie godziny pracowała w złocie.

Od dwóch grzejników zainstalowanych w pawilonie biło gorąco. Pandorze i z wysiłku, i z wysokiej temperatury w pomieszczeniu pot spływał po plecach, ale nie zwracała na to uwagi. Za bardzo była zajęta pracą. Kiedy złoty drucik wyglądał już jak włos anielski, zaczęła mu delikatnie nadawać taki kształt, jaki sobie wymyśliła.

Naszyjnik będzie prosty i elegancki. Blasku dodadzą mu szmaragdy. To było jedyne wymaganie mę a piosenkarki. Naszyjnik miał być wysadzany szmaragdami, bo piosenkarka nosiła imię Emerald*.

Właśnie rozprostowywała zdrętwiałe ramiona, gdy nagle drzwi do pawilonu się otworzyły i stanął w nich Michael.

- Co, u diabła, tutaj robisz? - obruszyła się.

- Spełniam rozkazy. - Włó ył ręce do kieszeni marynarki. - Gorąco tu jak w piecu.

- Pracuję. - Otarła czoło fartuchem. Zirykowało ją, e przerwał jej pracę, a nie to, e zastał ją, gdy wyglądała jak hutnik. - Pamiętasz zasadę numer dwa?

- Powiedz to Sweeney. - Michael wszedł do środka. - Oświadczyła, e nie dość, e nie byłaś na śniadaniu, to jeszcze nie zjawiasz się na lunch. Tego ju za wiele. Mam cię przy-prowadzić. - Popatrzył z zaciekawieniem na tacę pełną kamieni.

- Jeszcze nie skończyłam.

Wziął jeden z szafirów i obejrzał go pod światło.

* Emerald (j. ang.) - szmaragd (przyp. tłum.).

- Musiałem ją powstrzymać - powiedział. - Chciała koniecznie przyjść sama. Jeśli nie pójdziesz ze mną, z całą pewnością tu się zjawi. A wiesz, e z trudem chodzi. Znów dokucza jej reumatyzm.

Pandora zaklęła pod nosem.

- Odłó to - powiedziała i zdjęła fartuch.

- Niektóre wyglądają na prawdziwe - zauwa ył. Odłó ył szafir, ale wziął brylant.

- Niektóre są prawdziwe - syknęła.

- Jak mo esz tak je tu trzymać? To nie cukierki. Powinny być w zamknięciu.

- Dlaczego? - zdziwiła się.

- Nie udawaj głupszej, ni jesteś. Ktoś mo e je ukraść.

- Ktoś? - uśmiechnęła się. - Nie ma tu wielu ktosiów. Myślę, e Charlesowi i Sweeney mo na ufać, ale mo e powinnam się niepokoić twoją obecnością.

Michael odłó ył brylant na tackę.

- To nie moja sprawa, kuzynko, ale byłbym ostro niejszy, mając pod ręką parę tysięcy, które jednym ruchem mo na wło yć do kieszeni.

W innych okolicznościach przyznałaby mu rację. Jednak znajdowali się nie na Manhattanie, lecz na odludziu. Jeśli materiał, z którego powstawała biuteria, będzie trzymała pod kluczem, za każdym razem, kiedy zechce wziąć się do pracy, będzie musiała na nowo wszystko wyjmować i rozkładać.

- Oto jeszcze jedna różnica między tobą a mną, Michael - powiedziała. - Myślę, że bierze się to stąd, że piszesz o różnych brudnych sprawkach.

- Piszę równie o naturze ludzkiej. - Wziął do ręki szkic naszyjnika. Narysowany był z precyzją, której nie powstydziliby się ręka architekta, a jednocześnie z lekkością i fantazją godną grafika. - Skoro cię pochłania wyrabianie bransolet i błyskotek, to czemu sama ich nie nosisz?

- Przeszkadzałyby mi w czasie pracy. Skoro piszesz o naturze ludzkiej, to dlaczego co tydzień łapią jakichś przestępców?

- Bo piszę dla ludzi, a ludzie potrzebują bohaterów. Pandora już miała otworzyć usta, by zaproponować, gdy zdała sobie sprawę, że zgadza się z tym stwierdzeniem.

- Hm - powiedziała tylko, zgasiła światło i wraz z Michaeliem opuściła pawilon.

- Przynajmniej zamknij drzwi na klucz.

- Nie mam klucza.

- A więc musimy po niego pójść.

- Nie potrzebujemy.

- Ty tak. - Zatrzęsął ze złością drzwiami. Pandora tylko wzruszyła ramionami.

- Michael, czy mówiłam już, że dzisiaj zrzędzisz bardziej niż zwykle?

Wyjął z kieszeni cukierka i włożył do ust.

- Rzuciłem palenie - oświadczył.

- Zauważyłam. Dawno?

- Dwa tygodnie temu. Szaleństwo dostaję - odparł. Roześmiała się i wsunęła mu rękę pod ramię.

- Przeżyjesz, kochanie. Pierwszy miesiąc jest najgorszy.

- Skąd wiesz? - zdziwił się. - Przecież nigdy nie paliłaś.

- Pierwszy miesiąc zawsze jest najgorszy. We wszystkim. Musisz przez cały czas być zajęty. Po lunchu spróbujemy pobiegać.

- My? - znowu się zdziwił.

- A wieczorem mo emy zagrać w kanastę. Prychnął tylko, ale odgarnął jej włosy z policzka.

- Przecie będziesz oszukiwać.

- Widzisz, ju nie myślisz o paleniu. - Roześmiała się, zwracając ku niemu twarz.

Wyglądał dość gburowato, ale nie ujmowało mu to atrakcyjności. Lalusiowata uroda zawsze ją nudziła. - Nie zaszkodzi, jeśli pozbędziesz się jednego ze swoich złych przyzwyczajzeń, Michael. Masz ich tak wiele.

- Lubię je - powiedział i popatrzył jej w oczy. Obdarzyła go miłym uśmiechem, co zdarzało się niezmiernie rzadko. Zapominał wtedy, jak bardzo go irytowała. Nie pamiętał, e nie pociągają go kobiety z cyganerii, rudowłose i chude. - Kobieta o twoim wyglądzie ma zapewne kilka własnych - odgryzł się.

- Jestem zbyt zajęta, by pielęgnować złe nawyki.

- Złe nawyki wy dostały się z puszk i Pandory.

- Razem z wszelkimi mo liwymi nieszczęściami. Myślę, e dlatego jestem ostro na z otwieraniem puszek - zauwa yła.

Michael przeciągnął palcem po jej policzku. Był to ten rodzaj gestu, który łatwo mógł wejść w nawyk. Miała rację, jego umysł był zajęty.

- Prędzej czy później będziesz musiała unieść wieko. Nie cofnęła się, choć czuła dziwne napięcie. Zresztą nigdy się przed niczym nie cofała.

- Lepiej, eby niektóre rzeczy pozostawały w zamknięciu - stwierdziła.

Skinął głową. Nie chciał dociekać, co ukrywała, skoro sama nie zamierzała tego ujawnić.

- Niektóre zamki nie są tak mocne jak powinny - zauwa ył tylko.

Stali blisko siebie, czuła ciepło promieni słońca na plecach i chłodny powiew wiatru na twarzy. Gdyby zbli ył się jeszcze o krok, zrobiłoby się jej gorąco. Nigdy w to nie wątpiła i zawsze tego unikała. On nie zawaha się przed niczym, ostrzegła się w duchu. Sięgnie bez wahania po wszystko, co jest w zasięgu ręki. Tak się składa, e teraz mogłaby to być ona, Pandora. Zaczekała chwilę, eby jej oddech się uspokoił, i poło yła rękę na klamce.

- Nie pozwólmy Sweeney czekać - powiedziała.

ROZDZIAŁ 3

„Ulice są niemal wyludnione. Samochód skręca za rogiem i znika. M y. Neony oświetlają kału e i dziury w jezdni. To raczej podejrzana dzielnica miasta. Nędzne kluby, podniszczone samochody.

Niewysoka, starannie ubrana blondynka idzie szybkim krokiem.

Jest zdenerwowana, najwyraźniej czuje się nieswojo w tym otoczeniu, ale nie znalazła się tu przypadkiem. W rękę ściska wilgotną od deszczu kopertę. Odskakuje, gdy obok przejeżdża samochód. Wreszcie staje przed wejściem do jednego z klubów. Waha się. Przekłada kopertę z ręki do ręki. Wchodzi. Z ulicy padają trzy strzały”. Michael usłyszał trzykrotne niecierpliwe pukanie do drzwi swego pokoju. Zanim zdążył odpowiedzieć, Pandora już była w środku.

- Wszystkiego najlepszego z okazji rocznicy, kochanie - powiedziała.

Uniósł głowę znad maszyny. Prawie przez całą noc myślał nad nowym odcinkiem.

Była dziesiąta rano, a on zdążył zaledwie wypić kawę. Wiele by dał za papierosa.

- O czym ty, u diabła, mówisz? - Sięgnął do miseczki z orzeszkami i zorientował się, że zostały już tylko dwa.

- Spędziliśmy ze sobą dwa tygodnie i jesteśmy cali i zdrowi. - Pandora podeszła bliżej i przejechała palcem po krawędzi biurka, zostawiając wyraźny ślad. - A mówili, że nam się nie uda - zaśmiała się.

Wyglądała na wypoczętą. Pachniała świeżością. Rude włosy odgarnęła do tyłu, miała na sobie sweter i luźne spodnie o dwa numery za duże. Michael nagle poczuł się tak, jakby właśnie wyczołgał się z piwnicy. Bluza od dresu rozdarła mu się na ramieniu już przed dwoma laty, ale wciąż ją nosił. Przed paroma tygodniami pomagał przyjacielowi malować mieszkanie. Plamy na dywanach świadczyły o upodobaniu do różowego koloru. Oczy paliły go tak, jakby spał z twarzą w piasku.

Pandora uśmiechnęła się do niego jak wychowawczyni do przedszkolaka.

- Ustaliliśmy zasadę, że nie będziemy wkraczać na terytorium drugiej osoby i zakłócać jej spokoju, gdy pracuje - przypomniał jej.

- Och, nie bądź drobiazgowy. - Uśmiech nie schodził jej z twarzy. - Zresztą nie dałeś mi swego planu zajęć. A o ile zdążyłam się zorientować, to jak na Ciebie wczesna pora.

- Właśnie zaczynam pracę nad nowym odcinkiem.

- Naprawdę? - Podeszła bliżej. - Hm, nie sądzę, by ci to zajęło dużo czasu.

- Dlaczego nie pobawisz się swoimi błyskotkami?

- Znowu jesteś złośliwy, a ja przyszedłam, aby cię zaprosić na wspólną wyprawę do miasta. - Przysiadła na brzegu biurka. Sama nie wiedziała, dlaczego zdecydowała się na tak przyjacielski ton. Może dlatego, że naszyjnik ze szmaragdów był już prawie gotowy, a rezultaty pracy nad tym zamówieniem przyniosły jej zadowolenie. A może dlatego, że w ciągu minionych dwóch tygodni znajdowała pewną przyjemność w przebywaniu w towarzystwie Michaela. Niewielką przyjemność, zaznaczyła w duchu. Nic ponadto. Zmrużył

podejrzliwie oczy.

- W jakim celu? - spytał.

- Sweeney prosiła, ebym zrobiła zakupy. Myślałam, e mo e chciałbyś się na chwilę oderwać od pisania.

Trafiła w dziesiątkę. Przez dwa tygodnie siedział kamieniem w Jolley's Folley. Rzucił okiem na maszynę.

- Ile czasu nam to zajmie? - spytał.

- Och, mo e dwie, trzy godziny. - Wzruszyła ramionami. Korcił go pomysł wspólnej eskapady do miasta. Zapragnął mieć trochę wolnego czasu i zmienić otoczenie. Jednak w maszynie wciąż tkwiła kartka papieru zapisana tylko do połowy.

- Nie mogę - odparł. - Muszę to skończyć.

- W porządku. - Pandora podniosła się z biurka, rozczarowana. Niepotrzebnie mu to proponowałam, uznała. Uwielbiała prowadzić sama samochód, słuchając radia. - Nie nad-werę sobie palców - rzuciła.

Zaczął coś gderać pod nosem,, ale po chwili przypomniał sobie o pustej miseczce.

- Kupiłabyś mi orzeszki pistacjowe? - spytał. Zatrzymała się w progu.

- Orzeszki pistacjowe? - Uniosła brwi.

- Tak. Prawdziwe. Nie farbowane na czerwono. - Wolałby paczkę papierosów. Dałby wiele za to, eby choć raz się zaciągnąć.

Pandora patrzyła na pustą miseczkę i omal się nie uśmiechnęła.

- Myślę, e mogłabym ci je kupić - powiedziała.

- I *New York Timesa* - dorzucił.

- Czy byś chciał mi zrobić listę?

- Bądź tak dobra. Następnym razem ja pojedę po zakupy dla Sweeney.

Zastanowiła się przez chwilę.

- A więc orzeszki i gazeta - powtórzyła.

- I kilka długopisów - dodał. Zatrzasnęła drzwi.

Minęły dwie godziny, zanim Michael uznał, że zasłużył na następną kawę. Akcja odcinka rozwijała się po jego myśli. Miłośnicy serialu będą mieli to, co lubią.

Pisanie dla telewizji sprawiało mu przyjemność. Niezależnie od tego, co myślał o tego rodzaju produkcji, cieszyło go, że co tydzień przykuwa do ekranów miliony ludzi, którzy śledzą z zapartym tchem losy stworzonych przez niego postaci.

Michael lubił swojego bohatera, Logana, którego wyposażył zarówno w zalety, jak i wady, by stał się bliski widzom. A że mu się to udało, dowodziły listy, jakie otrzymywał, i wskaźniki oglądalności. Serial przyniósł mu uznanie krytyki i nagrody, podobnie jak jednoaktówka, którą kiedyś napisał. Jednak sztukę obejrzało w najlepszym razie kilka tysięcy widzów, z czego znakomita większość nowojorczyków, a historię Logana śledzą miliony widzów w całym kraju. I to co tydzień.

Uważał, że telewizja ma w sobie coś magicznego i że kiedyś ma prawo do odrobiny magii. Według niego spędzanie czasu przed telewizorem nie było bezproduktywnym zajęciem.

Zamknął maszynę. Zapadła cisza. Wiedział, że w Folley będzie mógł efektywnie pracować. Nieraz to już robił, tyle że nigdy przez tak długi czas. Nie przypuszczał tylko jednego, że pisanie będzie przebiegało tak sprawnie i że będzie z tego czerpał satysfakcję.

Szczerze mówiąc, nie oczekiwał, że nadszpedzanie dobrze ułoży się jego stosunki z Pandorą. To nie arty, zamyslił się, obracając w palcach długopis.

Ścierali się, ale unikali większych scysji. Tak czy inaczej lubił te wieczory, kiedy grali w karty, choćby dlatego, że chciał ją przyłapać na oszukiwaniu. Dotychczas jednak mu się to nie udało.

Prawdą było to, że go pociągała. Tego nie było w scenariuszu. Na razie udawało mu się ignorować to uczucie, kontrolować je i tłumić. Ale kiedyś... Kiedyś, pomyślał, wstając, by rozprostować kości, być może zamknie jej usta pocałunkiem choćby po to, by się przekonać, jak to będzie. Ciekawość ludzi, ich charakterów i reakcji należała do jego zawodu.

Interesowało go, jak zachowałyby się Pandora, gdyby przyciągnął ją do siebie i całował tak długo, a osłabłaby w jego ramionach.

Roześmiał się na samą myśl o tym. Pandora osłabła? Kobiety takie jak ona nigdy nie słabną. Może by i zaspokoił ciekawość, ale dostałby pięścią w brzuch. Jednak kto wie, czy pocałunek nie byłby tego wart...

Nie była z kamienia. Nabral co do tego pewności pierwszego dnia, kiedy szli ramię w ramię z pawilonu do domu. Widział to w jej twarzy, słyszał w głosie. Od dwóch tygodni przepływały między nimi jakieś fluidy. A może od dwudziestu lat? - zastanowił się.

W obecności kobiet czuł się zupełnie inaczej niż w towarzystwie Pandory. Był

niespokojny, spięty, jakby stał przed wyzwaniem. To prawda, nie zwykł przejmować się kobietami.

Lubił je - ich kobiecość, ich szczególną siłę i słabość, styl bycia. Mo e w tym tkwiło źródło jego udanych związków, których jednak przezornie nigdy nie ciągnął zbyt długo.

Jeśli wiązał się z kobietą, to dlatego, e mu się akurat podobała i go pociągała. Nie myślał o tym, czym skończy się znajomość. Do niedawna uwa ał, e romans z Pandorą go nie interesuje. Był zaskoczony, gdy ostatnio raz czy dwa pomyślał o tym, czy by jej nie uwieść.

Uwiedzenie było oczywiście czymś zupełnie innym ni romans. Nie był jednak pewien, czy warto podejmować takie ryzyko.

Gdyby zaproponował jej kolację przy świecach lub spacer w świetle księ yca albo szaloną namiętą noc, zareagowałaby jakąś sarkastyczną uwagą. Co niewątpliwie wywołałoby jego złośliwą ripostę. I znów zaczęliby się kłócić.

W ka dym razie romans nie był tym, czego chciał. Był po prostu ciekaw Pandory.

Wcale nie ró nili się od siebie tak bardzo, uznał. Kuzynka mogła twierdzić, e nie mają ze sobą nic a nic wspólnego, ale Jolley był bli szy prawdy. Oboje byli porywczy, uparci i obsesyjnie wyczuleni na punkcie swojej pracy. On zamykał się na całe godziny z maszyną do pisania, ona ze swoimi narzędziami, palnikami i błyskotkami. W rezultacie ich praca zapewniała ludziom przyjemności. Poza tym, było to...

Przerwał rozmyślenia, zauwa ając, e drzwi pawilonu są otwarte. Dziwne, pomyślał, czy by Pandora ju wróciła? Jego pokoje znajdowały się na drugim końcu domu, daleko od gara u, mógłby więc nie słyszeć samochodu. Jednak prawdopodobnie Pandora wpadłaby, eby przynieść mu to, o co prosił.

Ju miał odejść od okna, gdy nagle dojrzał koło pawilonu jakąś postać otuloną płaszczem. Od razu poznał, e to nie Pandora. Ona chodziła wyprostowana, poruszała się zdecydowanie, energicznymi ruchami. Ta postać przemykała się chyłkiem, rozglądając się trwo liwie na boki. Niewiele myśląc, zbiegł na dół.

Na parterze niemal zderzył się z Charlesem.

- Pandora wróciła? - spytał.

- Nie, proszę pana. Powiedziała, e mo e zostanie w mieście trochę dłu ej. Nie powinniśmy się niepokoić, jeśli...

Ale Michael ju go nie słuchał. Wypadł z domu. Charles westchnął tylko i poszedł zapalić w kominku w salonie.

Owiał go wiatr i wtedy uzmysłowił sobie, e nie wziął płaszcza. Mimo to pobiegł w kierunku pawilonu. W zasięgu wzroku nie było nikogo. Nic dziwnego, pomyślał. Dokoła był

las i mnóstwo ście ek prowadzących w ró nych kierunkach.

Czy by jakiś dzieciak się tu plątał? - zastanawiał się. Pandora byłaby szczęśliwa, gdyby nie zgarnął jej pięknych kamieni. Znaczyłoby to, e miała rację.

Zmienił zdanie w chwili, gdy stanął w drzwiach pawilonu.

Pudełka były pootwierane. Kamienie walały się po podłodze. Wokół le ały rozrzucone kłębki łańcuszków i yłek. Panował nieopisany wprost bałagan. Narzędzia znalazły się na podłodze.

Schylił się i podniósł jeden szmaragd. Jeśli to był złodziej, stwierdził, to musiał być niezdarny i krótkowzroczny.

- O Bo e! - Pandora upuściła torbę i patrzyła przed siebie szeroko otwartymi oczami.

Michael odwrócił się. Była blada jak ściana. Zaklął pod nosem, ałując, e nie miał czasu, by przygotować ją na ten widok.

- Nie denerwuj się - powiedział, biorąc ją za ramię. Odsunęła go i weszła do środka.

Przez chwilę jeszcze stała jak skamieniała, nie wierząc własnym oczom. A potem wpadła w furję.

- Jak mogłeś?! - Jej twarz nabrała purpurowego koloru, oczy ciskały błyskawice.

Rzuciła się na niego z pięściami. Chwycił ją za rękę, zanim zdą yła go uderzyć.

- Zaraz ci... - zaczął, ale pchnęła go i przycisnęła do ściany. Chwilę trwało, zanim zdołał chwycić ją za nadgarstki i przytrzymać.

- Przestań. - Odsunął ją od siebie. - Masz prawo być wściekła, ale wyładowywanie się na mnie nic nie da.

- Zawsze wiedziałam, e potrafisz być podły - wycedziła przez zęby - ale nigdy nie sądziłam, e stać cię na coś tak okrutnego.

- Sądz sobie, co chcesz - burknął. Poczował, e Pandora dr y, i dodał łagodniejszym tonem: - Ja tego nie zrobiłem. Popatrz na mnie - poprosił. - Po co miałbym to robić?

- Sam mi to powiesz. - Była bliska płaczu, ale się opanowała.

Cierpliwość nie była jego mocną stroną, ale spróbował raz jeszcze.

- Pandoro, posłuchaj. Postaraj się myśleć trzeźwo choć przez minutę i posłuchaj.

Przyszedłem chwilę przed tobą. Zobaczyłem z okna, jak ktoś wychodzi z pawilonu, i natychmiast przybiegłem. Zastałem to, co widać.

Zrobiło jej się wstyd. Poczowała łzy napływające do oczu. Nienawidziła tego uczucia, wołałaby

nienawidzić Michaela.

- Puść mnie - powiedziała tylko.

Zapewne łatwiej zniósłby jej złość niż rozpacz. Ostro nie puścił jej ramię i odstąpił o krok.

- Nie minęło chyba jeszcze dziesięć minut od momentu, gdy widziałem kogoś wychodzącego z pawilonu. Myślę, że pobiegł do lasu.

Pandora usiłowała zebrać myśli i opanować złość.

- Mo esz iść - zdecydowała wreszcie z podejrzanym spokojem. - Ja posprzątam i zobaczę, czego brakuje.

Poczuł nieoczekiwany ucisk w gardle, słysząc taką zdawkową odprawę.

- Wezwę policję, jeśli chcesz, ale nie wiem, czy coś ukradziono. - Rozwarł dłoń i pokazał jej szmaragd. - Nie wyobraź sobie, by jakikolwiek złodziej zostawił tak drogie kamienie.

Pandora wzięła do ręki kamień. Poszukała wzrokiem naszyjnika, nad którym pracowała przez dwa tygodnie i po którym tyle sobie obiecywała. Delikatne złote łańcuszki były rozerwane, szmaragdy rozsypane. Do zniszczenia naszyjnika użyła jej własnych narzędzi. Pozbierała rozrzucone kawałeczki i z trudem pohamowała się, aby nie krzyczeć.

- To ten, prawda? - Michael podniósł z podłogi rysunek.

- Był ju prawie gotowy.

Pandora rzuciła resztki naszyjnika na stół.

- Zostaw mnie samą - poprosiła i zabrała się do sprzątania.

- Pandoro. - Michael chwycił ją za ramiona i potrząsnął.

- Do diabła, Pandoro, chcę ci pomóc.

Rzuciła mu przeciągłe, lodowate spojrzenie.

- Zrobiłeś dostatecznie du o, Michael. A teraz chcę zostać sama.

- W porządku, jak sobie uczysz. - Wybiegł z pawilonu i popędził przez trawnik. Był

wściekły. Po chwili jednak zatrzymał się, zaklął pod nosem i po raz kolejny tego dnia zamarzył o papierosie. Nie miała prawa go oskarżyć. Co gorsza, nie miała prawa czynić go odpowiedzialnym za to, co się stało. Wpędziła go w poczucie winy, a przecie na widok obcej osoby kręcącej się przy pawilonie zareagował natychmiast. Wcisnął dłonie w kieszenie i zerknął przez ramię na pawilon. Rozsadyła go złość.

Ona naprawdę myślała, e to jego sprawka. e był zdolny do tak podłego czynu.

Usiłował do niej przemówić, uspokoić ją. Odrzucała ka dą propozycję pomocy. To w jej stylu, pomyślał, zaciskając zęby. Zasługuje na to, by zostawić ją samą.

Ju miał się skierować do domu, gdy przypomniał sobie, jak bardzo była zaszokowana i zrozpaczona, gdy stanęła na progu pawilonu i zobaczyła, co się stało. Uznał się za głupca i zawrócił.

Kiedy otworzył drzwi pawilonu, zastał w nim taki sam rozgardiasz, jak wtedy, gdy wychodził. Na podłodze wśród rozrzuconych błyskotek i narzędzi siedziała Pandora. Płakała cicho.

Wpadł w typową dla mę czyzny panikę na widok kobiecych łez. Na dodatek był

absolutnie zaskoczony, e Pandora płacze. Nie wyobra ał sobie, e cokolwiek jest w stanie sprowokować ją do łez. Bez słowa podszedł do niej i objął ją ramieniem.

Zesztywniała. Mógł się tego spodziewać.

- Powiedziałam, e chcę być sama.

- Owszem, ale dlaczego miałbym cię słuchać? - Pogładził ją po włosach.

Miała ochotę przytulić się do Michaela i płakać w nieskończoność.

- Po prostu nie chcę, ebyś tu był - powiedziała.

- Wiem. Wyobraź sobie więc, e jestem kimś innym.

- Przyciągnął ją do siebie.

- Płacę tylko dlatego, e jestem wściekła - oświadczyła, przyciskając twarz do jego koszuli.

- Pewnie. - Pocałował ją w czubek głowy. - A więc ul yj sobie, płacz. Jestem do tego przyzwyczajony.

Uznała, e to tylko z powodu szoku i gniewu, ale go posłuchała. Łzy popłynęły szerokim strumieniem. Kiedy płakała, płakała całym sercem. Gdy skończyła, uznała sprawę za załatwioną.

Siedziała oparta o Michaela. Czuła się przy nim bezpieczna i nie zamierzała teraz się nad tym zastanawiać. Ogarnął ją wstyd, e potraktowała go podle. A on jednak wrócił i ją pocieszył. Któ by się po nim tego spodziewał? e potrafi być cierpliwy i troskliwy?

Odetchnęła głęboko i na moment zamknęła oczy.

- Przepraszam, Michael - powiedziała łagodnie.

Czy to mo liwe? Czy to naprawdę Pandora powiedziała?

- zdziwił się w duchu.

- Nie ma o czym mówić - skwitował.

- Owszem, jest. - Kiedy odwróciła głowę, jej wargi przesunęły się po jego policzku.

Zaskoczyło to ich oboje. Taki rodzaj kontaktu był właściwy przyjacielom... lub kochankom. -

Kiedy tu weszłam, nie mogłam zebrać myśli. Ja...

- Urwała, zafascynowana jego oczami. Czy to nie dziwne, jak mały może się stać świat, kiedy patrzysz w czyjeś oczy? Dlaczego nigdy przedtem tego nie zauważyła? - Muszę to wszystko poskładać.

- Wiem. - Przeciągnął palcem wzdłuż jej policzka. Był miękki i delikatny.

Delikatniejszy, niż się spodziewała. - Zrobimy to razem.

Jakie to proste, przytulać się i czuć bezpiecznie w jego ramionach.

- Nie jestem w stanie się skupić - powiedziała.

- Nie? - Jego wargi znalazły się niedaleko jej ust, zbyt blisko, by je zignorować, zbyt daleko, by poczuć ich smak. - Nie myślmy o niczym przez chwilę - zaproponował.

Kiedy dotknął ustami jej warg, nie odsunęła się. Przyzwoliła na to powodowana taką samą ciekawością, jaką i on odczuwał. Nie była to eksplozja ani szok, lecz test dla nich obojga. Oboje przeczuwali, że prędzej czy później to nastąpi.

Miała ciepłe, słodkie wargi. Znał ją tak długo, czy nie powinien tego wiedzieć? Jej ciało nie stawiało oporu, choć i nie było uległe. Może uległość wydałaby mu się zbyt łatwa.

Kiedy wsunął język w jej usta, zareagowała podobnie. Poczul ucisk w ołładku. Bliskość sprawiła, że zapragnął czegoś więcej, znacznie więcej niż zapach tego opalonego ciała, smak delikatnych ust.

Okazał się tak tajemniczy i zuchwały, jak się tego zawsze spodziewała. Miał silne ręce, zaborcze usta. Niekiedy zastanawiała się, jakby to było, gdyby ich znajomość przybrała właśnie taki obrót. Jednak za każdym razem tłumiała takie myśli, zanim zdołała znaleźć odpowiedź na pytania. Michael Donahue był niebezpieczny po prostu dlatego, że był

Michaelem Donahue. To ją pociągał, to znów odstręczał od siebie. Jego męczyzna tak na nią nie działał.

Teraz, kiedy ich usta się złączyły, wiedziała już, dlaczego tak było. W jego ramionach traciła pewność siebie i nie do końca nad sobą panowała. Z innymi mężczyznami było inaczej. Dotyk jego nieogolonego policzka nie sprawiał jej przykrości, choć myślała, że tak będzie. Przeciwnie, podniecał ją. Nie przeszkadzała jej twarda podłoga ani powiew chłodnego powietrza wdzierającego się przez

niedomknięte drzwi.

Czuła się bezpiecznie, jak w domu. A później, kiedy skubnął zębami jej wargi, miała wrażenie, że wchodzi na nieznaną ścieżkę. Lubiła nieznaną, a jednak, mimo całego swego doświadczenia, nigdy jeszcze nie odkrywała czegoś tak wyjątkowego, egzotycznego i przyjemnego.

Chciała posunąć się dalej, choć wiedziała, że powinna się zatrzymać.

Oderwali się od siebie niemal równocześnie.

- Cóż ... - Wyprostowała się i oparła ręce na kolanach. Nie mogła sobie pozwolić na powiedzenie czegoś, co mogłoby ją ośmieszyć w jego oczach. - Sądzę, że to stało się pod wpływem chwili.

- Tak myślę - odparł, wpatrując się w nią z ciekawością, ale i z lekkim niepokojem.

Poczuł odrobinę satysfakcji, widząc, jak splata nerwowo palce. - Nie spodziewałem się tego wszystkiego.

- Na ogół nie spodziewamy się różnych rzeczy. - Zbyt dużo o niespodziankach jak na jeden dzień, uznała. Podniosła się niepewnie z podłogi. Zrobiła błąd, chcąc się rozejrzeć dokoła, bo o mało znowu nie upadła.

- Pandora.. - przestraszył się.

- Nic się nie dzieje - uspokoiła go, potrząsając głową. - Nie mam zamiaru zemdleć. -

Obrzuciła wzrokiem pomieszczenie. - Wygląda na to, że miałeś rację. Należało zamknąć pawilon na klucz, a dodatkowo pochować kamienie i złoto.

Chyba powinnam być ci wdzięczna, że nie powiedziałeś „a nie mówiłem”.

- Możliwe powiedziałbym, gdyby to coś mogło zmienić.

- Zbierał szmaragdy rozrzucone po podłodze. - Nie jestem ekspertem, kuzynko, ale myślę, że to warte parę tysięcy.

- Jeden złodziej by ich nie zostawił - przyznała. Wzięła garść kamieni. Wśród nich lśniły dwa duże brylanty. - Ani tych - dodała.

Michael z przyzwyczajenia zaczął w myślach układać scenariusz wydarzeń. Akcje i reakcje, motyw i działanie.

- Załóżmy, że niczego nie brakuje - zauważył. - Ktokolwiek to zrobił, nie zamierzał ryzykować niczego więcej. Tylko wejść, narobić bałaganu lub zniszczyć.

Pandora westchnęła i przysiadła na stole.

- Myślisz, e to był ktoś z rodziny? - spytała.

- Mówili, e to się nie uda, e nie wytrzymamy ze sobą.

- Michael zastanawiał się przez chwilę. - Coś musi się za tym kryć, Pandoro. Coś, na co adne z nas nie zwróciło uwagi, gdy ustalaliśmy wytyczne. Nikt z rodziny nie wierzył, e będziemy w stanie spędzić sześć miesięcy pod jednym dachem. Faktem jest, e pierwsze dwa tygodnie minęły bezboleśnie. Ktoś z nich mógł się zdenerwować na tyle, eby nas poró nić.

Jaka była twoja pierwsza reakcja po wejściu do pawilonu?

- e to twoja sprawka. e chciałeś mi zrobić na złość. Właśnie o to im chodziło. Do diabła, nie znoszę, jak ktoś mną manipuluje.

- Przechytrzyłaś ich, gdy tylko odzyskałaś przytomność umysłu.

Zerknęła ku niemu, niepewna, czy powinna mu podziękować, czy jeszcze raz go przeprosić. Najlepiej było zrezygnować i z jednego, i z drugiego.

- To Biff - zdecydowała. - Taka podła sztuczka jest w jego stylu.

- Stawiałbym na Biffa wtedy, gdyby brakowało paru kamieni - powiedział Michael. -

Nie oparłby się pokusie.

- To prawda - przyznała. - Wuj Carlson...? Nie, to zbyt prostackie jak na niego. Ginger byłaby za bardzo zafascynowana brylantami, by zrobić coś więcej, ni tylko się nimi pobawić. Có , myślę, e nie ma większego znaczenia, czyja to sprawka - uznała. - Tak czy inaczej dwa tygodnie pracy poszło na marne. - Podniosła rozerwany łańcuszek. - Nigdy ju nie będzie taki sam - dodała. - Nic nie pozostaje takie samo, jeśli się przerabia.

- Czasem jest lepsze - zauwa ył. Potrząsnęła głową i podeszła do grzejnika.

- Tak czy inaczej muszę zacząć od nowa - postanowiła. - Powiedz Sweeney, e nie przyjdę na lunch.

- Pomogę ci zrobić porządek.

- Nie - sprzeciwiła się kategorycznie. - Dziękuję ci, Michael, ale nie. Muszę się czymś zająć. I chcę być sama.

Nie był zachwycony, ale rozumiał ją.

- Dobrze, a więc do zobaczenia na kolacji.

- Michael...

Zatrzymał się w progu i odwrócił. Mimo zmieszania wyglądała na stanowczą i zdecydowaną. Jak

zawsze. Mało brakowało, a byłby zamknął drzwi i wrócił.

- Mo e wuj Jolley się nie mylił - powiedziała.

- W jakiej sprawie?

- e mo esz mieć jedną lub dwie zalety.

- Wuj Jolley zawsze miał rację, kuzynko - uśmiechnął się - i dlatego wciąż pociąga za sznurki.

Zaczekała, a Michael zamknął drzwi. Pociąga za sznurki, rzeczywiście to prawda.

Zamyśliła się.

- Ale nie będziesz urządał mi ycia ani mnie swatał, wuju - powiedziała na głos. -

Zostanę wolna, swobodna, niezamę na. Zapamiętaj to sobie.

Nie była przesądna, ale miała wra enie, e słyszy wysoki, rechoczący śmiech wuja.

Podwinęła rękawy i zabrała się do porządkowania.

ROZDZIAŁ 4

dokładnym sprawdzeniu okazało się, e niczego nie brakuje. Pandora zrezygnowała zatem z zawiadomienia policji. Gdyby coś skradziono, miałoby to sens, ale w tej sytuacji nie dość, e nic by to nie dało, to jeszcze zostałaby napomniana, e pozostawiła pawilon niezamknięty na klucz. Jeśli wandalen był ktoś z rodziny - a co do tego z Michaeliem się zgodzili - oficjalne dochodzenie nadałoby tylko całej sprawie niepotrzebnego rozgłosu.

O, tak, prasa miałaby o czym pisać. Oczami wyobraźni ju widziała nagłówki w gazetach: „Rodzina przeciw rodzinie”, „Walka z powodu ekscentrycznej woli zmarłego”,

„Absurdalny testament”. Pandora uwa ała, e nikt obcy nie powinien się wtrącać w ich sprawy, e nale y je chronić i nie nadawać im rozgłosu.

Jeśli pojedyncza osoba z rodziny albo kilkoro krewnych obserwowalo, co się dzieje w Jolley's Folley, powinni sądzić, e uznała ten incydent za głupi i mało wa ny. Była zbyt dumna, by okazać komukolwiek, e otrzymała ogłuszający cios. Z praktycznego punktu widzenia zale ało jej na tym, by odkryć, kto się włamał do jej warsztatu i jak mu się udało wybrać najbardziej odpowiednią porę. Nie chciała zatem sprawiać wra enia, e cały czas ma pawilon na oku.

Michael nie nalegał na powiadomienie policji, poniewa jego rozumowanie szło tym samym torem. Udało mu się, dzięki zręcznym manewrom i dyskrecji, całkowicie oddzielić swoje ycie zawodowe od spraw rodzinnych. Był znany jako Michael Donahue, pisarz i scenarzysta zdobywający nagrody, a nie jako krewny Jolleya McVie, multimilionera. I chciał, eby tak zostało.

Ani Michael, ani Pandora nie zdradzili, e zamierzają, ka de na własną rękę, prowadzić potajemne prywatne śledztwo. Była to nie tyle kwestia braku zaufania, co przekonania, e ka de z nich zrobi to lepiej. Rozmawiali więc w czasie kolacji o sprawach obojętnych, nie poruszając tematu zdemolowanego warsztatu. A co wa niejsze, starannie unikali wzmianki o tym, do czego doszło między nimi w pawilonie.

Po dwóch kieliszkach wina i du ej porcji kurczaka w Pandorę wstąpiło nieco więcej optymizmu. Uznała, e mogło być gorzej, gdyby, na przykład, skradziono jej narzędzia Oznaczałoby to konieczność wybrania się na Manhattan i kolejną zwłokę w pracy. Za najbardziej irytujące uznała to, i ktoś ją szpieguje. Tylko w ten sposób bowiem dało się wytłumaczyć fakt, e intruz wtargnął do pawilonu w czasie, gdy ona przebywała w mieście.

Na tym przede wszystkim powinna się skupić.

- Zastanawiam się - zaczęła z pozorną obojętnością - czy Saundersonowie mieszkają w zimie w swojej posiadłości.

- Sąsiedzi znad stawu. - Michael sam pomyślał o posiadłości Saundersonów. Było tam parę miejsc, z których przez dobrą lornetkę mo na było bez trudu obserwować Jolley's Folley.

- O ile wiem, du o czasu spędzają w Europie.

- Hm. - Pandora przełknęła kęs kurczaka. - Zawsze lubili wyskakiwać to tu, to tam.

- Wynajmują czasem swój dom?

- Nic o tym nie wiem. Mam wra enie, e nawet kiedy wyje d ają, zostawiają część słu by. Jak się teraz nad tym zastanawiam, to wydaje mi się, e nie ma ich od paru miesięcy. -

Uśmiechnęła się. - Pamiętam, jak raz poszliśmy z wujem Jolleyem na ryby i Saunderson omal nas nie przyłapał. Gdybyśmy się nie schowali w chacie... - Urwała nagle, tknięta pewną myślą.

- Chata - podjął wątek Michael. - Mówisz o tej starej dwupokojowej ruderze, której Jolley u ywał jako domku myśliwskiego? Zupełnie o niej zapomniałem.

Pandora wzruszyła ramionami, jakby nie przywiązywała do tego wagi, ale intensywnie myślała nad ró nymi mo liwościami.

- Nieźle mu zalazł za skórę, zabawiając się jego kosztem - stwierdziła. - W ka dym razie złapaliśmy masę pstrągów, ob arliśmy się jak świnie, a resztę posłaliśmy Saundersonowi. Nigdy nam nie raczył podziękować.

- Fatalne maniery - przyznał Michael.

- Có , słyszałam, e jego babka była barmanką w Chelsea. Jeszcze wina? - Pandora nachyliła się ku niemu.

- Nie, dziękuję. - Uznał, e musi zachować trzeźwość umysłu, jeśli ma zrealizować plan, który właśnie zaczął się wykluwać w jego głowie. - Nalej sobie.

- Nie, wystarczy. - Odstawiła butelkę i posłała mu słodki uśmiech. - Jestem trochę zmęczona.

- Masz prawo. - Bardzo by mu odpowiadało, gdyby poszła wcześniej do łóka. -

Potrzebujesz przede wszystkim snu - powiedział.

- Z pewnością masz rację. - Oboje byli zbyt zajęci własnymi pomysłami, by zwrócić uwagę na to, jak nienaturalnie uprzejma stała się ich rozmowa. - Zrezygnuję ju nawet z ka-wy. Wezmę tylko kąpiel. - Udała, e ziewa. - A ty? Masz zamiar jeszcze pracować?

- Nie, rano zabiorę się do pisania ze zdwojoną energią.

- A zatem dobranoc, Michael. - Uśmiechnęła się i wstała od stołu. Odczekam trochę i wyjdę, zdecydowała w duchu.

- Dobranoc. - Gdy tylko światło w jej pokoju zgaśnie, postanowił, przystąpię do działania.

Pandora siedziała w ciemnym pokoju i nasłuchiwała. Minęło półgodziny.

Najtrudniejsze, co ją czekało, to niepostrze enie wymknąć się z domu. Reszta będzie prosta.

Drzwi pokoju zaskrzypiały, gdy je otwierała. Wstrzymała oddech i odczekała chwilę, zamieniając się cała w słuch. Cisza. Teraz albo nigdy, uznała i otuliła się płaszczem. Do kieszeni włożyła latarkę, dwa pudełka zapalek i lakier do włosów w sprayu. Dla samoobrony, gdyby ktoś wszedł jej w drogę. Wyszła do holu i zaczęła pomału schodzić na dół, sunąc plecami po ścianie.

Ale przygoda, pomyślała, czując znajome uczucie podniecenia. Nie odczuwała go od śmierci wuja Jolleya. Wymykając się z domu, pomyślała, jak bardzo ta sytuacja bawiłaby wuja. Księyc był jak rogalik, a niebo usiane gwiazdami. Nieliczne chmury ich nie zasłaniały.

A powietrze - głęboko zaczerpnęła tchu - było chłodne i rześkie. Rzuciwszy szybkie spojrzenie na okna pokoju Michaela, skierowała się do lasu.

Tutaj panowały egipskie ciemności. Choć drzewa były pozbawione liści, grube konary przysłaniały niebo, nie przepuszczając światła gwiazd. Wyjęła latarkę i świecąc na lewo i prawo, szukała ścieki. Nie spieszyła się. Nie chciała, eby przygoda skończyła się zbyt prędko. Szła powoli, nasłuchiwała i puszczała wodze fantazji.

Zewsząd dolatywały ró ne odgłosy. Wiatr unosił zeschnięte liście, szumiał wśród igieł

sosen i świerków. Co jakiś czas rozlegały się bli ej niezidentyfikowane pomruki. Mo e to lis, mo e szop, a mo e niedźwiedź, który jeszcze nie zasnął na dobre zimowym snem. Pandora lubiła dreszczyk emocji. Jeśli idziesz sama przez las nocą i nie przepadasz za aurą tajemniczości, trudno to nazwać przyjemnością.

Pandora przepadała za wszystkim, co tajemnicze. Ponadto cieszyły ją zapachy - sosen, ziemi, mroźnego powietrza. Lubiła być sama, a co więcej, lubiła, gdy czekało ją coś, co wymagało szczególnej uwagi i napięcia.

Ścieżka skręcała w lewo. Chata znajdowała się już niedaleko. Pandora zatrzymała się nagle, pewna, że usłyszała przed sobą jakiś szelest i zobaczyła przemykający cień. Zbyt duży jak na lisa. Przez moment przemknęło jej przez myśl, że może to niedźwiedź albo ryś.

Zaniepokoiła się. Co innego wyobrazić sobie spotkanie z którymś z tych drapieżników, a co innego zetknąć się z nim nos w nos. Ale szelest ucichł, a ona poszła dalej.

Co zrobi, jeśli okaże się, że chata nie jest pusta? Jeśli zastanie w niej jednego ze swoich drogich krewnych? Na przykład wujka Carlsona czytającego przy kominku „Wall Street Journal”? Albo ciocię Patience krzątającą się koło stołu ze szmatką do kurzu w ręku? Ta myśl byłaby śmieszna, gdyby Pandora nie przypomniała sobie zdewastowanego wnętrza pawilonu.

Zebrała się w sobie i ruszyła naprzód. Jeśli ktoś tam jest, będzie musiał się wytłumaczyć. Chata zamajaczyła tu przed nią. Wyglądała tak, jak należało się tego spodziewać - opuszczona, pusta i tajemnicza. Pandora trzymała nisko latarkę, skradając się do ganku i o mało nie krzyknęła, gdy pod jej ciężarem zaskrzypiały schody. Przyłożyła rękę do piersi, by uspokoić łomoczące serce. Potem pomału, ukradkiem podeszła do drzwi i przekręciła gałkę.

Drzwi otworzyły się z cichym skrzypnięciem. Odczekała dziesięć sekund, zanim odważyła się zrobić następny krok. Szybko omiotła wnętrzem latarką i weszła do środka.

W tym momencie poczuła, jak ktoś oplata jej szyję ramieniem, i upuściła latarkę na podłogę. Choć nie mogła wydobyć z siebie głosu, sięgnęła do kieszeni po spray. Nie zdążyła go użyć. Ramieniem obróciło ją o sto osiemdziesiąt stopni i znalazła się twarzą w twarz z Michaeliem. Jego pięść zatrzymała się o parę cali od jej twarzy, jej ręka z aerozolem kilka cali od jego oblicza. Znieruchomieli.

- Do diabła! - Michael opuścił rękę. - Co ty tu robisz?

- A co ty tu robisz? - warknęła. - I z jakiej racji rzuciłeś się na mnie? Mogłeś mi zniszczyć latarkę.

- O mało nie złamałem ci nosa.

Pandora schyliła się po latarkę. Nie chciała, aby widział, jak dręczyła jej rękę.

- Sądzę, że zanim zechcesz komuś zmiąć szyję, powinieneś sprawdzić, kto to jest.

- Szłaś za mną - parsknął.

Rzuciła mu lodowate spojrzenie. Starła się nadrabiać miną, choć kolana wciąż się pod nią uginały.

- Nie pochlebiaj sobie. Chciałam po prostu sprawdzić, czy nikogo tu nie ma, a nie wchodzić ci w drogę.

- „Wchodzić w drogę”. Dobrze sobie! - Zaświecił jej latarką prosto w twarz, a musiała przysłonić ręką oczy. - A co, u licha, miałaś zamiar zrobić, gdyby ktoś tu był? Walczyć?

Pomyślała o tym, jak łatwo ją zaskoczył, ale podniosła butnie głowę.

- Dałabym sobie radę.

- Pewnie. - Spojrzał na pojemnik, który trzymała w ręku.

- A to co takiego? - zdziwił się.

Pandora całkiem zapomniała o sprayu. Zerknęła w dół i z trudem stłumiła śmiech.

Wuj Jolley byłby zachwycony absurdalnością tej sytuacji.

- Spray do włosów - odparła spokojnie i rzeczowo. - Prosto między oczy.

Michael mruknął coś pod nosem, po czym roześmiał się głośno. Sam nie wymyśliłby tak niewiarygodnej sceny.

- Rozumiem, e mam się cieszyć, i nie zdążyłaś we mnie prysnąć - zauważył.

- W przeciwieństwie do ciebie najpierw patrzę, a potem atakuję - oświadczyła chłodno, wkładając pojemnik do kieszeni. - Có , skoro ju tu jesteśmy, to mo e się rozejrzemy.

- Właśnie to robiłem, kiedy usłyszałem, jak się skradasz - powiedział. - Wygląda na to, e ktoś się tutaj zadomowił.

- Michael skierował latarkę na kominek, na którym jeszcze tliły się polana.

- Coś podobnego. - Pandora zaczęła krążyć po chacie, rozglądając się na wszystkie strony. Kiedy była tutaj ostatni raz, krzesło z nadłamanym oparciem stało przy oknie. Jolley siedział na nim, obserwując posiadłość Saundersona, podczas gdy ona otwierała puszkę sardynek, eby nie umarli z głodu.

Teraz krzesło było przysunięte do kominka. - Pewno jakiś włóczęga - rzuciła.

- Mo e. - Michael skinął głową.

- Ale mo e nie. Myślisz, e wróca? - zaniepokoiła się.

- Trudno powiedzieć. - Nic więcej nie rzuciło im się w oczy. Wszystko poza tym było na swoim miejscu. W chacie panował porządek. Było czysto. Za czysto. Podłogę i stół

powinna pokrywać warstwa kurzu. Tymczasem panowała niemal idealna czystość. - Być mo e nie zamierzają ju niczego więcej zniszczyć.

Pandora, najwyraźniej niezadowolona, usiadła na łó ku i podparła głowę.

- Miałam nadzieję, e ich złapię - wyznała.

- Jak? Spryskując ekologicznym lakierem do włosów?

- Domyślam się, e miałeś lepszy plan.

- Sądzę, e mógłbym się im dać trochę bardziej we znaki.

- Podbite oczy i złamane nosy - prychnęła zniecierpliwiona. - Naprawdę, Michael, powinieneś najpierw spróbować u yć rozumu, a dopiero potem pięści.

- Przypuszczam, e ty chciałaś rozsądnie porozmawiać z tym kimś z naszej milutkiej rodzinki, kto zniszczył twoją pracę.

Ju miała go zaatakować, ale się powstrzymała.

- Nie - uśmiechnęła się. - Rozsądek nie wchodził w grę. Wydaje się, e oboje straciliśmy okazję u ycia siły, co? Nawiasem mówiąc, piszesz seriale kryminalne... Czy nie powinniśmy zacząć szukać trupa, który naprowadziłby nas na rozwiązanie tej zagadki?

- Nie pomyślałem o tym, eby przynieść szkło powiększające.

- Czasem nawet potrafisz być zabawny. - Pandora wstała i poświeciła latarką po podłodze. - Mo e coś upuścili.

- Wizytówkę?

- Coś - mruknęła i przyklęła, by zajrzeć pod łó ko. - Mam! - Pochyliła się jeszcze bardziej.

- Co to jest? - Michael przyklęknął obok.

- But. - Trzymała go w obu dłoniach. - Nie, nie, to nic, to but wuja Jolleya.

Nagle posmutniała. Wyglądała na zagubioną i nieszczęśliwą.

- Ja te za nim tęsknię - szepnął Michael. Klęczała przez chwilę, nie wypuszczając buta z rąk.

- Wiesz, czasem wydaje mi się, e czuję jego obecność - powiedziała. - Jak gdyby był

tu obok albo w sąsiednim pokoju, czekając, by nagle się pojawić i roześmiać głośno z kawału, jaki nam zrobił.

- Rozumiem, co masz na myśli. - Michael pogładził ją po plecach.

- Mo e rozumiesz - mruknęła. Opanowała się i szybko podniosła się z podłogi. -

Zajrzę do kredensu.

- Daj mi znać, jak znajdziesz herbatniki. - Wzruszył ramionami na widok spojrzenia, jakie mu rzuciła.
- W początkowym okresie abstynencji tytoniowej musisz czymś tłumić głód papierosa.
- Spróbuj gumy do ucia. - Otworzyła kredens i omiotła latarką puszek i słoiki.

Zauważyła masło orzechowe i kawior rosyjski, dwie ulubione przekąski wuja Jolleya. Obok stał słoik z keczupem i puszek, co przypomniało jej, że dziewięć - dziesięcioletni wuj miał apetyt jak nastolatek. Sięgnęła do środka i wyciągnęła jedną z nich.

- No proszę! - wykrzyknęła.
- Co takiego? - zaciekawił się Michael.
- Tuńczyk. Puszka tuńczyka.
- Owszem. A nie ma majonezu?

- Nie udawaj głupiego, Michael. Wuj Jolley nie znosił tuńczyków.

Michael już chciał powiedzieć coś złośliwego, ale się powstrzymał.

- Naprawdę? A przecie nigdy nie trzymał niczego, czego nie lubił - zauważyła.

- Właśnie.

- Gratuluję, Sherlocku. A więc który z naszych podejrzanych jest amatorem tuńczyka z puszek?

- Jesteś zazdrosny, bo to ja wpadłam na trop, a nie ty.

- To tylko trop - podkreślił, trochę poirytowany, że amatorka okazała się lepsza.

Nigdy mnie nie doceniał, pomyślała. Ani mojej przebiegłości, ani inteligencji, ani kobiecości.

- Jeśli jesteś takim pesymistą, to po co tu w ogóle przyszedłeś? - spytała zniecierpliwionym tonem.

- Miałem nadzieję, że coś znajdę. - Michael wodził latarką po ścianach. - Tymczasem wszystko, czego udało nam się dowiedzieć, to że ktoś tu był i sobie poszedł.

Pandora zdegustowana rzuciła puszkę.

- Strata czasu - skwitowała.

- Nie powinnaś była iść za mną.

- Nie szłam za tobą. - Skierowała światło latarki prosto w jego twarz. W półmroku wyglądał zbyt

męsko, nazbyt niebezpiecznie. Przez moment ałowała, e nie jest tak atrakcyj-na, by sam jej widok powalił go na kolana.

- Z tego co wiem, to ty szedłeś za mną - odparowała.

- Ach, tak. I dlatego byłem tu pierwszy.

- Dajmy spokój. Ale skoro planowałeś, e tu dzisiaj przyjdiesz, to czemu mi o tym nie powiedziałeś?

Zbli ył się do niej, ale nie podszedł zbyt blisko, bo poczułby, jak ju zdą ył się przekonać, coś w rodzaju niepokojącego mrowienia. O, nie, nie mo e do tego dopuścić.

- Z tego samego powodu, dla którego ty nie podzieliłaś się ze mną swoim pomysłem.

Nie ufam ci, kuzynko. A ty nie ufasz mnie.

- W końcu choć w jednej sprawie się zgadzamy. - Zrobiła ruch ręką w jego kierunku i w tym momencie poczuła, e chwytą ją za nadgarstek. Spojrzała w dół, po czym podniosła na niego wzrok. - Będziesz musiał pozbyć się tego nawyku, Michael.

- Powiadają, e jak się pozbywasz jednego, nabierasz innego.

- Czy by? - spytała lodowatym tonem, choć zrobiło się jej gorąco.

- Łatwiej cię dotknąć, ni mi się to kiedyś wydawało - zauwa ył.

- Nie bądź taki pewny. - Cofnęła się o krok, ale on znów był przy niej.

- Niektóre kobiety nie radzą sobie z pociąganiem fizycznym.

Błysk w jej oczach przypomniał mu namiętność, jaka obudziła się w nich tego popołudnia.

- I znowu odzywa się twoje wygórowane ego. To poczucie dominacji mo e robić wra enie na twoich dziewczynach z okładki, ale... - nie dokończyła.

- Zawsze podejrzanie fascynowało cię moje ycie seksualne. - Michael uśmiechnął się, z satysfakcją odnotowując wyraz niesmaku na jej twarzy.

- Ten sam rodzaj naukowej fascynacji mo na mieć z powodu ycia seksualnego ssaków ni szego rzędu. - Serce biło jej przyspieszonym rytmem. I to nie ze złości. Była zbyt uczciwa, by udawać, e jest zła. Przyszła w poszukiwaniu przygody i znalazła ją. - Robi się późno - dodała tonem nauczycielki ze szkółki parafialnej do niegrzecznego ucznia. - Wybacz, ale ju pójdę.

- Dziwne, ale nigdy cię nie pytałem o twoje ycie seksualne. - Michael przysunął się jeszcze bli ej. Odstąpiła o krok, ale był tak blisko, e omal nie wcisnął jej w kąt. Wsunęła rękę do kieszeni i chwyciła pojemnik z aerozolem. - Pozwól, e zgadnę - kontynuował. -

Wolisz męczyznię ze sznurkiem tytułów przed nazwiskiem, który rozprawia uczenie o seksie, zamiast go uprawiać.

- Dlaczego jesteś taki złośliwy, taki...

Przerwała, bo Michael zamknął jej usta, tak jak to sobie kiedyś wyobraził.

Tym razem pocałunek był gorący, namiętny, niemal desperacki. Dopiero później Pandora przeanalizowała swoje odczucia. Na razie przyzwalała na to doświadczenie. Jego wargi były gorące, zaborcze. Całował ją tak, jakby wiedział, o tego pragnie. Z pewnością siebie, która w innym momencie by ją irytowała. Teraz poddawała jej się bez sprzeciwu.

Był silny, natarczywy. Po raz pierwszy czuła przy sobie ciało mężczyzny, który nie zamierzał traktować jej delikatnie. Ścisnął, oczekiwał i silnie oddziaływał na jej zmysły.

Spodziewał się innej reakcji, gwałtownej. Uległość i gotowość Pandory poraziły go.

Później uzmysłowił sobie, że od lat nic nie przyprawiło go o taki zawrót głowy, jak ten pocałunek.

Zadała mu cios, ale wymierzyła go delikatnymi wargami. Czy triumfowałyby, wiedząc, jak szybko go znokautowała? Nie będzie się teraz nad tym zastanawiał. Bez chwili wahania pozwolił ponieść się namiętności.

W chacie było ciemno i zimno. Nie padał tu ani jeden promień światła księżyca. Czuć było dym. Wiatr poruszał okiennicami. Jedne z nich nie zwracało na to uwagi. Nawet gdy oderwali się od siebie, było im zupełnie obojętne, co wokół nich się dzieje.

Nie czuł się pewnie. To było coś, o czym pomyśli później. Miał przynajmniej tę satysfakcję, że i ona chwiała się na nogach. Wyglądała tak samo, jak on się czuł - ogłuszona, niezdolna do zadania następnego ciosu.

- Mówiłaś coś? - Zaśmiał się.

Chciała znowu go pocałować i całować tak długo, a nie miałaby siły się śmiać.

Oczekiwał, że padnie mu do stóp, jak to przypuszczalnie robiły inne kobiety. Spodziewał się, że będzie wzdychać, że mu ulegnie, by mógł zapisać na swoim koncie jeszcze jedno zwycięstwo.

- Idiota - warknęła.

- Uwielbiam cię za zwięzłość wypowiedzi.

- Zasada numer sześć. - Pandora przeszła go wzrokiem. -

adnych kontaktów

fizycznych.

- adnych kontaktów fizycznych - zgodził się - chyba e obie strony tego zechcą.

Wyszła z chaty, zatraskując za sobą drzwi.

Jeśli dwoje ludzi jest całkowicie pochłoniętych pracą, to mo e przebywać pod tym samym dachem całymi dniami i prawie się nie widywać. Zwłaszcza jeśli ten dach jest du y, a ludzie uparci. Pandora i Michael spotykali się tylko przy posiłkach. Nie wynikało to z uprzejmości czy premedytacji. Po prostu ka de z nich było zbyt zajęte, by tracić czas na spory i dyskusje.

Odczuli ogromną ulgę, gdy minął pierwszy miesiąc. Zostało jeszcze pięć.

W trakcie drugiego miesiąca Michael pojechał na dzień do Nowego Jorku, by omówić sprawy scenariusza. Pandora bardzo się na to cieszyła. Wreszcie będzie swobodna. Będzie robiła, co zechce, nie martwiąc się, e ktoś jej zagląda przez ramię lub czyni złośliwe uwagi.

Będzie cudownie.

Po zjedzeniu kolacji zaczęła jednak wypatrywać przez okno, czy nie nadje d a samochód Michaela. Nie dlatego, e za nim zatęskniła, zapewniała siebie. Po prostu przyzwyczała się, e ktoś jest w domu.

Czy dlatego nigdy przedtem z nikim nie mieszkała? Chciała uniknąć wszelkiej zale ności. A zale ność, uznała, jest czymś naturalnym, jeśli dzielisz z kimś tę samą przestrzeń.

A więc czekała i obserwowała. Charles i Sweeney ju dawno poszli spać, a ona wciąż wypatrywała Michaela. Nie niepokoiła się i na pewno nie czuła się samotna. Raczej zniecierpliwiona. Wmawiała sobie, e nie kładzie się do łó ka, bo nie jest zmęczona. Krą ąc po pierwszym piętrze, weszła do gabinetu Jolleya. Bardziej właściwą nazwą byłby pokój gier.

Wnętrze sprawiało wra enie salonu gier wideo połączonego z dyskoteką.

Włączyła du y dwudziestoczerocalowy telewizor. Nie zamierzała niczego oglądać.

Chciała mieć towarzystwo. Nie miała te zamiaru rozgrywać adnej z gier ani symulować ataku kosmitów na wideo czy rozgrywać partii szachów z komputerem. Usiadła wygodnie na szerokiej sofie przed telewizorem po prostu, eby odpocząć.

Nawet nie zauwa yła, kiedy Michael stanął w drzwiach. Miał za sobą cię ki dzień i jazdę powrotną w godzinach szczytu. Zastanawiał się, co prawda, czy nie przenocować w mieście, co byłoby najrozsądniejszym wyjściem, ale znalazł z tuzin mało przekonujących powodów, dla których powinien wrócić, zamiast przyjąć zaproszenie asystentki producenta -

dobrze zbudowanej brunetki o brązowych oczach.

Chciał szybko znaleźć się w swoim pokoju, paść na łó ko i spać do południa, ale zauwa ył światło i usłyszał jakieś głosy. Oto Pandora, zagorzały wróg małego ekranu, rozciągnięta na sofie oglądała o

pierwszej w nocy powtórki programów. A co najdziwniejsze, wyglądało na to, e sprawia jej to przyjemność.

Coś podobnego, zdumiał się Michael, poznając serial. Kiedyś przed laty napisał parę odcinków. Obserwował Pandorę, czekając, a nastąpi przerwa na reklamę.

- Cóż, oto jak upadają potęgi - skomentował.

Omów rzeczywiście tak się nie stało, gdy gwałtownie odwróciła się do drzwi. Usiadła i szybko zaczęła się zastanawiać nad jakimś wytłumaczeniem.

- Nie mogłam spać - powiedziała wreszcie, co nie było dalekie od prawdy. Nie dodała, e z powodu jego nieobecności. - Uznałam, e telewizja ma właściwości usypiające. To takie Valium dla umysłu.

Był zmęczony, śmiertelnie zmęczony, ale uświadomił sobie, jak cieszy go reakcja Pandory. Podszedł do sofy, usiadł obok niej i oparł nogi o stolik do kawy zrobiony z grubego pnia.

- Kto go doprowadził do bankructwa? - spytał, nawiązując do serialu, który oglądała.

Dobrze być w domu, pomyślał i westchnął.

- Pazerny współnik - odpowiedziała zadowolona, e wrócił do domu. - Nietrudno było się domyślić.

- W tym serialu nie chodzi o to, kto popełnia przestępstwo, tylko jak bohater manipuluje innymi, doprowadzając ich do upadku.

Udawała, e nie jest zainteresowana dalszym ciągiem, ale przesunęła się tak, eby móc widzieć ekran.

- A więc jak ci poszło w Nowym Jorku? - spytała.

- W porządku. - Michael ściągnął but. - Trwało to wszystko parę godzin, ale w końcu doszliśmy do porozumienia.

Wyglądał na zmęczonego. Musi być naprawdę wykończony, pomyślała.

- Nie rozumiem, dlaczego ludzie zadają sobie tyle trudu dla jednej głupiej godziny w tygodniu - zauważyła.

Popatrzył na nią.

- To zwyczaj Amerykanów - odrzekł.

- Ale czym tu się tak podniecać? Zwykły kryminał, dobrzy chłopcy polują na złych chłopców i ich łapią. Wydaje się proste.

- Jestem ci niezmiernie wdzięczny za tak klarowne ujęcie sprawy. Powiem o tym na następnym spotkaniu z producentem.

- Naprawdę, Michael, wydaje mi się, e wszystko powinno iść gładko, zwłaszcza e zajmujesz się tym od lat.

- Wiesz coś na temat ego i paranoi?

- Słyszałam o tym - uśmiechnęła się.

- A więc dodaj do tego temperament artysty, wskaźniki i rosnący budżet. Nie zapomnij o właścicielu sieci. Od czterech lat nic nie idzie gładko. Jeśli serial *Ucieczka Logana* będzie szedł jeszcze przez następne cztery lata, to nie będzie gładko. To show -

biznes.

- Głupi sposób zarabiania na życie - wzruszyła ramionami.

- Masz rację - mruknął Michael i zasnął.

Obejrzała do końca odcinek, wyłączyła telewizor i ściemniła światło.

Może by go tu zostawić, zastanawiała się, patrząc, jak smacznie śpi na sofie.

Wyglądało na to, e jest mu wygodnie. Odgarnęła mu włosy z czoła. Pomyślała, e z pewnością obudziłby się ze sztywnym karkiem i w złym nastroju. Lepiej, eby poszedł do siebie.

- Michael! - Potrząsnęła go za ramię.

- Hm?

- Chodź do łóżka.

- Myślałem, e nigdy o to nie poprosisz - powiedział i wyciągnął niepewnie rękę.

Rozbawiona potrząsnęła mocniej jego ramieniem.

- Dobra, dobra, kuzynie, pomogę ci wejść po schodach.

- Reżyser to idiota - orzekł, z trudem się podnosząc.

- Na pewno. A teraz zobaczymy, czy potrafisz stawiać stopy jedna przed drugą.

Idziemy, tędy. - Objęła go w pasie i zaczęła wyprowadzać z pokoju.

- Zmienił mój scenariusz.

- Spokojnie, stopień.

- Mówił, e w drugim akcie chce więcej emocji. Pies mu mordę lizał. Co on wie o emocjach?

- Pewno, to karzełek umysłowy - zgodziła się Pandora, kierując Michaela w stronę jego pokoju. Był cię szy, ni się spodziewała. - No, jesteśmy. - Pchnęła go na łó ko. - Czy nie przyjemnie? - Przykryła go miękkim kocem z wielbłądziej wełny.

- Zdejmiesz mi spodnie? - spytał.

- Jeszcze czego - parsknęła.

- No wiesz, a mogłoby być zabawnie.

- Gdybym pomogła ci się rozebrać, przypuszczalnie nękałyby mnie koszmary nocne.

- Wiesz przecie , e za mną szalejesz. - Czuł się w łó ku jak w niebie. Mógłby z niego nie wychodzić przez tydzień.

- Zaczynasz bredzić, Michael. Powiem Charlesowi, eby przyniósł ci rano gorącą herbatę z miodem.

- Ani się wa , chyba e ci ycie niemiłe - ostrzegł, otwierając oczy i uśmiechając się do niej. - Dlaczego nie wejdiesz pod koc? Moglibyśmy się świetnie zabawić.

Pandora pochyliła się nad nim, a jej usta znalazły się o parę cali od jego ust.

Poczekwała jeszcze chwilę, włosy opadły jej na twarz i dotknęły jego policzka.

- Na pewno nie - szepnęła.

- Masz rację. - Ziewnął i odwrócił się na drugi bok. Stała jeszcze przez chwilę w ciemności. Czy by chciał ją obrazić? Wyprostowała się dumnie i wyszła z pokoju, upew-niając się, e zamknęła za sobą drzwi.

ROZDZIAŁ 5

Kamyk po kamyku Pandora składała naszyjnik zniszczony przez tajemniczego intruza.

Po ukończeniu pracy popatrzyła z satysfakcją na swoje dzieło. Satysfakcja była tym większa, e sama była swoim najbardziej surowym krytykiem. Nie zawsze podchodziła tak emocjonalnie do tego, co tworzyła. Tym razem jednak tak właśnie było. Oglądała naszyjnik pod szkłem powiększającym, patrzyła na niego w ostrym świetle i pod światło, sprawdzała milimetr po milimetrze i nie znalazła najmniejszej skazy. W pracę tę wło yła du o serca i teraz, gdy umieszczała naszyjnik w wyściełanej jedwabiem kasetce, poczuła nagle al, e ju do niej nie nale y.

Rozejrzała się bezradnie po pracowni. Nie bardzo wiedziała, co robić. Nie miała jeszcze w planach następnego projektu. ądna pracy wzięła do ręki blok i zaczęła szkicować.

Mo e kolczyki, zastanawiała się. Coś śmiałego w formie, krzykliwego. Pragnęła zmiany po delikatnym eleganckim naszyjniku, któremu poświęciła tyle czasu. Koła i trójkąty, geometryczne wzory, nowoczesne, agresywne. Nic romantycznego i wysublimowanego jak ten naszyjnik.

Naszkicowała silne, zdecydowane linie. Przedtem była tak zaabsorbowana romantyczną formą, że być może dlatego omal się nie zbłądziła przed Michaeliem. Jej uczucia były nierozłącznie związane z pracą, a wykonywała coś delikatnego, kobiecego, subtelnego.

Tak, tak właśnie było, uznała. Teraz zajmie się czymś mocnym, odważnym, agresywnym. W ten sposób problem sam się rozwiąże.

Przed wszystkim problem nie powinien być powstać. Zaciśnęła usta, zgmiotła kartkę i zaczęła od nowa. Jej stosunek do Michaela był zawsze jasno określony. Nietolerancja. A jeśli kogoś nie tolerujesz, to byłoby wbrew naturze, gdyby cię pociągał.

Zresztą trudno tu mówić o pociągu. Raczej o pokrętnej... ciekawości. Tak, ciekawość.

To właściwe słowo. Była ciekawa, jak może na nią działać seksualnie mężczyzna, którego znała od dzieciństwa. Była ciekawa, co takiego jest w Michaelu Donahue, że pociąga wszystkie te dziewczyny z okładek. I dowiedziała się.

Potrafił sprawić, że kobieta czuła się w pełni kobietą, uległą, oddaną. Nic takiego nie przytrafiło jej się przedtem i za niczym takim nie tęskniła. Jej zdaniem był to rodzaj umiejętności. Uznała, że Michael jest mistrzem w tej dziedzinie. Choć nie winiła go za to, nie miała zamiaru znaleźć się w gronie kobiet pozostających pod jego urokiem. Gdyby wiedział...

gdyby chociaż podejrzewał, że reaguje na niego, podobnie jak dziesiątki innych, chodziłby dumny niczym paw. Gdyby odgadł, że od czasu do czasu chciałaby, żeby choć przez chwilę pomyślał o niej tak jak o tuzinach innych kobiet, rozkoszowałby się tym dwa razy dłużej. Nie robi mu tej przyjemności.

Indywidualizm był częścią jej osobowości. Nie chciała być jedną z jego kobiet, nawet gdyby mogła się nią stać.

Teraz, kiedy już zaspokoiła ciekawość, może przebrnąć przez następne pięć miesięcy bez dalszych komplikacji.

Ponieważ uznała, że od biedy może zaakceptować Michaela, jego towarzystwo to nie będzie jej wadzić. Miała nadzieję, że uda im się w miarę bezboleśnie przetrwać zimę pod jednym dachem.

Spojrzała na rysunek i z przerażeniem stwierdziła, że naszkicowała jego twarz. Dobrze uchwyciła rysy, oddała ich wyrazistość i butne spojrzenie, a równocześnie pewną wrażliwość i inteligencję. Była to interesująca twarz. Wyrwała kartkę z bloku, zmiażdżyła ją i cisnęła do kosza na śmieci. Po prostu zamyśliła się i bezwiednie to narysowała, ot i wszystko. Wzięła ołówek, odłożyła go, wyciągnęła szkic z kosza. Bądź co bądź to sztuka, powiedziała sobie, wygładzając portret.

Praca jakoś mu nie szła. Siedział przy biurku i stukał w maszynę jak oszalały przez pięć minut. Potem przez piętnaście patrzył przed siebie. To do niego niepodobne. Kiedy zaczynał pisać, pracował bez przerwy, dopóki nie skończył odcinka.

Odchylił się w krześle i wziął do ręki ołówek. Trzymał go tak, jakby to był papieros.

Niezależnie od tego, co mówią statystyki, nie powinien być rzucać palenia. To dlatego nie jest w stanie się skupić. Wstał od biurka i podszedł do okna. Pawilon, w którym pracowała Pandora, był dobrze widoczny. Wyglądał swojsko, pokryty cieniutką warstewką pierwszego śniegu.

Pandora nie jest taka, jak się spodziewał. Jest delikatniejsza, subtelniejsza, cieplejsza.

Rozmowa z nią sprawia mu przyjemność bez względu na to, czy się spierają i zawzięcie dyskutują, czy spokojnie wymieniają poglądy na różne sprawy. Z Pandorą nie prowadzi się banalnych rozmówek o niczym, nie wygłasza się sloganów i komunałów. Trzeba cały czas uważać i wytykać umysł.

Niełatwo mu było przyznać się, a właściwie polubił jej towarzystwo. Tygodnie, które spędzili razem w Jolley's Folley, minęły niespodziewanie szybko, przy czym nie groziła im nuda. Odrzucił atrakcyjne zaproszenie od asystentki swego producenta, ponieważ ... Ponieważ, przyznał po chwili namysłu, nie chciał spędzić nocy z kobietą, wiedząc, i myślami byłby z inną.

W jaki sposób ma teraz przezwyciężyć ten nieoczekiwany i niepożądaną pociąg do kobiety, która prędzej wybierze się z nim na eskapadę rowerową niż na spacer przy księżycu?

Romantyczne kobiety zawsze go pociągały, ponieważ sam był, nie da się ukryć, romantyczny. Lubił światło świec, cichą muzykę, długie samotne spacerować. Adorował kobiety w sposób staroświecki, bo gustował we wszystkim, co trąciło myszką. Nie kłóciło się to z faktem, a od czasu studiów był zagorzałym zwolennikiem równouprawnienia. Romantyzm i poglądy społeczne to były dwa różne światy. Fakt, a był zwolennikiem jednakowej płacy za jednakową pracę niezależnie od płci, nie przeszkadzało mu w zaproponowaniu kobiecie przejechać z nim po parku do domu.

Wiedział, a gdyby posłał Pandorze tuzin białych róż, narzekałaby na kolce.

Pragnął jej. Nawet nie starał się udawać, a jest inaczej. A kiedy czegoś lub kogoś pragnął, zmierzał do tego jednym z dwóch sposobów. Planował najlepszą strategię, a potem, po zrobieniu pierwszego kroku, subtelnie manewrował. Jeśli te zabiegi nie przynosiły rezultatów, rezygnował z subtelności i sięgał po to, czego chciał, obiema rękami. Na ogół ani jedna, ani druga metoda go nie zawiodła.

O ile zdołał się zorientować, żadna z nich nie nadawała się do zdobycia Pandory. W jej przypadku należało obmyślić nową strategię.

Interesujące wyzwanie, uznał, uśmiechając się do siebie. Nic bardziej go nie podniecało niż nowe wyzwanie. Czy kiedykolwiek przyszłoby mu do głowy, a Pandora okazała się tak fascynującą osobowością? Będzie musiał nad nią popracować jak nad scenariuszem.

Bohater i bohaterka mieszkają w jednym domu, zaczął. Pociągają się wzajemnie, choć niechętnie się do tego przyznają. Bohater jest inteligentny, czarujący. Ma ogromną siłę woli.

Czy nie rzucił palenia pięć tygodni, trzy dni i czternaście godzin temu? Bohaterka jest osobą upartą i zaciętą, często arogancję myli z niezależnością. Bohater powoli kruszy pancierz, za którym się chroni, ku ich obopólnemu zadowoleniu.

Rozparł się w fotelu i zachichotał. Mógłby zrobić z tego sztukę. Trzeba by dodać trochę akcji, ale wątek główny ju ma. Oczami wyobraźni widział ju swoje dzieło na deskach scenicznych, ale musiał wrócić do serialu.

Pracował bez przerwy przez dwie godziny. Niechętnie odpowiedział na pukanie do drzwi.

- Przepraszam, panie Donahue - powiedział Charles, dysząc jeszcze po wejściu na schody.

- Słucham... - Michael skończył akapit.

- Telegram do pana.

- Telegram? - zdziwił się Michael. Jeśli w Nowym Jorku wyniknęły jakieś problemy, powinni zadzwonić. - Dziękuję - odparł, biorąc telegram od Charlesa. - Pandora jeszcze u siebie?

- Tak, sir - odrzekł. - Sweeney jest zła, e panna McVie nie była na lunchu. Kolacja będzie za godzinę. Odpowiada to panu?

- Oczywiście. Powiedz Sweeney, eby się nie martwiła.

- Dziękuję, sir, i jeśli mi wolno powiedzieć, to bardzo lubię pana serial. Ostatni odcinek był pasjonujący.

- Miło mi to słyszeć, Charles - ucieszył się Michael.

- Z panem McVie oglądaliśmy go razem. Nie opuścił ani jednego odcinka.

- Gdyby nie Jolley, prawdopodobnie nie byłoby serialu - zamyślił się Michael. -

Bardzo mi brak wuja.

- Nam wszystkim. Dom wydaje się taki cichy i pusty, ale ja... - Charles zawahał się.

- Mów, Charles - zachęcił go Michael.

- Chciałbym, eby pan wiedział, e Sweeney i ja bardzo się cieszymy, e mo emy słu yć panu i pannie McVie. Byliśmy zadowoleni, e pan McVie zostawił wam swój dom.

Inni... - Wyprostował się i zaczerpnął tchu. - Oni by się nie nadawali do tego domu. Sweeney i ja postanowiliśmy, e odejdziemy, jeśli pan McVie zostawi Folley jednemu z pozostałych spadkobierców. - Charles skrzy ował ręce. - Będzie pan jeszcze czegoś potrzebował przed kolacją, sir?

- Nie, Charles, dziękuję.

Stary lokaj wyszedł z pokoju. Znał Michaela od czasu, gdy ten był małym chłopcem.

Michael dokładnie pamiętał, kiedy Charles przestał go tytułować paniczem, a zaczął się do niego zwracać „pan”. Miał wtedy szesnaście lat i przyjechał do Folley na wakacje. Gdy Charles po raz pierwszy powiedział do niego „Pan Donahue”, Michael poczuł się tak, jakby jednym krokiem przeskoczył z dzieciństwa w dorosłość.

Nie do wiary wprost, jak bardzo jego życie było związane z Folley i ludźmi, którzy tu mieszkali. Charles podał mu jego pierwszą whisky w dniu osiemnastych urodzin. A znacznie wcześniej Sweeney po raz pierwszy wytargała go za ucho. Rodzice nie zwracali przesadnej uwagi na jego zachowanie, a nauczyciele by sobie nie pozwolili na skarcenie go. Michael pamiętał, e kiedy pieczenie ustało, poczuł, e stał się częścią rodziny.

Pandora jako młoda dziewczyna była nieznośna i kapryśna. Nie zmieniała się tak bardzo, jak przypuszczał. A Jolley był ojcem, dziadkiem i przyjacielem zarazem.

Jolley to był Jolley i Michael powiedział prawdę, mówiąc Charlesowi, e bardzo za nim tęskni. Wiedział, e zawsze ju będzie odczuwał brak wuja. Nagle przypomniał sobie o telegramie, który trzymał w ręku.

„Twoja matka jest powa nie chora. Lekarze nie robią nadziei. Natychmiast przyleć do Palm Springs. L. J. Keyser”

Przez prawie minutę wpatrywał się w telegram. To niemo liwe. Matka nigdy nie chorowała. Uważała chorobę za coś zdro nego. Przez moment nie dowierzał własnym oczom, był zaszokowany. Sięgnął po telefon.

Kiedy piętnaście minut później Pandora weszła do jego pokoju, zastała go przy pakowaniu walizki. Uniosła brwi ze zdziwienia.

- Wybierasz się gdzieś? - spytała.

- Do Palm Springs - rzucił.

- Naprawdę? W poszukiwaniu cieplejszego klimatu?

- Z powodu matki. Dostałem telegram od jej mę a. Pandora natychmiast zaniechała sarkastycznego tonu.

- Jest chora? - zaniepokoiła się.

- Z telegramu niewiele wynika, ale nie wygląda to dobrze.

- Och, Michael, tak mi przykro. Czy mogę ci w czymś pomóc? Mo e zadzwonię na lotnisko?

- Ju to zrobiłem. Mam samolot za dwie godziny. Leci okrę ną drogą, ale nie mam wyjścia.

- Jeśli chcesz, odwożę cię na lotnisko - zaproponowała.

- Nie, w ka dym razie dziękuję. - Popatrzył na nią. Wyglądała na zmartwioną, choć, jak sobie uzmysłowił, spotkała jego matkę tylko raz, dziesięć, mo e piętnaście lat temu. Była zatroskana z jego powodu. - Pandoro, dotarcie na wybrze e zajmie mi pół nocy. A potem sam nie wiem... - Urwał, nie będąc w stanie wyobrazić sobie, e jego matka jest powa nie chora. -

Być mo e nie zdą ę wrócić na czas, to znaczy w ciągu czterdziestu ośmiu godzin.

- Nie myśl o tym. - Potrząsnęła głową. - Zadzwońę do pana Fitzhugh i wszystko mu wyjaśnię. Mo e coś poradzi. Tak czy inaczej to sytuacja wyjątkowa. A jeśli mu się nie uda, to trudno.

Podejmował krok, który mo e ją kosztować utratę milionów dolarów i domu, który kochała. Podeszedł do niej i poło ył jej dłonie na ramionach. Była taka szczupła. Zapomniał

ju , jak delikatna mo e być silna kobieta.

- Wybacz, Pandoro - powiedział. - Gdyby istniała inna mo liwość...

- Powiedziała ci, Michael, e nie chcę pieniędzy. Mówiłam powa nie.

Obserwował ją przez chwilę. Tak, były w niej siła, upór i dobroć, której dotychczas nie dostrzegał.

- Wierzę, e tak jest.

- Co do reszty, zobaczymy. A teraz idź ju , ebyś się nie spóźnił na samolot. -

Poczekwała, eby zamknął walizkę, i wyszła z nim do holu. - Zadzwoń, jak będziesz mógł, i daj mi znać, co z matką.

Skinął głową i ruszył ku schodom, ale zatrzymał się jeszcze. Postawił walizkę, wrócił

do Pandory i przyciągnął ją do siebie. Ich pocałunek był długi, namiętny. W końcu odepchnął

ją równie gwałtownie, jak przytulił.

- Do zobaczenia - rzucił.

- Do zobaczenia - wykrztusiła.

Stała nieporuszona do momentu, a usłyszała trzaśnięcie drzwi.

Miała du o czasu na rozmyślenia o tym pocałunku - w czasie kolacji, którą jadła w samotności, wtedy, gdy próbowała czytać przy kominku w salonie. Odnosiła wra enie, e w tym krótkim zetknięciu było więcej pasji, ni doświadczyła w którymkolwiek ze swych ostro nie dobieranych związków. Czy mo e dlatego, e zawsze traktowała z pasją tylko swoją pracę?

Mo e było tak dlatego, e Michael miał kłopoty, a ona mu współczuła. Po raz drugi poczuła się w tym domu nie tylko sama, ale ku swemu zdziwieniu samotna. A przecie na kominku płonął ogień, w ręku

miała ciekawą książkę, a brandy mile ją rozgrzewało.

A jednak czuła się samotna. Po upływie ponad miesiąca przyzwyczała się do towarzystwa Michaela. Nawet czekała na te chwile w ciągu dnia, które spędzali razem. Lubiła siedzieć naprzeciw niego przy stole, dyskutować z nim, kłócić się. A ju najbardziej lubiła patrzeć, jak się złości, ilekroć powiedziała coś uszczypliwego na temat jego pracy. Czy by perwersja? - pomyślała i westchnęła. Mo e i była trochę perwersyjna, ale ycie bez utarczek byłoby takie nudne. A nikt nie nadawał się do utarczek lepiej ni Michael Donahue.

Zastanawiała się, kiedy go znów zobaczy. Rozwiała, czy teraz zaniechają spędzenia razem zimy. Jeśli warunki testamentu zostaną naruszone, nie będzie adnego powodu, by mieli przebywać razem. Co więcej, nie będą mieli prawa mieszkać w Folley. Wrócą oboje do Nowego Jorku, do swoich zajęć, do swego środowiska, do ycia tak ró nego, e nie dawało im okazji do spotkań. Dopiero teraz, gdy ta perspektywa stała się realna, Pandora uświadomiła sobie, jak bardzo nie chce, eby tak się stało.

Nie chciała stracić Folley. Zbyt wiele w nych wspomnień wiązało się z tym miejscem. Czy nie zanikną stopniowo, gdy nie będzie mogła chodzić z pokoju do pokoju i wywoływać ich z zakamarków pamięci? Nie chce te utracić Michaela. Jego towarzystwa, skorygowała szybko. Nawet nie zdawała sobie sprawy, jak dobrze jest mieć kogoś obok siebie, spotykać go dzień w dzień. Był to dla niej rodzaj wyzwania, którego nie chciała się wyrzec. ycie stałoby się straszliwie monotonne. Skoro Michael wnosił w nie więcej ikry, to chyba nic dziwnego, e pragnęła jego obecności?

Westchnęła, zamknęła książkę i postanowiła poło yć się wcześniej spać. Wyciągnęła rękę, eby wyłączyć lampę, ale nagle światło zgasło. Tylko ogień na kominku rozjaśniał wnę-

trze.

Dziwne, pomyślała, i sięgnęła do kontaktu. Nic z tego. Najwyraźniej przepaliła się arówka. Gdy wyszła do holu, okazało się, e i ten pogrą ony jest w ciemnościach. Nie świeciła się adna lampa.

Wysiadło zasilanie. Elektryczność w Folley regularnie zawodziła w czasie burzy czy śnie ycy, ale wtedy po paru minutach włączał się generator. Teraz jednak nic takiego nie nastąpiło. Dom nadal spowijały ciemności. Dotarło do niej, e do tej pory nie znajdowała się w takich ciemnościach. Nie wiedziała, e mo e być a tak ciemno. Ju miała zawrócić do salonu po świecę, gdy nagle uzmysłowiła sobie, e przecie dom jest ogrzewany prądem. Jeśli tak dalej pójdzie, wyiębi się. Nie mo e do tego dopuścić, mając w domu dwie osoby po siedemdziesiątce.

Znalazła trzy świece w srebrnym lichtarzu. Zapaliła je. Nie było sensu budzić Charlesa. Pewnie wysiadły bezpieczniki. Sama się z tym upora. Trzymając przed sobą świecznik, skierowała się ku drzwiom do piwnicy. Nie bała się iść tam sama po ciemku. W

ka dym razie tak sobie mówiła, stojąc z ręką na klamce. To w końcu tylko jeszcze jeden pokój. I to taki, który jest pełen pamiątek po licznych hobby wuja Jolleya. Skrzynka z bezpiecznikami tam właśnie się znajduje. Widziała ją, kiedy pomagała wujowi usunąć sprzęt fotograficzny, gdy zrezygnował z pomysłu, by zostać fotografikiem portrecistą. Zejdzie więc na dół, znajdzie zepsuty

bezpiecznik i wymieni go na nowy. Jak tylko to zrobi, weźmie gorącą kąpiel i pójdzie spać.

Zaczerpnęła głęboko powietrza i otworzyła drzwi.

Schody skrzypiały. Mo na się było tego spodziewać. Były strome i wąskie, jak zwykle schody do piwnicy z prawdziwego zdarzenia. Światło świecy rzucało mdły blask na skrzynie i pudła zgromadzone tutaj przez wuja Będzie musiała spytać Michaela, czy pomo e jej to jakoś uporządkować. Któregoś dnia wczesnym popołudniem, jak jeszcze będzie jasno. eby dodać sobie otuchy, zaczęła nucić nerwowo jakaś melodię.

Trzymała świece wysoko i sprawdzała podłogę przed sobą. Wiedziała, e myszy lubią takie miejsca, a nie czuła do tych zwierząt szczególnej sympatii. Nie zauwa yła jednak adnego podejrzanego ruchu. Kluczając między pudłami, poszła w kierunku skrzynki z bezpiecznikami. Odetchnęła z ulgą, widząc, e znajduje się w miejscu, które zapamiętała.

Postawiła lichtarz na pudle, otworzyła metalową skrzynkę i zajrzała do środka. Nie było tam ani jednego bezpiecznika.

- Co, u diabła? - mruknęła Kiedy przysunęła się bli ej, stopą pchnęła coś, co poturlało się po betonowej podłodze. Stłumiła krzyk i opanowała chęć ucieczki. Wstrzymała oddech i przez chwilę czekała nieporuszona. W końcu podniosła świecznik i przykucnęła. Na podłodze le ało dwanaście bezpieczników. Podniosła jeden. W piwnicy mogło się gnieździć całe stado myszy, ale trudno przypuszczać, by opró niły skrzynkę z bezpiecznikami.

Zadr ała i zaczęła zbierać bezpieczniki. Złośliwy kawał, pomyślała, kolejny głupi kawał. Dokuczliwy, ale na szczęście nie tak kłopotliwy, jak ten w jej pracowni. Nawet niezbyt sprytny, uznała, bo có prostszego jak wło yć bezpieczniki z powrotem na miejsce.

Zrobiła to, najszybciej jak potrafiła, nie oglądając się za siebie. Ktokolwiek tu był, pomyślała, naraził ją tylko na niepotrzebną stratę czasu, to wszystko.

Skończyła i pospiesznie wbiegła schodami na górę, ale westchnienie ulgi okazało się przedwczesne. Drzwi, które zostawiła otwarte, były zamknięte. Przez chwilę nie wierzyła własnym oczom. Przekreślała gałkę, pchała, naciskała, znowu przekreślała. Na pró no.

Przeraziła się. Była zamknięta w ciemnym pomieszczeniu. Waliała w drzwi, krzyczała, w końcu siadła na najwy szym stopniu bliska płaczu. Nikt jej nie usłyszy. Charles i Sweeney spali w drugim skrzydle domu.

Przez pięć minut rozczulała się nad sobą. Jest sama, całkiem sama, zamknięta w ciemnej piwnicy, do rana nikt jej nie znajdzie. Ju jest zimno, a robi się jeszcze zimniej.

Zanim nadejdzie świt, świece się wypalą i zostanie w zupełnych ciemnościach. To najgorsze, co mo e ją spotkać. Brak światła.

Światło, pomyślała, ale ze mnie idiotka. Czy właśnie nie włączyła bezpieczników?

Wstała i sięgnęła do kontaktu. Nic. Stłumiła okrzyk i podniosła świecę wy jej. arówki u sufitu nie było.

A więc nie zapomnieli i o tym, pomyślała. Jednak byli sprytni. Opanowała uczucie paniki i spróbowała zastanowić się nad sytuacją. Chcieli, eby wpadła w panikę, ale nie zamierza dać im tej satysfakcji. Jeśli tylko wykryje, kto z kochanej rodziniki bawi się w tę podłą grę...

To później. Teraz musi znaleźć jakieś wyjście z sytuacji. Dr ała, ale powiedziała sobie, e to ze złości. Czasem warto skłamać samej sobie. Trzymając wysoko świecznik, zeszła z powrotem na dół.

Piwnica była dwa razy większa ni jej mieszkanie w Nowym Jorku, przestronna i pozbawiona wszelkich ozdób, które tak lubił wuj Jolley. Było to ciemne i trochę wilgotne pomieszczenie z betonową podłogą i kamiennymi ścianami. Nie chciała myśleć o pajakach czy innych mieszkańcach czających się po kątach. Powoli, starając się zachować spokój, zaczęła szukać jakiegoś wyjścia.

Nie było tu drzwi, ale w końcu znajdowała się parę jardów pod ziemią. Jak w grobie.

Ta myśl jej nie zdenerwowała Skoncentrowała się na innych sprawach. Była nieraz w tej piwnicy, ale nigdy nie interesowała się jej konstrukcją. Teraz musi o tym pomyśleć i udawać, e dłonie nie pocą się jej ze strachu.

Przeszła obok stosu pudeł sięgających jej do ramienia i nagle zaplątała się w pajęczynę. Stłumiła krzyk. Bardziej zde gustowana ni przestraszona, wyswobodziła się jakoś.

Nie zrobi z siebie idiotki, nawet jeśli nikt jej nie widzi. Ktoś jej za to zapłaci, postanowiła, torując sobie drogę wśród skrzyń i kłopotów.

Nagle zobaczyła małe okienko, wysoko nad głową. Choć było naprawdę mikroskopijne, odetchnęła z ulgą. Postawiła lichtarz na półce i zaczęła przyciągać skrzynie.

Bolały ją ręce i plecy, ale ustawiła je przy ścianie. Gdy wbiła sobie pierwszą drzazgę, zakłęła, po trzeciej przestała liczyć. Złana potem oparła się o tak skonstruowaną drabinę. Teraz musi się na nią wspiąć. Z lichtarzem w jednej ręce, pomagając sobie drugą, zaczęła się wdrapywać na piramidę. Skrzynie nie były stabilne, chwiały się niebezpiecznie. Przemknęło jej przez głowę, e jeśli spadnie, będzie do rana le ała na betonie ze złamaną nogą. Postanowiła o tym nie myśleć.

Kiedy sięgnęła okna, stwierdziła, e uchwyt jest zardzewiały i nie chce ustąpić. Udało jej się jakoś umieścić lichtarz na jednej ze skrzyń i spróbowała otworzyć okno obiema rękami.

Ledwo drgnęło. ałowała, e nie poszukała jakiegoś narzędzia, którym mogłaby je podwa yć.

Przez chwilę rozwa ała nawet, czy by nie zejść z powrotem na dół, ale szybko zarzuciła ten pomysł. Z góry piramida skrzyń wydawała się jeszcze bardziej chybotliwa.

Odwróciła się z powrotem do okna i niemal uwiesiła na uchwycie. Drgnął. Przekręciła go. Skrzynie poruszyły się niebezpiecznie. Świecznik przechylił się. Nie zdołała go chwycić.

Spadł na podłogę. Świece zgasły. Pandorze z trudem udało się odzyskać równowagę.

Znajdowała się prawie trzy jardy nad podłogą w zupełnych ciemnościach.

Nie spadnę, powiedziała sobie, chwytając obiema rękami dolną ramę okna. Szarpnęła ją i otworzyła okno. Zaczęła się przeciskać na zewnątrz. Powiew rześkiego powietrza omal nie przyprawił jej o zawrót głowy. Kiedy była już do połowy na zewnątrz, odetchnęła głęboko. Gdzieś od strony wschodu rozległo się kwilenie ptaka. Wydawało jej się, że nigdy nie słyszała czegoś równie pięknego.

Uchwyciła się krzewu rododendronu i wysunęła do połowy. Usłyszała trzask spadających pudeł. Przycisnęła twarz do zimnej trawy. Pomału wydostała się, nie bacząc na drapiące ją gałęzie krzewu. Upadła na plecy i wpatrzyła się w rozgwieżdżone niebo. Leżała tak przez chwilę zmarznięta, podrapana, wyczerpana. Oddychała ciężko. Wreszcie podniosła się i poszła do drzwi od strony tarasu.

Zaprzysięgła zemstę, ale przede wszystkim postanowiła się wykąpać.

Po trzech międzylądowaniach i dwóch przesiadkach Michael znalazł się wreszcie w Palm Springs. Nic się tu nie zmieniło od czasu jego ostatniego pobytu. Przyjeżdżał tu z najwyższą niechęcią. Ale teraz, myśląc o ciężko chorej matce, czuł wyrzuty sumienia.

Rzadko ją widywał. To prawda, że i ona nie tęskniła za jego widokiem, ale w końcu była jego matką. Nadawali na różnej długości fal od dnia, gdy przyszedł na świat, ale opiekowała się nim i troszczyła się o niego. Nawet jeśli ograniczało się to tylko do wynajmowania opiekunek. Uświadomił sobie, że nigdy nie był przywiązany do rodziców, nie rozumieli się.

Wyszedł szybko z dworca lotniczego i złapał taksówkę. Podał adres matki i skorygował czas na zegarku. Nawet uwzględniając godziny, jakie zyskał, czas odwiedzin w szpitalu prawdopodobnie się skończył. Mimo to postara się z nią zobaczyć, ale najpierw musi się dowiedzieć, w którym szpitalu leży. Gdyby się chwilę zastanowił, zadzwoniłby wcześniej i pojechał tam prosto z lotniska.

Jeśli nie zostanie w domu matka, ktoś z rodziny go poinformuje. Może nie jest aż tak źle, jak to wynikało z telegramu. W końcu matka jest jeszcze stosunkowo młoda. Nagle uzmysłowił sobie, że nie ma pojęcia, ile ma lat. Wątpił, czy wie to jego ojciec, a już na pewno nie obecny mąż. W innych okolicznościach uznałby ten fakt za zabawny.

Obserwował mijane po drodze rezydencje tutejszej elity. Ze względów zawodowych mieszkał przez dłuższy czas w Kalifornii, ale wolał Los Angeles niż Palm Springs. Tam przynajmniej było trochę ruchu i życia. Najlepiej jednak czuł się w Nowym Jorku, wśród zatłoczonych ulic i drapaczy chmur, gdzie szalone tempo odpowiadało jego temperamentowi.

Wrócił myślami do Pandory. Oboje mieszkali w Nowym Jorku, ale nigdy się nie widywali, chyba że w Folley, na północ od miasta. Miasto mogło je połączyć albo ukryć. To kolejny aspekt, który Michael bardzo sobie cenił.

Czy nie często się ukrywał? Przed swoim dławiącym wychowaniem, przed powracającym brakiem

wiary w ród ludzki? W Folley czuł się najswobodniej, ale w Nowym Jorku najbezpieczniej. Jeśli chciał, mógł tam być zupełnie anonimowy. A bywały takie okresy, kiedy niczego bardziej nie pragnął. Na swój własny sposób pisał o zasadniczych wartościach i podstawowych prawach.

Wychowywał się w świecie iluzji i hipokryzji właściwej bogaczom, wśród wartości, które okazały się nietrwałe. Wyrwał się stamtąd, eby yć na własny rachunek. Nowy Jork mu to umo liwił, bo tam bez trudu oderwał się od swoich korzeni.

Taksówka kluczyła wśród palm, zbli ając się do wysokiego białego domu, który upodobała sobie jego matka.

- Proszę zaczekać - zwrócił się do kierowcy, kiedy zatrzymali się przed domem.

Zastukał do drzwi. Otworzył mu lokaj, którego nie znał. Matka miała zwyczaj regularnie zmieniać słu ących, eby za bardzo się nie zadomowili.

- Michael Donahue - przedstawił się. - Jestem synem pani Keyser.

Lokaj rzucił okiem na taksówkę, po czym zerknął na wygnieciony sweter Michaela i nieogoloną twarz.

- Dobry wieczór, sir - powiedział. - Czy państwo oczekują pana?

- Gdzie jest moja matka? Chcę pojechać prosto do szpitala.

- Pańskiej matki nie ma w domu. Zechce pan zaczekać, zorientuję się, czy pan Keyser mo e pana przyjąć.

Michael wszedł do środka, nie zwa ając na lokaja.

- Wiem, e matki nie ma. Chcę ją jeszcze dzisiaj zobaczyć. Mo e mi pan podać nazwę szpitala?

- Jakiego szpitala, proszę pana? - zdziwił się lokaj.

- Jackson, co to za taksówka? - Lawrence Keyser, ubrany w bordową marynarkę, schodził na dół. W jednej ręce trzymał cygaro, w drugiej szklaneczkę brandy.

- Có , Lawrence... - Michael zaczynał ju wpadać w furię. - Nieźle sobie poczynasz.

Gdzie moja matka?

- Ach, to... Matthew.

- Michael - skorygował.

- Oczywiście, Michael. Jackson, zapłać za taksówkę pana. .. Donavana.

- Nie, dziękuję, Jackson. - Michael powstrzymał go ruchem ręki. W innej sytuacji rozśmieszyłyby go ojczym, rozpaczliwie usiłujący przypomnieć sobie jego nazwisko. - Pojadę nią do szpitala. Nie będę ci sprawiał kłopotu.

- Ale skąd - zaprotestował Keyser. Był potężny, tęgim i łysawy. Posłał Michaelowi przyjacielski uśmiech. - Weronika ucieszy się, e przyjechałeś, choć nie wiedzieliśmy, e jesteś w mieście. Długo zabawisz?

- Tak długo jak będzie trzeba. Wyleciałem natychmiast po otrzymaniu telegramu. Nie podałeś nazwy szpitala. Ale skoro jesteś w domu, spokojny i zrelaksowany, to zakładam, e stan matki się poprawił?

- Stan? - Keyser roześmiał się jowialnie. - Cóż, nie wiem, jak ona potraktuje to określenie, ale moesz sam ją o to zapytać.

- Właśnie zamierzam to zrobić. Gdzie ona jest?

- Na bryd u u Bradleyów. Wróci mniej więcej za godzinę. Co byś powiedział na szklaneczkę brandy?

- Na bryd u! - Michael chwycił ojczyma za klapy marynarki i mocno nim potrząsnął. -

Co, u licha, masz na myśli?

- Jak to? Sam nie cierpię bryd a - tłumaczył się zdezorientowany - ale Weronika za nim przepada.

- Nie wysyłałeś do mnie telegramu? - Michaela nagle olśniło.

- Telegramu? - Keyser poklepał Michaela po ramieniu. - Po có miałbym ci wysyłać telegram o grze w bryd a?

- Matka nie jest chora? - dopytywał się dalej Michael.

- Zdrowa jak koń, choć wolałbym, eby nie słyszała tego, co mówię.

Michael zaklął i obrócił się na pięcie.

- Ktoś mi za to zapłaci - mruknął.

- Dokąd idziesz? - zawołał za nim Keyser.

- Wracam do Nowego Jorku - rzucił Michael przez ramię, zbiegając ze schodów.

Keyser odetchnął z ulgą. Zrezygnował z konwencjonalnych protestów.

- Mam coś przekazać matce? - spytał jeszcze.

- Tak. - Michael zatrzymał się w progu. - Powiedz, e cieszę się, i wszystko w porządku. I mam nadzieję, e wygra w piki. - Zatrzasnął drzwi taksówki.

Keyser odprowadził samochód wzrokiem.

- Dziwny chłopak - powiedział do lokaja. - Pisz dla telewizji.

ROZDZIAŁ 6

Pandora obudziła się o siódmej rano, gdy Michael padł na jej łóżko.

- Dranie - mruknął, wcisnął głowę w poduszkę i zamknął oczy.

Pandora usiadła, przypomniała sobie, że jest naga, i chwyciła prześcieradło.

- Michael! Miałeś być w Kalifornii. Co robisz w moim łóżku? - przeraziła się.

- Po raz pierwszy od dwudziestu czterech godzin przyjmuję pozycję horyzontalną -
odpowiedział z całym spokojem.

- Rób to we własnym łóżku - powiedziała stanowczo, ale złagodniała, widząc, jak bardzo jest zmęczony. - Twoja matka. - Chwyciła go za rękę. - Och, Michael, czy twoja matka...

- Gra w brydża - odpowiedział. - Tłukłem się przez cały kraj w puszce z sardynkami, której przyczepiono skrzydła, po to tylko, by się dowiedzieć, że ona sączy sherry i zbiera lewy.

- Jej stan się poprawił? - ucieszyła się Pandora.

- Nigdy nie był zły. Ten telegram był kiepskim artem. - Ziewnął i przeciągnął się. -

Bo e, co za noc.

- Mówisz, e... - Pandora szarpnęła nerwowo prześcieradło. - Podłe kreatury!

- Owszem. Po drodze wymyślałem dziesiątki sposobów zemsty. Moje nasz przyjaciel, który zniszczył ci pracownię, wyobraził sobie, że teraz mój ruch. A więc zrobię go.

- To jeszcze nie koniec - powiedziała Pandora. - Tej nocy, kiedy cię nie było, ktoś mnie zamknął w piwnicy.

Michael natychmiast zapomniał o jej nagich ramionach i włosach spływających na plecy, które jeszcze przed chwilą pochłaniały całą jego uwagę.

- Zamknął? Jak to? - Popatrzył na nią zbity z tropu. Opowiedziała mu przebieg wydarzeń od momentu, gdy w domu zgasło światło.

- Wdrapałaś się na skrzynie? Do tego małego okienka? Przecie to prawie trzy jardy nad podłogą.

- Tak, zauważyłam.

Michael zerknął na nią z ukosa. Złość, jaką odczuwał z powodu nieprzespanej nocy i niepotrzebnej podróży, podwoiła się. Wyobraził sobie, co mogła czuć - sama, zamknięta w ciemnej piwnicy. Co gorsza, wyobraził ją sobie wdrapującą się na piramidę chwiejących się skrzyń i kartonów.

- Mogłaś sobie skrócić kark.

- Ale nie skręciłam. Podarłam tylko ulubioną parę rajstop, podrapałam oba kolana i uderzyłam się w ramię.

Michael z trudem, ale pohamował gniew. Dał upust emocjom, gdy nadejdzie po temu czas.

- Mogło być gorzej - zauważył tylko i pomyślał, co zrobi, gdy dopadnie tego, kto ją zamknął.

- Było gorzej - odparowała ura ona. - Podczas gdy ty sączyłeś whisky na wysokości trzydziestu tysięcy stóp, ja tkwiłam w zimnej, wilgotnej piwnicy w towarzystwie myszy i pajaków.

- Moje jednak zawiadomimy policję?

- I po co? Nie możemy niczego dowieść. Nawet nie wiemy, kogo moglibyśmy podejrzewać.

- Nowa zasada - powiedział Michael. - Trzymamy się razem. Jeden z nas nie opuści nocą domu bez drugiego. W każdym razie dopóki nie odkryjemy, który z naszych zacnych krewnych uprawia tę grę.

Pandora już chciała zaprotestować, gdy przypomniała sobie, jak bardzo się bała i jak bardzo się czuła samotna.

- Zgoda - przytaknęła. - Teraz... - Przysunęła się do niego. - Tym razem stawiam na wujka Carlsona. W końcu zna ten dom lepiej niż ktokolwiek inny. Mieszkał tu.

- Może liwe, ale tak czy inaczej to tylko domysły. - Michael utkwiał wzrok w suficie. -

Biff też mieszkał tu przez sześć tygodni któregoś lata, kiedy byliśmy dziećmi.

- To prawda. - Pandora również wbiła wzrok w sufit. - Na śmierć o tym zapomniałam.

- Nigdy nie miał za grosz poczucia humoru - zachichotał Michael.

- Nie da się ukryć - przyznała Pandora. - I o ile sobie przypominam, nie lubił ciebie.

- Prawdopodobnie dlatego, że podbiłem mu oko. Pandora uniosła brwi.

- Nigdy o tym nie wspomniałeś. Dlaczego? - spytała.

- Pamiętasz aby w swojej bieliźniarce?

- Oczywiście. To był dowcip w twoim stylu.

- A właśnie, że nie w moim, tylko Biffa - odparł triumfującym tonem.

- Biff to zrobił? - zdumiała się. - Chcesz powiedzieć, e ten mały podlec wło ył mi aby do bieliźniarki? I za to mu doło yłeś? - Pandora najwyraźniej się ucieszyła.

- Nie było trudno.

- To dlaczego nie zaprzeczyłeś, kiedy powiedziałam, e to ty? - zdziwiła się.

- Bo sprawiło mi większą satysfakcję doło enie Biffowi. W ka dym razie on wystarczająco dobrze zna dom. Myślę, e gdybyśmy się postarali, okazałoby się, e większość członków naszej rodziny bawiła tu kiedyś przynajmniej po parę dni. Znalezienie skrzynki z bezpiecznikami w piwnicy nie wymaga specjalnego sprytu. Pomyśl, Pandoro. Jest ich sześcioro, a dodając zapis na cele dobroczynne, siedmioro do podziału. Podziel sto pięćdziesiąt milionów na siedem, a sama zobaczysz, e ka de z nich ma dostateczną motywację. Ka dy ma powód, eby uniemo liwić nam dotrzymanie warunków. aden, o ile się orientuję, nie byłby zdolny do tego, by nam pomóc.

- To jeszcze jeden powód, dla którego pieniądze nigdy mnie nie pociągały -

stwierdziła Pandora. - Nie zrobili niczego więcej, jak tylko zniszczyli moją pracę i dokuczili nam, ale, do licha, Michael, chcę im odpłacić pięknym za nadobne.

- Odpłacimy im ostatecznie za pięć miesięcy. - Michael bezwiednie objął ją ramieniem. Przytuliła się do niego. - Wyobraasz sobie minę Carlsona, kiedy wola wuja zostanie spełniona, a on otrzyma czarodziejską ró d kę i magiczny kapelusz?

Ramię Michaela dawało pewniejsze oparcie, ni to sobie wyobra ała.

- A Biff zostanie z trzema kartonami zapalek - zachichotała. - Wuj Jolley wciąż się śmieje ostatni.

- My te będziemy się śmiać za parę miesięcy - dodał Michael.

- Oczywiście. Ale, ale... trzymasz buty na moim prześcieradle.

- Przepraszam. - Michael ściągnął je dwoma szybkimi ruchami.

- Niezupełnie o to mi chodziło - wyjaśniła. - Nie chcesz przypadkiem przenieść się do swego pokoju?

- Niespecjalnie. Twoje łó ko jest wygodniejsze ni moje. Zawsze sypiasz nago?

- Nie.

- A więc miałem szczęście. - Musnął ustami siniak na jej ramieniu. - Boli?

- Trochę. - Zadr ała lekko.

- Biedna mała Pandora. I pomyśleć, e zawsze mi się wydawało, e jesteś gruboskórna.

- Jestem...

- ...delikatna - dokończył i przeciągnął palcami wzdłuż jej ramienia. - Bardzo delikatna. Nie ma więcej obrażeń? - Przycisnął wargi do jej szyi. Zadrzełi oboje.

- W każdym razie nie takich, które byś zauważyła.

- Jestem bardzo spostrzegawczy. - Przewrócił się na bok, tak że jego ciało stykało się z jej ciałem i spojrzał jej prosto w twarz. Był zmęczony. Tak, był zmęczony i trochę wybity z rytmu przez zmianę czasu, ale nie na tyle, by zapomnieć, o jej pragnie. Nawet gdyby tak się stało, to sposób, w jaki jej ciało reagowało na jego dotyk, od razu przywróciłby mu pamięć. -

Może bym poszukał? - Jego palce powędrowały w dół, tam gdzie prześcieradło wznosiło się kusząco na piersiach.

Wstrzymała oddech, nie chcąc dać po sobie poznać, jak bardzo poruszają ją najłagodniejszy dotyk jego ręki. Czy mogła sobie pozwolić na sięgnięcie po coś, co jest tylko złudzeniem?

Nie może liczyć na to, że to będzie coś trwałego. Michael jest z nią teraz tylko dlatego, że sytuacja temu sprzyja i że oprócz niej nie ma tu żadnej innej kobiety. Dlaczego tak łatwo o tym zapomina?

Widziała jego twarz tu obok swojej. Dostrzegła szczegóły, których starała się nie zauważyć w ciągu wszystkich poprzednich lat. Szare tęczy, prosty, niemal arystokratyczny nos, który cudem jakoś ocalał z licznych bójek na pięści. Delikatny, szlachetny zarys ust. Ust gorących, zaborczych i namiętnych, kiedy dotykały jej warg.

- Michael... - Zawahała się i wzięła go za rękę. Pandora nie była tak zimna i opanowana, na jaką pozowała.

A ponieważ nie była, mógł z łatwością zrobić z nią wszystko, co tylko by chciał.

Zastanawiał się, czy z równą łatwością by się z tego wywinął.

- Michael, czeka nas jeszcze pięć miesięcy pod jednym dachem - przypomniawsza.

- Trafne spostrzeżenie. - Potrzebował ciepła. Pragnął kobiety. Może nadeszła chwila, by zaryzykować wszelkie konsekwencje takiego kroku. Zniżył głowę jeszcze bardziej, niemal dotykając wargami jej ust. - Nie warto ich tracić.

Pozwolę sobie na trochę swobody, pomyślała, tylko raz. Tylko przez chwilę. On jest ciepły i ma delikatne dłonie. Ta noc była długa, zimna i przerażająca. Niezależnie od tego, jak bardzo nienawidziła tej myśli, musiała przyznać, że go potrzebuje. A teraz go ma. Jest obok niej. Daje jej poczucie spokoju i bezpieczeństwa.

Rozchyliła wargi.

Nie robił żadnych planów, kiedy wchodził do jej pokoju. Po prostu chciał być blisko niej i z nią

rozmawiać. Nie kierowały nim zmysły. Pragnął jedynie znaleźć się w domu i być z Pandorą. Kiedy przytuliła się do niego, było czymś naturalnym, a ogarnęła go tęsknota.

Nie chciał niczego więcej, niż zostać tu, gdzie jest, przytulić się, ogrzać.

W niej ta namiętność nie wrzała, ale wzmagała się powoli jak napar, który pozostawiono na wolnym ogniu, dodając po trochu przypraw. Raz skosztować, potem drugi, i smak się zmienia, wzbogaca, intensywnieje. Tak właśnie było z Michaeliem. Czula jego smak, jego zapach, upajała się nim. Miała ochotę ulec zmysłom, poddać się ądzy, która powoli zaczynała w niej wzbierać. Jeśli to zrobi, wszystko się zmieni. Trudno jej było przewidzieć jak, mogła tylko snuć domysły. A więc oparła się sobie i jemu, i temu, co mogłoby zająć między nimi.

- Michael... - zaczęła. - To nierozsądne. Pocałował jej przymknięte oczy.

- To najrozsądniejsze, co ka de z nas zrobiło w ciągu ostatnich lat.

Miała ochotę przytaknąć, ale się powstrzymała.

- Michael, sytuacja jest dostatecznie skomplikowana. Gdybyśmy zostali kochankami i jakoś by się nie uło yło między nami, to jak zdołalibyśmy ze sobą wytrzymać? Przecie mamy zobowiązania wobec wuja Jolleya.

- Jego wola nie ma nic a nic wspólnego z tobą i ze mną w tym łó ku.

Jak mogła zapomnieć, a jeśli on czegoś chce, to nigdy nie rezygnuje? a kiedy ma tak zawzięty i uparty wyraz twarzy, wygląda jeszcze atrakcyjniej. Teraz albo musi mu się przeciwstawić, albo ulec.

- Jego wola ma jak najwięcej wspólnego z tobą i ze mną w tym domu. Jeśli zostaniemy kochankami i nasz wzajemny stosunek się zmieni, czekają nas wszystkie problemy i komplikacje, jakie się z tym wią ą.

- Wymień jakieś.

- Nie bądź śmieszny, Michael.

- Nie miałem najmniejszego zamiaru cię rozśmieszać - obruszył się.

Podobała mu się, kiedy tak le ała obok, z włosami rozrzuconymi w nieładzie na poduszce, z zarówno policzkami, z lekko odętymi wargami. Nigdy przedtem nawet jej sobie w ten sposób nie wyobra ał. Przez myśl by mu to nie przeszło.

- Pragnę cię, Pandoro. Nie ma w tym nic śmiesznego - oświadczył.

Nie, nie było to nic, z czego mogłaby się śmiać. Ale on tak nie myśli. To niemo liwe.

Chciała jednak wierzyć jego słowom. Jeśli nie mo e zbyć ich śmiechem, musi być czujna i nie dopuścić do tego, eby posunęli się za daleko.

- Nie mo na zostać kochankami o tak, po prostu, bez chwili namysłu - powiedziała. -

Jeśli to przedyskutujemy...

- Nie chcę dyskutować na ten temat. - Przycisnął wargi do jej ust. Poczuł, jak jej ciało stopniowo się rozluźnia. - Nie planujemy fuzji przedsiębiorstw, Pandoro, mamy się kochać.

- Otó to. - Odrzuciła wszelkie tęsknoty i pragnienia. Musi być praktyczna. To jej podstawowa zasada.

- Jesteśmy partnerami w interesach. Co gorsza, jesteśmy partnerami w interesach rodzinnych, przynajmniej przez następne parę miesięcy. Gdybyśmy zmienili teraz ten stan, mogłoby to...

- Gdybyśmy... - przerwał jej. - Mogłoby... Czy zawsze musisz mieć gwarancje?

- Zdrowy rozsądek ka e brać pod uwagę wszystkie aspekty.

- Domyślam się, e twój potencjalny kochanek będzie musiał wypełnić formularz zgłoszeniowy - zadrwił.

- Nie bądź wulgarny. - Głos jej dr ał, ale musiała przyznać, e słowa Michaela były na swój sposób bliskie prawdy.

- Wolę być wulgarny, ni mieć twój zdrowy rozsądek.

- Nigdy nie miałeś za grosz zdrowego rozsądku - odparowała. - W przeciwnym razie ka dy twój romans z biuściastą blondynką nie byłby od razu tajemnicą publiczną. Nie stać cię nawet na odrobinę dyskrecji.

- Trafiłaś w sedno. - Michael usiadł. - Nie zapomnij o brunetkach i rudych - dodał.

Nie zapomniała. Obiecała sobie, e nie zapomni.

- Nie chcę teraz na ten temat mówić. - Jej oczy ciskały błyskawice.

- Sama zaczęłaś, a więc skończmy. Chodzę z kobietami do łó ka, zatem zakuj mnie za karę w kajdany. Nawet to lubię.

- O, jestem tego pewna - syknęła.

- Z adną z nich przedtem nie toczyłem długich dyskusji. Niektóre kobiety wolą romans i obopólną przyjemność.

- Romans? - zdziwiła się. - Zawsze nazywałam to inaczej.

- Nie zorientowałabyś się, e to romans, nawet gdyby ci spadł na głowę. Uwa asz, e to dyskretne, e bierzesz sobie kochanka, a udajesz, e go nie masz? Przyrzekasz dozonną wierność, a rozglądasz się za innym? To, co ty nazywasz dyskrecją, ja nazywam hipokryzją.

Nie wstydzę się adnej kobiety, którą znam, niezale nie od tego, czy byłem z nią w łó ku, czy nie.

- Nie interesuje mnie, czego się wstydzisz lub nie. Nie zamierzam być twoją następną obopólną przyjemnością. Zachowaj swój temperament dla tancerek, gwiazdek i statystek.

- Jesteś taką samą snobką jak cała nasza rodzina.

- To nieprawda - zaprotestowała ura ona. - Po prostu nie mam ochoty dołączać do tego tłumu.

- Pochlebiasz mi, kuzynko - zaśmiał się.

- Na to te jest inne słowo.

- Przemyśl to. - Potrząsnął nią nieco gwałtowniej, ni zamierzał. - Nigdy nie kochałem się z kobietą, której bym nie szanował i na której by mi nie zale ało. - Wstał z łó ka i skierował się do drzwi. Pandora patrzyła na niego wzrokiem, który mógłby zabić.

- A więc nie szczędzisz szacunku - zadrwiła.

- Mylisz się. - Popatrzył na nią przeciągle. - Nie ka ę nikomu cię ko na niego zapracować.

Zimna wojna mo e nie być tak stymulująca jak otwarta bitwa, ale w przypadku równorzędnych partnerów mo e okazać się równie wyniszczająca. Przez kilka następnych dni Pandora i Michael nie ustawali we wzajemnych podchodach. Jeśli jedno uczyniło jakąś kąśliwą uwagę, drugie natychmiast rewan owało mu się tym samym. adne z nich nie wywiesiło czerwonej flagi sygnalizującej przystąpienie do ataku, ale nie szczędzili sobie wzajemnych złośliwości i uszczypliwości. Sweeney i Charles nie mogli się nadziwić i tylko czekali, a dojdzie do rozlewu krwi.

- Głupota, kompletna głupota - stwierdziła Sweeney, rozwałkowując ciasto. Była silną kobietą o rumianej twarzy i, w przeciwieństwie do chudego Charlesa, o okrągłych kształtach.

Pochowała dwóch mę ów i teraz utrzymywała się z gotowania. Jej kuchnia zawsze była wysprzątana, pełna smakowitych zapachów przygotowywanych potraw. - Oto kim są.

Rozpuszczone dzieciaki potrzebują silnej ręki.

- Mają przed sobą jeszcze cztery miesiące - powiedział Charles. - Nie uda im się.

- Te coś! - Sweeney obróciła ciasto na drugą stronę. - Uda im się. Są zbyt zawzięci, eby się mieli się poddać. Ale to nie wystarczy.

- Nasz pan chciał, eby przejęli ten dom. Jeśli tak się stanie, my te tu zostaniemy.

- Co będziemy robić w tym du ym pustym domu, kiedy wrócą do miasta? Jak często będą tu przyje d ać? - zastanawiała się głośno Sweeney. - Nasz pan chciał, eby zamieszkali tutaj i byli razem. Dom potrzebuje rodziny. W pewnym stopniu od nas zale y, by tak się stało.

- Nie słyszałaś ich w czasie śniadania. - Charles wypił łyk herbaty.

- To nie ma nic do rzeczy. Widziałam, jak na siebie patrzą, kiedy myślą, e to drugie nie widzi. Trzeba ich tylko pchnąć ku sobie. Zrobimy to - dodała, wkładając ciasto do blachy.

- Jesteśmy za starzy, by mieszać się w sprawy młodych. Sweeney chrząknęła. Oparła ręce na biodrach.

- Otó to! Starzy! Coś mi kiepsko wyglądasz ostatnio - zauważyła.

- Nie, prawdę mówiąc, czuję się lepiej niż w zeszłym tygodniu.

- A jednak wyglądasz kiepsko - powtórzyła Sweeney.

- O, idzie Pandora, trochę mizerna. Pamiętaj, rób tylko to, co ci powiem - napomniała Charlesa.

W nocy spadł śnieg. Trawnik i drzewa pokryte były białym puchem. Pandora potrząsnęła gałęzią. Była z siebie zadowolona. Praca nie mogłaby jej pójść lepiej. Kolczyki, których projekt skończyła, były tak wyjątkowe, e natychmiast naszkicowała do kompletu naszyjnik. Śmiały, geometryczny wzór z miedzi łączony z złotem nie mógł nie rzucać się w oczy. Nie ka dej kobiecie przypadłby do gustu, ale ta, która będzie go nosić, na pewno zwróci na siebie uwagę.

Wchodząc do kuchni, była już głodna jak wilk i w znakomitym nastroju.

- ... jeśli poczujesz się lepiej za dzień lub dwa - dokończyła Sweeney, po czym odwróciła się gwałtownie, jakby zaskoczył ją widok Pandory. - Och, straciłam poczucie czasu

- tłumaczyła się. - Lunch gotowy, właśnie kończę ciasto.

- Z jabłkami? - uśmiechnęła się Pandora, podchodząc bliżej. - Zostało trochę nadzienia? - spytała, wkładając palec do miski. Sweeney klepnęła ją po dłoni.

- Nic z tego. Przed chwilą pracowałaś. Najpierw umyj ręce. Zaraz podam lunch.

Pandora posłusznie podeszła do zlewu.

- Charles źle się czuje? - szepnęła do Sweeney.

- Reumatyzm mu dokucza. To przez tę pogodę. Zresztą jak człowiek się starzeje, wszystko po trochu odmawia posłuszeństwa. - Przyłożyła dłoń do pleców, jakby i ona odczuwała ból. - Có , posuwamy się w latach, nie młodniejemy - westchnęła, zerkając ku Pandorze. - Trudno, starość nie radość.

- Nonsens - zaprotestowała Pandora, ale powa nie się zaniepokoiła. Będzie musiała zwracać większą uwagę na Charlesa. - Po prostu bierzecie na siebie za du o obowiązków.

- Kiedy przyjdą święta... - zaczęła Sweeney. - Có , udekorowanie domu to du o roboty, ale jest potem tak przyjemnie. Charles i ja pójdziemy po południu na strych i przeszukamy pudła.

- Daj spokój, Sweeney! - Pandora zakreśliła wodę i wzięła ręcznik. - Zniosę ozdoby na dół.

- Nie, nie, panienko, tych pudeł jest za dużo i są za ciężkie na taką delikatną dziewczynę. My się tym zajmujemy. Prawda, Charles?

Charles westchnął ciężko na myśl o tym, że będzie musiał kilka razy wchodzić na strych, ale na widok miny Sweeney postanowił nie protestować.

- Proszę się nie martwić, panno McVie, zajmujemy się tym ze Sweeney - zapewnił.

- Mowy nie ma. - Pandora odwiesiła ręcznik. - Zniesiemy z Michaeliem wszystko na dół. Pójdę po niego, żeby już zszedł na lunch.

Sweeney odczekała, a Pandora zniknęła za drzwiami. Zachichotała zadowolona.

Pandora dwa razy zapukała do pokoju Michaela, po czym weszła do środka. Siedział przy maszynie. Zapominając o dumie, zbliżyła się do biurka.

- Chciałabym z tobą pomówić - zaczęła łagodnym tonem.

- Później. Jestem zajęty.

- To wa ne - nalegała, powstrzymując irytację. - Proszę - wycedziła przez zęby.

Zaskoczony, przerwał pisanie.

- O co chodzi? Czy by znowu ktoś z rodziny zrobił jakiś kawał?

- Nie, nie to. Musimy udekorować dom na Boże Narodzenie - wyjaśniła.

Przez chwilę wpatrywał się w nią, jakby nie rozumiał, o czym ona mówi, po czym zaklął pod nosem i wrócił do pisania.

- Mam tu dwunastolatka porwanego dla okupu. ądają miliona dolarów. To jest wa ne.

- Michael, może chociaż na chwilę wrócić do rzeczywistości?

- Spytaj mego producenta - achnął się zirytowany.

- Michael! - Zanim zdołał ją powstrzymać, wyrwała kartkę z maszyny. - Chodzi o Sweeney i Charlesa.

- A co z nimi? - Uspokoił się trochę, ale odebrał jej kartkę.

- Charlesowi znowu dokucza reumatyzm, a Sweeney tego nie czuje się najlepiej.

Wygląda na to, że się postarzała.

- Jest stara. - Michael rzucił kartkę na biurko. - Uważasz, że należałoby wezwać lekarza?

- Nie, byliby wściekli. Sądzę, że powinnam przez parę dni ich obserwować i pilnować, żeby się nie przemęczali. Myślę, że powinniśmy sami zająć się udekorowaniem domu na święta.

- Na pewno sobie poradzisz. Nie mam dziś czasu na takie głupstwa.

- Ja te nie - rozłożyła ręce - ale Sweeney i Charles wbili sobie do głowy, że trzeba to zrobić. Jeśli nie chcemy, żeby wchodzili po kilka razy na strych, musimy ich wyręczyć.

- Bo że Narodzenie jest dopiero za trzy tygodnie.

- Wiem, kiedy jest Boże Narodzenie - zniecierpliwiała się.

- Oni są starzy i mają swoje przyzwyczajenia. Wiesz, że wuj Jolley zawsze dekorował dom po Święcie Dziękczynienia. To tradycja.

- Wiem, wiem. - Michael gwałtownie wstał od biurka.

- Dobrze, bierzmy się więc do roboty.

- Zaraz po lunchu.

Trzy kwadransy później otwierali drzwi na strych.

- Och, zapomniałam już, jakie to cudowne miejsce. - Pandora chwyciła Michaela za rękę. - Spójrz na ten stół, okropny, prawda? Albo ta klatka dla ptaków, co? - zawołała.

- Wuj Jolley mówił, że pracował nad nią sześć miesięcy, a potem nie miał serca, by zamknąć w niej jakiegoś ptaka.

- Tym lepiej dla ptaka - mruknął Michael, ale stwierdził, że sam jest pod urokiem rozległego strychu, istnego skarbcza najrozmaitszych staroci. - Patrz, kamasze - powiedział. -

Widziałaś, żeby kiedykolwiek miał je na nogach?

- A ten kapelusz. - Pandora wzięła do ręki słomkowy kapelusz przyozdobiony kwiatami. - Należał do cioci Katie. Zawsze go wolałam, że jej nie poznałam. Ojciec mówił, że była tak samo zabawna jak wuj.

Michael patrzył na Pandorę, przymierzającą kapelusz.

- Wierzę, jeśli nosiła takie kapelusze. A co powiesz na to?

- Znalazł czarny melonik i włożył na głowę. - No i jak?

- Do twarzy ci w nim - roześmiała się. - Brak tylko wysokiego białego kołnierzyka i laski. Zresztą sam zobacz. - Pociągnęła go przed siebie do lustra, które właśnie się prosiło o renowację.

Przez chwilę przyglądali się swemu odbiciu.

- Elegancka z nas para - za artował Michael, choć miał na sobie zbyt obszerną starą bluzę, a Pandora twarz całą w kurzu. - Potrzebujesz jeszcze tylko jednej z tych długich wąskich spódnic zamiatających podłogę i koronkowej bluzki z falbankami.

- I kamei na aksamitce - dodała, usiłując wyobrazić sobie siebie w takim stroju. - Nie, chyba nosiłabym spodnie i uczestniczyła w manifestacjach w obronie praw kobiet.

- Ładnie ci w kapeluszu. - Michael poprawił go trochę. - Zwłaszcza kiedy masz rozpuszczone włosy. Zawsze podobały mi się długie, choć wyglądałaś na wzruszająco zagubioną, kiedy je obciąłaś. Widać było tylko twoje oczy, które wydawały się jeszcze większe.

- Miałam wtedy piętnaście lat - przypomniała.

- Właśnie wróciłaś z Wysp Kanaryjskich z najdłu szymi i najbardziej opalonymi nogami, jakie widziałem w yciu. Kiedy weszłaś do salonu, omal nie połknąłem talerzyka.

- Byłeś w college'u i otaczał się wianuszek cheerleaderek.

- Ale ty miałaś lepsze nogi - zachichotał.

Pandora udawała, e nie przywiązuje wagi do tej rozmowy. Pamiętała doskonale tamto spotkanie i była mile zaskoczona, e i on je zapamiętał.

- Nie przypuszczałam, e zwróciłeś na nie uwagę.

- Mówiłem ci przecie , e jestem spostrzegawczy.

- Zajmijmy się ozdobami - odrzekła, uznając, e lepiej nie zapuszczać się na niebezpieczny grunt. - Sweeney powiedziała, e pudła są ustawione wzdłu ściany na lewo od drzwi i podpisane. - Nie czekając na Michaela, zaczęła ich szukać.

- O matko - jęknęła. Pudła stały jedno na drugim. Było ich chyba ze dwadzieścia.

Michael wło ył ręce do kieszeni i spojrzał na nią z ukosa.

- Myślisz, e powinniśmy wynająć tragarzy? - spytał.

- Zakasuj rękawy i bierz się do roboty.

Zaczęli znosić pudła na dół. Pochłonięci pracą zapomnieli o wzajemnych docinkach i sprzeczkach. Byli na to zbyt zmęczeni.

W końcu wstawili do salonu ostatnie pudło. Pandora rzuciła się na fotel.

- Czy nie będzie fajnie taszczyć je wszystkie z powrotem na górę po Nowym Roku? -

za artowała.

- Czy nie wystarczyłby jeden plastikowy święty Mikołaj?

- Mo e. - Reszką sił zwlokła się z fotela, przykucnęła i zaczęła otwierać pierwsze pudło. -
Zaczynamy.

Wzięli się ostro do roboty. Wkrótce salon, hol główny i schody były udekorowane bombkami, lampkami i łańcuchami. Pandora stanęła w drzwiach i przyjrzała się wspólnemu dziełu.

- Nieźle - oceniła. - Naprawdę nieźle. Sweeney i Charles przystroją pomieszczenia dla słu by, a to pudło zaniemiemy do jadalni. W ka dym razie początek mamy ju za sobą.

- Początek? - Michael usiadł na schodach. - Nie będziemy się kłócić, kuzynko.

- Jak ju coś się zacznie, trzeba skończyć. Swoją drogą ciekawe, czy moi rodzice przystrajają dom na święta. Cóż ...

- Urwała, zastanawiając się, czy w ogóle będą w domu. - Teraz pora na drzewko.

- Chcesz zaraz jechać do miasta? - zdziwił się.

- Skąd. - Pandora ju sięgała po płaszcz. - Pojedziemy do lasu i je wykopiemy.

- My?

- Oczywiście. Nienawidzę, jak ludzie wycinają drzewa, a po Nowym Roku je wyrzucają. W lesie jest pełno ślicznych małych świerków. Wykopiemy jeden, a potem posadzimy go z powrotem.

- Potrafisz posługiwać się łopata?

- Nie psuj zabawy. - Rzuciła mu kurtkę. - Przyjemnie będzie wyjść i odetchnąć świeżym powietrzem. Na tym dusznym strychu było pełno kurzu. Jak skończymy, wypijemy gorącego rumu na rozgrzewkę.

- Nie znoszę rumu.

Poszli do komórki z narzędziami. Michael wziął jedną łopatę, drugą wręczył

Pandorze. Ruszyli w kierunku lasu, brnąc po kostki w śniegu. Powietrze było rześkie, pachniało sosnami.

- Uwielbiam takie dni - powiedziała Pandora. - Jest tak cicho, spokojnie. Czasem myślę, e wolałabym mieszkać tutaj i tylko od czasu do czasu jeździć do miasta.

Pomyślał o tym samym, ale zdziwił się, e ona to mówi.

- Zawsze mi się wydawało, e lubisz ruch i światła du ego miasta.

- Bo lubię. Ale ciszę i spokój te lubię. Mo e ten? - Zatrzymała się przy małym świerku. - Nie, pień jest krzywy. Chodźmy dalej. Wiesz - ciągnęła - zastanawiam się, czy nie byłoby lepiej jeździć co tydzień do miasta, wiedząc, e ma się takie miejsce jak to, do którego się wraca. Tu mi się lepiej pracuje. O to! - Wskazała następne drzewko.

- Za wysokie. Lepiej poszukajmy całkiem młodego. A co z twoim yciem

towarzyskim? - spytał. - Nie brakowałoby ci znajomych i przyjaciół, gdybyś zamieszkała tutaj?

- Co? - Przypatrywała się drzewku. - Ach, ycie towarzyskie nie jest dla mnie a tak istotne. Najważniejsza jest moja praca. Zresztą i tu mogłabym mieć jakieś rozrywki.

Wyobraził ją sobie spędzającą długie wieczory w towarzystwie uduchowionych typów pozujących na artystów, którzy czytali na głos wiersze Keatsa.

- O, ten będzie odpowiedni. - Pandora zatrzymała się przed nieduym świerkiem. - W sam raz do salonu.

- Świetnie. - Michael wbił łopatę w ziemię. - Bierzmy się do roboty.

Kiedy się pochylił, Pandora zgarnęła łopatą trochę śniegu i rzuciła mu prosto w twarz.

- O, przepraszam - uśmiechnęła się - wygląda na to, e źle wycelowałam. - Zabrała się do kopania, nucąc pod nosem.

Michael energicznie wbijał łopatę w zamarzną ziemię. Ruch dobrze mu robił. Po piętnastu minutach mogli ju zabrać świerczek.

Pandora odetchnęła głęboko i oparła się na łopacie.

- Dobra robota - stwierdziła z satysfakcją.

- Musimy tylko zanieść drzewko do domu, ustawić i... do diabła, nie mamy czym owinać korzeni. W piwnicy były worki.

Wymienili spojrzenia.

- No dobrze - powiedział po chwili. - Pójdę po nie, ale za to ty pozamiatasz w domu igły i ziemię.

- Zgoda.

Zadowolona odwróciła się, eby popatrzeć na kolorowego ptaszka, który usiadł na gałęzi tu nad nią, gdy nagle poczuła uderzenie. Na plecach rozprysnęła się kula śniegowa.

- Przepraszam. - Michael popatrzył na nią ze szczególnym uśmiechem. - Wygląda na to, e źle wycelowałam.

- Odwrócił się i szybko poszedł w kierunku domu.

Pandora odczekała, a zniknął jej z oczu, i zabrała się do lepienia kul śniegowych.

Kiedy Michael nadejdzie, nie będzie miał żadnych szans. Tak była pochłonięta tym zajęciem, że niemal się nie przewróciła, gdy nagle usłyszała za sobą jakiś odgłos. Odwróciła się błyskawicznie, aby rzucić kulą, ale nikogo nie było. Czekwała. Czy by jej się tylko wydawało, czy ktoś poruszał się między drzewami? To byłoby w stylu Michaela - zaskoczyć ją z ukrycia.

Zobaczyła, że kolorowy ptaszek nagle odleciał, jakby go coś spłoszyło.

- No dobrze, Michael, nie bądź tchórzem - zawołała, podnosząc rękę ze śniegą.

- Bronisz swoich pozycji? - Błyskawicznie znalazł się tu za nią i rzucił worek.

- Ale... skąd się tu wzięłeś...? - Pandora była zdezorientowana. - Okrążyłeś mnie?

Przecie słyszałam cię z drugiej strony.

- Nie, ale powinienem był, widząc tę górę kul. Chcesz się bawić w wojnę?

- To tylko system obronny - wyjaśniła i odwróciła się.

- Myślałam, że cię słyszę. Przysięgłabym, że tam, między drzewami, ktoś był.

- Poszedłem prosto do piwnicy i z powrotem. - Podążył za jej wzrokiem. - Widziałaś tam kogoś?

- Michael, jeśli się ze mną droczysz...

- Nie - uciął i pomógł jej wstać. - Chodź, sprawdzimy. Weszli między drzewa.

- Moja była trochę zdenerwowana - tłumaczyła się.

- Albo sądziłaś, że się podkradnę? - domyślił się.

- To te. Pewnie przebiegł zając czy jakieś inne zwierzę.

- Zając z dużymi stopami - powiedział Michael, ujrawszy nagle ślady na śniegu. -

Zające nie noszą butów.

- Wciąż mamy towarzystwo - podsumowała Pandora - A ja myślałam, że

zrezygnowali. - Starła się zachować spokój, ale czuła się nieswojo, mając świadomość, że ktoś ich obserwuje. - Moja powinniśmy porozumieć się z panem Fitzhugh.

- Moja, ale na razie... - Urwał na dźwięk silnika. Rzucił się biegiem naprzód, Pandora z trudem za nim nadążyła. Po pięciu minutach zdyszani znaleźli się w miejscu, gdzie ślady były już całkiem inne.

Najwyraźniej wskazywały, e stał tu samochód. - Chyba d ip -

powiedział Michael. Gdyby od razu tu przybiegł, być mo e jeszcze by kogoś zauwa ył.

- Ktokolwiek to jest, tylko traci czas - zauwa yła zdecydowanie Pandora.

- Nie lubię, jak mnie szpiegują - Patrzył na ślady kół. - Nie będę się bawił w kotka i myszkę przez następne cztery miesiące.

- Co zrobimy?

- Rozpuścimy za pośrednictwem pana Fitzhugh wieści, e naprzykrzają nam się jacyś intruzi. A e mamy pod opieką trochę cennych rzeczy, zdecydowaliśmy się zrobić u ytek z jednej z wiatrówek Jolleya.

- Michael! Mo e to i męczące, ale oni są przecie naszymi krewnymi. - Spojrzała na niego niepewnie.
- Nie będziesz chyba do nikogo strzelał, co?

- Raczej strzelę do kogoś z rodziny ni do obcego. Oni te dbają o własną skórę.

Myślę, e ka dy się zawaha, zanim zaryzykuje, e oberwie śrutem.

- Nie podoba mi się to - skrzywiła się Pandora. - Nie nale y nawet grozić u yciem broni. Mogą być z tego same kłopoty.

- Masz lepszy pomysł?

- Mo emy kupić du ego psa.

- Wspaniale, puścimy go wolno i pozwolimy, eby wbił zęby w jednego z naszych ulubionych krewnych. Będą woleli to ni śrut.

- Nie musi to być a tak zły pies - przekonywała.

- A więc pójdźmy na kompromis i zdecydujemy się na oba rozwiązania.

- Michael...

- Najpierw zadzwonimy do Fitzhugh - zdecydował.

- eby posłuchać jego rady?

- Pewno... jak będę chciał - prychnął.

Roześmiali się jak na komendę. Cała ta rozmowa przypominała dialog z serialu Michaela. Pandora wzięła go pod rękę.

- Najpierw zanieśmy do domu drzewko.

ROZDZIAŁ 7

Wiem, e jest Bo e Narodzenie, Dario. - Michael podniósł fili ankę do ust, stwierdził, e jest pusta, i wziął dzbanek, eby dolać sobie kawy. Same fusy. Westchnął. Problem polegał

na tym, e w Folley trzeba było wędrować przez pół domu, eby dostać się do kuchni. -

Wiem, e będzie przyjęcie na cztery fajerki, ale nie mogę stąd wyjechać.

Nie do końca jest to prawda, pomyślał, słuchając szczebiotania Darli. Jeśli wierzyć jej słowom, mają być „wszyscy”. A to oznaczało huczną imprezę, z masą alkoholu i tłumem gości. Mógłby wyrwać się na dzień, eby wypić kielicha z tym lub owym z przyjaciół. Z

pracą był na bie ąco. Mógłby nawet wyjechać na dłu ej, ale nie miał na to najmniejszej ochoty.

- Dziękuję za zaproszenie - powiedział. - Przeka wszystkim ode mnie yczenia świąteczne. Nie, dobrze mi się mieszka na wsi. Dziwne? Cóż, mo e. - Roześmiał się. Daria znakomicie tańczyła, lubiła się bawić i nie wyobra ała sobie, e poza Manhattanem te mo na yć. - Spróbuję na Nowy Rok, jeśli mi się uda - dodał. - Okay, tak, to na razie.

Z ulgą odłó ył słuchawkę. Daria owszem, podobała mu się, ale nie lubił, kiedy dziewczyna była natrętna, zwłaszcza jeśli spotykali się tylko od czasu do czasu, i to niezobowiązująco. Wiedział, e jest zainteresowana nim jako mę czyzną, ale jeszcze bardziej jego kontaktami z wpływowymi osobami z bran y artystycznej. Nie miał jej tego za złe. Była ambitna i utalentowana, a takie połączenie dobrze rokowało, zwłaszcza jeśli dodać do tego jeszcze łut szczęścia. Postanowił, e po świętach zadzwoni do paru osób i zobaczy, co da się dla niej zrobić.

Pandora obserwowała go w milczeniu, stojąc od dłu szej chwili w drzwiach. Daria, powtórzyła w duchu. Próbowwała sobie wyobrazić kobiety, które pociągały Michaela, kobiety o takich imionach jak Daria, Robin czy Candy. Zadbane, pełne słodczy, kokieteryjne i raczej niegrzeszące inteligencją.

- Popularność jest męcząca, prawda, kochanie? - powiedziała.

Michael obrócił się i spojrzał na nią przeciągle spod na wpół przymkniętych powiek.

- Podśluchiwanie jest niegrzeczne, prawda, kochanie? - odparował.

- Jeśli chciałeś się odizolować, wystarczyło zamknąć drzwi - zauwa yła, ale nie weszła do pokoju.

- Tutaj, eby się odizolować, trzeba by drzwi zabić gwoździami.

- Twoja rozmowa telefoniczna nic a nic mnie nie obchodzi. - Pandora wyglądała na lekko ura oną. - Przysłałam tu zamiast Charlesa. Czeka na ciebie na dole paczka - oznajmiła.

- Dzięki. - Nawet nie starał się ukryć rozbawienia. Na ile znał Pandorę, a znał ją nieźle, słuchała ka dego słowa. - Sądziłem, e to twoje święte godziny pracy.

- Niektórzy tak sobie rozkładają pracę, e w okresie świątecznym mogą mieć trochę wolnego. Nie, nie kłóćmy się - dodała szybko, zanim zdążył zrewanować się ciętą ripostą.

- W końcu zaraz święta, a ponadto mieliśmy trzy tygodnie wytchnienia od naszych rodzinnych artownisiów. Ogłaszam rozejm - obwieściła z uśmiechem, w którego szczerość Michael powa nie wątpił. - Albo moratorium, jeśli wolisz.

- Dlaczego? - zaciekał się.

- Powiedzmy, e cenię sobie świąteczny nastrój. Nawiasem mówiąc, dobrze, e nie musieliśmy kupować du ego złego psa albo u ywać wiatrówki.

- Nie mów hop... - Michael usiadł wygodniej, nie do końca usatysfakcjonowany. -

Wzmianka Fitzhugh o powiadomieniu lokalnej policji i wszczęciu śledztwa mogła zadziałać tylko czasowo. Niewykluczone, e nasi przyjaciele i rodzina wyjechali na świąteczne urlopy.

Tak czy inaczej nie zamierzam uznać, e to ju koniec, i spocząć na laurach.

- Prędzej złamałbyś komuś nos, ni rozwiązał problem ugodowo - zauważyła Pandora.

- Zresztą nieważne. - Machnęła ręką. - Ja w każdym razie mam zamiar cieszyć się świętami i nie myśleć o naszej kochanej rodzinie. - Przerwała na chwilę. - Przypuszczam, e Daria była rozczarowana - rzuciła od niechcenia.

- Przejdź.

Pandora bawiła się naszyjnikiem, który miała na szyi. Michael wiedział, e to oznaka zdenerwowania. Nie spodziewał się takiej reakcji.

- Wiesz, e nie musisz tu zostać - powiedziała po chwili wahania. - Możesz jechać do Nowego Jorku. Dam sobie radę. Wcale mi nie będzie źle samej.

- Zasada numer sześć - przypomniał jej. - Nie rozstajemy się. Zresztą ty sama odrzuciłaś z tuzin zaproszeń.

- To moja decyzja - skwitowała. Znowu zaczęła nerwowo bawić się naszyjnikiem. -

Nie chcę, ebyś czuł się zobowiązany. ...

- To moja decyzja. A mo e nagle uznałaś, e jestem rycerski i wspaniałomyślny?

- Te coś - achnęła się. - Wolę myśleć, e jesteś za leniwy na podróż.

- Nie wątpię. - Skrzywił wargi.

- Michael, czy pęknie z dumy, jeśli ci powiem, e cieszę się, e zostajesz?

Patrzył na nią, gdy tak stała w drzwiach, szczupła i zgrabna, w spodniach i bluzie kontrastujących z kolorem jej włosów.

- Mo e.

- A więc ci nie powiem. - Obróciła się na pięcie i znikła w holu.

Zdumiewająca kobieta, pomyślał, pełna sprzeczności. Mało brakuje, eby oszalał na jej punkcie. Kusila go, musiał przyznać, albo to on wabił ją przy ka dej nadarzającej się okazji. Trudno mu było wyobrazić sobie dwoje ludzi, którzy by się mniej nadawali do pokojowej koegzystencji, do harmonijnego współ ycia. A jednak... jednak niewiele brakowało, a byłby oszalał na jej punkcie. Wiedział, e nie ma sensu teraz wracać do pracy, a więc wstał od biurka i poszedł za nią na dół.

Zastał ją w salonie, gdzie układała paczki pod choinką.

- Ile ju przejrzałaś? - spytał.

- Wszystkie - odpowiedziała. Nie odwróciła się jednak, eby się nie zorientował, jak bardzo się ucieszyła, e zszedł do salonu. - Problem w tym jednak - dodała, pukając w ele-gancko opakowane pudełko - e chyba przeoczyłam prezent od ciebie.

- A kto powiedział, e w ogóle jest?

- No wiesz, mógłbyś mi nie dać prezentu? Byłbyś a tak okropny?

- Owszem. A swoją drogą, kto to jest Borys? - Wskazał srebrne pudełeczko przewiązane białą wstą ką.

- Skrzypek rosyjski, który uciekł z Rosji. Uwielbia moje złote łańcuchy.

- Nie wątpię. A Roger?

- Roger Madison.

Michael na moment otworzył usta ze zdziwienia.

- Ten jankeski baseballista?

- Atak. Mo e zauwa yłeś srebrną bransoletkę, którą nosi na prawej ręce. Zrobiłam ją dla niego w marcu zeszłego roku. Zdaje się, wierzy, e przynosi mu szczęście czy coś w tym rodzaju. - Podniosła niebiesko - złote pudełko i lekko nim potrząsnęła. - Jest bardzo hojny.

- Widzę. Nie dostałaś chyba zbyt wielu prezentów od kobiet?

- Czy by? Za to ty nadrobiłeś ten brak. Czi - czi? - spytała, podnosząc pudełko przewiązane ró ową wstą ką.

- Jest biologiem - wyjaśnił Michael.
- Fascynujące. A Magda zapewne jest bibliotekarką?
- Adwokatem.
- Hm. Ktokolwiek to przysłał, najwyraźniej nie chciał się ujawniać. - Podniosła do góry butelkę szampana przewiązaną czerwoną błyszczącą wstążką. Na kartoniku napisano tylko „Wesołych Świąt, Michael”.
- Niektórzy ludzie nie lubią chwalić się hojnością - powiedział z widocznym uznaniem.
- A ty? - Pochyliła głowę. - W końcu to ogromna buda. Podzielisz się?
- Z kim? - spytał przekornie.
- Powinnam wiedzieć, że jesteś zachłanny. - Wzięła pudełko ze swoim imieniem. - W takim razie sama zjem wszystkie czekoladki - oświadczyła.
- Skąd wiesz, że to czekoladki? - zdziwił się Michael. Uśmiechnęła się.
- Henri zawsze mi daje czekoladki.
- Importowane?
- Szwajcarskie.
- A więc podzielmy się po równo - zaproponował.
- Schłodzę szampana - uśmiechnęła się Pandora.

W jakiś czas potem, gdy weszły już gwiazdy, a ogień w kominku przyjemnie rozgrzał ich ciała, Pandora zaświeciła lampki na choince. Podobnie jak Michael, nie ałowała, że nie bierze udziału w jednym z hucznych i hałaśliwych przyjęć w mieście. Wystarczyło kilka tygodni, by się przekonała, że nie jest tak przywiązana do miasta, jak sądziła. Jej dom jest w Folley. Czy nie zawsze tak było? Nie, nie myślała już o powrocie wiosną na Manhattan. Ale jak będzie się jej mieszkać w Folley samej?

Michael przecie z nią nie zostanie. To prawda, za parę miesięcy będzie właścicielem połowy Folley, ale jego życie - uwzględniając ożywione kontakty towarzyskie - należy do miasta. Na pewno nie zamieszka w Folley, uznała znowu, i myśl ta napełniła ją smutkiem.

Dlaczego właściwie miałby to zrobić? - zastanawiała się. Nie mogą w nieskończoność mieszkać razem. Prędzej czy później będzie musiała napomknąć mu o swojej decyzji pozostania w domu wuja Jolleya. Nie będzie to łatwe.

A jednak była wdzięczna Jolleyowi, choć początkowo, gdy adwokat odczytał

testament wuja, ogarnął ją gniew. Faktem jest, że została zmuszona do przebywania z Michaeliem dzień w dzień, ale przez te parę miesięcy jej życie stało się bardziej interesujące i nabrało więcej kolorytu i wyrazistości niż w ciągu wielu poprzednich lat. I dlatego, mówiła sobie, nie może znieść myśli, że to miałyby się skończyć.

To prawda, że nie był w jej typie. Podobnie jak ona w jego. Z tego, co o nim mówiono, wynikało, że woli bardziej atrakcyjne kobiety, o egzotycznej urodzie. Aktorki, tancerki, modelki. Znał ich mnóstwo. Ona z kolei wolała typ intelektualisty. Mężczyźni, z którymi się spotykała, potrafili godzinami dyskutować o awangardowych pisarzach francuskich i sztukach teatralnych dla wąskiego grona widzów. Większość z nich nie miałaby pojęcia, czy *Ucieczka Logana* jest serialem telewizyjnym, czy poczytnym kryminałem.

Nie mogła zaprzeczyć, e Michael budził w niej po ądanie. Uśmiechnęła się, bo wcale jej to nie przeszkadzało. Wręcz przeciwnie.

Usłyszawszy hałas za sobą, odwróciła się od kominka i... nie mogła uwierzyć własnym oczom. Do pokoju wturlał się mały biały piesek, pośliznął się na posadzce i wpadł z impetem na stolik. Zatoczył się, przekoziółkował dwa razy, wstał i popędził prosto do niej.

Pochyliła się. Psiak wgramolił jej się na kolana i polizął w policzek.

- Skąd się tu wzięłeś? - roześmiała się.

Do czerwonej wstążeczki opasującej szyję pieska była przyczepiona kartka:

„Nazywam się Bruno. Jestem groźnym psem szukającym pani, której mógłbym bronić”.

- Bruno? - Pandora znowu się roześmiała i podrapała pieska za uchem. - Jak bardzo jesteś groźny? - spytała, gdy polizął ją w brodę.

- Szczególnie lubi atakować dokuczliwych krewnych - poinformował Michael, który właśnie wtoczył do salonu barek na kółkach, wraz z lodem i szampanem.

Pandora nie miała pojęcia, w jaki sposób mu podziękować. Była zachwycona tym prezentem.

- Nie jest zły - mruknęła tylko.

- Obiecali, e będzie.

- Kto? - Przytuliła pieska. - Skąd go wzięłeś?

- Ze schroniska. - Michael ściągnął srebrną folię z butelki. - Kiedy w zeszłym tygodniu pojechaliśmy do miasta po zakupy, zostawiłem cię w supermarkecie, pamiętasz?

- A ja myślałam, e poszedłeś poszukać pisemek pornograficznych.

- Oto co znaczy reputacja! Tak czy inaczej udałem się do schroniska i przeszedłem się między boksami. Bruno gryzł jakiegoś psa, eby pierwszy dopaść miski. A potem wyszczerzył do mnie zęby w psim uśmiechu i zaczął merdać ogonem. Wiedziałem, e to ten.

Korek wyskoczył z hukiem i potoczył się po podłodze. Bruno zsunął się z kolan Pandory i zaczął go ze smakiem lizać.

- Mo e jego maniery pozostawiają nieco do yczenia - zauwa yła Pandora - ale gust ma pierwszorzędny. - Wstała i zaczęła, a Michael napełni kieliszki. - Do diabła, nie spodziewałam się takiego prezentu - przyznała. - Dziękuję.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Podał jej kieliszek.

- Jakoś przyzwyczaiłam się, e jesteś nieznośny i gruboskórny.

- Staram się, jak mogę. Stuknęli się kieliszkami.

- Kiedy jesteś taki miły, trudniej mi się powstrzymać przed zrobieniem czegoś głupiego.

- Na przykład czego?

- Na przykład tego. - Postawiła kieliszek na stoliku, potem zrobiła to samo z kieliszkiem Michaela. Nie spuszczać wzroku z jego twarzy, objęła go za szyję. Bardzo powoli zbliżyła usta do jego warg, a się zetknęły.

Były takie, jak się spodziewała. Ciepłe, wyczekujące. Położył jej ręce na ramionach, ale jej nie przyciągnął. Mo e zrozumiał, e na siłę jej nie zatrzyma. Kiedy Pandora stawała się uległa, oddawała się z własnej woli, a nie dlatego, e ktoś ją kusił czy tego ądał. Ofiarowała mu namiastkę intymności, ale nie uległości.

Nie chciał uległości. Nie za tym tęsknił, choć często się z nią spotykał. Nie chciał

równie próby sił, pragnął więzi, poczucia autentycznej bliskości. W Pandorze znalazł to, o czym marzył, choć wcale się tego nie spodziewał. Czuł jej delikatny, podniecający zapach.

Miał przy sobie jej gibkie ciało.

Nie opierała się jego dłoniom, nawet gdy zsunęły się do bioder. Jeśli nadeszła chwila, by zaakceptować to, co dzieje się między nimi, Pandora była na to gotowa. Jeśli teraz nadszedł czas zbliżenia, zaakceptuje to. Na myślenie przyjdzie czas później. Ta noc będzie nocą doznań, cudownych przeżyć, nocą rozkoszy.

Odsunęła się trochę po to tylko, eby się do niego uśmiechnąć.

- Kiedy cię całuję, zapominam, e jesteśmy kuzynami - powiedziała.

- Naprawdę? - Musnął jej wargi. Były niewiarygodnie pełne - pełne i nabrzmięte. -

A kim ci się wydaję? - zaciekawił się.

Zmarszczyła brwi.

- Jeszcze się nad tym nie zastanawiałam.

- A mo e zastanowimy się razem - zaproponował.

- Zaczekaj. - Odsunęła się. - Skoro złamałeś tradycję i dałeś mi prezent pod choinkę ju teraz, przed świętami, zrobię to samo. - Podeszła do drzewka i wzięła do ręki płaskie kwadratowe pudełko. -
Wesołych Świąt, Michael - powiedziała.

Usiadł na poręczu fotela i zaczął rozpakowywać paczkę. Pandora wzięła kieliszek z szampanem. Wypiła mały łyk, czekając w napięciu na jego reakcję. W końcu to tylko upominek, powtarzała sobie. Kiedy rozerwał papier i nie odezwał się, nie wytrzymała.

- Nie jest tak pomysłowy jak pies obronny - rzuciła nieśmiało.

Michael patrzył na naszkicowany ołówkiem portret wuja i nie miał pojęcia, co powiedzieć. Wiedział, że ramkę zrobiła sama. Była srebrna i bogato zdobiona, w stylu, jaki lubił Jolley. Rysunek wprost zaparł mu dech w piersi. Naszkicowała wuja tak, jak go najlepiej zapamiętał, stojącego, lekko pochylonego do przodu, jak gdyby szykował się do wyjścia. Twarz rozjaśniał mu szeroki uśmiech. Narysowała go z uczuciem, talentem i poczuciem humoru, które Jolley bardzo sobie cenił. Kiedy podniósł wzrok, Pandora wciąż niepewnie obracała w ręku kieliszek.

Dlaczego jest taka zdenerwowana? - zadał sobie w duchu pytanie. Sądził, że jest przekonana o wartości swojej pracy, o własnym talencie. Najwyraźniej miał o niej niewłaściwe wyobrażenie. Ona tymczasem wciąż czekała i nadal nerwowo obracała w ręku kieliszek.

- Pandora, nikt nigdy nie podarował mi czegoś, co miałoby dla mnie większą wartość.

- Naprawdę? - spytała z niekłamana radością. Wyciągnął do niej rękę.

- Naprawdę. - Jeszcze raz przyjrzał się rysunkowi. - Wygląda jak uwy - uśmiechnął się.

- Takim go zapamiętałam. - Ujęła jego dłoń. Może sobie powiedzieć, że przecie właśnie Jolley pchnął ich ku sobie, to wszystko. Prawie w to uwierzyła. - Pomyślałam, że może i ty go takim pamiętasz. Ramka jest trochę...

- Pasuje. - Przyjrzał się jej dokładniej. Gdyby znalazł ją w sklepie z antykami, uznałby, że jest oryginalna. - Nie wiedziałem, że robisz takie rzeczy - rzekł z podziwem.

- Ostatnio zaczęłam. Parę wstawiłam do butików.

- To coś całkiem innego niż naszyjniki i kolczyki - stwierdził.

- Tak? - Najwyraźniej była zadowolona, że docenia jej pracę. - Myślałam o tym, czyby ci nie zrobić dla ciebie złotej obręczy z kamieniami, po to tylko, żeby ci dokuczyć.

- Jasne.

- Może w przyszłym roku. A może zrobię ją dla Bruna. - Rozejrzała się po pokoju. -

Gdzie on się podział?

- Pewnie jest koło drzewka, ogląda prezenty. Kiedy przez chwilę był w garażu, zabrał

się do butów do golfa.

- Będziemy musieli go tego oduczyć.

- Wiesz, nie miałem pojęcia, e potrafisz tak rysować.

- Michael po raz kolejny przyjrzał się szkicowi. - Dlaczego nie zostałam malarką?

- A dlaczego ty nie piszesz powa nych powieści?

- Bo lubię to, co robię.

- Właśnie. - Nie znalazłszy Bruna koło choinki, Pandora zaczęła szukać go pod meblami. - Niejeden malarz parał się z powodzeniem wyrobem bi uterii, choćby Salvador Dali... Och, Michael!

Odstawił kieliszek i natychmiast do niej podbiegł.

- Co się stało? - spytał. Zobaczył, e pies le y z zamkniętymi oczami, cię ko dysząc, pod kanapą. Kiedy Pandora go dotknęła, zakwilił tylko i próbował się podnieść.

- Och, Michael, on jest chory. Musimy go zawieźć do lekarza.

- Zanim dojedziemy do miasta, będzie północ. O północy w Bo e Narodzenie nigdzie nie znajdziemy lekarza. - Delikatnie pogłaskał pieska. - Mo e złapię kogoś telefonicznie?

- Myślisz, e coś mu zaszkodziło?

- Sweeney bardzo pilnowała, co je. Zastępuje mu matkę.

- Bruno zaczął się trząść i zwymiotował. Wyczerpany tym wysiłkiem, opadł na bok i le ał bez ruchu. - Chyba coś wypił - mruknął Michael.

- Ta odrobina szampana z korka nie mogła mu zaszkodzić - zaniepokoiła się Pandora.

- Charles nie będzie zachwycony, e Bruno poplamił mu dywan. Mo e powinnam...

Przerwała, gdy Michael chwycił ją za ramię.

- Ile szampana wypić?

- Tylko łyk. Dlaczego... - Urwała nagle, uzmysłowiwszy sobie, co się mogło stać. -

Szampan. Myślisz, e coś z nim nie w porządku?

- Myślę, e jestem idiotą, bo anonimowy prezent nie wzbudził moich podejrzeń. Tylko tyle? Jesteś pewna? Jak się czujesz? - dopytywał się.

- Dobrze. Spójrz na mój kieliszek, jest pełny. - Popatrzyła na niego. - Myślisz...

myślisz, e w szampanie była trucizna?

- Sprawdzimy.

- Ale , Michael, przecie butelka była zamknięta. W jaki sposób ktoś mógłby dodać trucizny?

- Na początku mojej pracy nad *Ucieczką Logana* wypróbowałem ró ne sposoby, jakimi mogą posługiwać się przestępcy. - Przypomniał sobie, jak sprawdzał teorię, dodając barwnika do ywności do butelki Dom Perignon. - Zabójca wstrzyknął cyjanek przez korek.

- To fikcja. - Pandora wzruszyła ramionami, ale zadr ała. - Tylko fikcja.

- Dopóki tego nie sprawdzimy, przyjmijmy to za fakt. Oddam butelkę z resztą szampana do analizy w laboratorium Sanfielda w Nowym Jorku.

- Do analizy - powtórzyła Pandora niepewnie. - Có , tak będzie lepiej. Oboje się uspokojmy. Znasz kogoś, kto pracuje w tym laboratorium?

- Jesteśmy jego właścicielami, a ściślej będziemy za parę miesięcy. Mo e dlatego właśnie ktoś przysłał nam zatrutego szampana.

- Michael, gdyby szampan był zatruty... - Pandorze wydawało się to wprost nieprawdopodobne. - Gdyby był zatruty, to ju nie byłby głupi kawał.

Pomyślał, co by się stało, gdyby wypili go więcej.

- Nie, to ju nie byłby kawał - przyznał.

- To wszystko nie ma sensu. - Pandora podniosła się. - Zniszczenie naszyjnika i bałagan w pawilonie, zamknięcie mnie w piwnicy - to jeszcze jestem w stanie zrozumieć, ale nie wyobra am sobie, eby ktoś z rodziny mógł się posunąć do zbrodniczego czynu. Mo e jesteśmy przewra liwieni. Bruno miał za du o prze yć. Równie dobrze mógł coś zjeść w schronisku.

- Wczoraj, zanim go tu dostarczono, byłem z nim u weterynarza. - Głos Michaela był

spokojny, ale oczy błyszczały groźnie. - Był zdrowy, Pandoro, dopóki nie liznął paru kropli szampana.

- W porządku. Tak czy inaczej trzeba dać wino do zbadania, a nie spekulować. Do pojutra i tak nic nie mo emy zrobić. Na razie nie chcę się tym zajmować.

- Lepiej udawać, e nic się nie stało?

- Nie. - Podniosła pieska i przytuliła do piersi. - Ale dopóki niczego nie udowodnimy, nie chcę myśleć o tym, e ktoś z rodziny próbował mnie zabić. Zrobię mu coś ciepłego do picia, a potem wezmę go na górę i w nocy będę przy nim czuwać.

- Dobrze. - Michael stanął przy kominku, z trudem opanowując wściekłość.

Było ju dobrze po północy, gdy zajązwał do Pandory. Nie mógł ani spać, ani pracować.

Widział ją skuloną na szerokim łó ku, przykrytą po brodę kocami. Ogień w kominku ju się dopalał. Mała lampka przy łó ku rzucała na pokój delikatne światło. Przed kominkiem spał

Bruno. Pandora przykryła go pledem i postawiła obok miseczkę czegoś, co przypominało herbatę. Michael przyklął obok pieska.

- Biedaku! - Pogłaskał go delikatnie.

- Myślę, e ju mu lepiej - usłyszał głos Pandory. Obejrzał się przez ramię. Włosy miała w nieładzie, twarz bladą. Wyglądała pięknie, podniecająco, zmysłowo.

- Musi się po prostu wyspać - powiedział. - Trzeba dołó yć drew do kominka. - Wyjął parę polan ze skrzyni.

- Dzięki. Nie mo esz zasnąć? - spytała.

- Nie.

- Ja te nie. - Przez chwilę siedzieli w milczeniu, Pandora w swoim du ym łó ku, Michael przy kominku.

- Boję się. - Podkuliła nogi.

Nie było to proste stwierdzenie faktu. Wiedział, ile ją to wyznanie musiało kosztować.

Przez chwilę wpatrywał się w milczeniu w ogień.

- Mo emy się stąd wyprowadzić. Jutro pojedziemy do Nowego Jorku. Zapomnimy o tym wszystkim i będziemy się cieszyć wakacjami.

Popatrzyła na niego uwa nie.

- Chcesz tego? - spytała po chwili milczenia.

- Pewnie. - Wzruszył ramionami. - Muszę pomyśleć o sobie - odparł butnym tonem, wiedząc, e to nieprawda.

- Jak na kogoś, kto zarabia na ycie wymyślaniem historii, kiepski z ciebie kłamca. -

Poczekala, a się do niej odwróci. - Wcale nie chcesz wyje d ać. Zgadłam, czego chcesz.

Zgromadzić tu wszystkich naszych krewnych i dać im niezłą nauczke.

- Czy wyobraasz sobie mnie bijącego ciocię Patience?

- Oczywiście będzie parę wyjątków - dodała Pandora. - Ale ostatnią rzeczą, jakiej byś sobie życzył, to dać za wygraną.

- Masz rację. - Wstał, wcisnął ręce w kieszenie i zaczął nerwowo krążyć po pokoju. -

A ty? - spytał. - Ty od początku nie chciałaś mieć z tym wszystkim nic wspólnego. To ja cię namówiłem. Czuję się winny.

Po raz pierwszy od paru godzin Pandora poczuła, że wraca jej dobry humor.

- Nie chciałam urazić twojej miłości własnej, Michael, ale do niczego mnie nie namówiłeś. Nikt by mnie do niczego nie zmusił. Jestem w pełni odpowiedzialna za to, co robię. Nie chcę stąd wyjechać - dodała, zanim zdążył wpaść jej w słowo. - Powiedziałam, że nie potrzebuję pieniędzy wujka, i to była prawda. Mówiłam też, że nie potrzebuję domu, i to też była prawda. Przede wszystkim powodowała mnie dumą. Jestem przerażona, owszem, ale chcę zostać. Och, przestań wreszcie chodzić w kółko. - Powiedziała to z takim zniecierpliwieniem, że nie mógł się nawet uśmiechnąć. Usiadł obok niej na łóżku.

- Tak lepiej? - spytał.

Posłała mu przeciągłe, poważne spojrzenie.

- Tak, Michael, ale miałam tu parę godzin i zastanawiałam się nad tą sytuacją.

Uświadomiłam sobie parę spraw. Kiedyś nazwałeś mnie snobką, i może na swój sposób miałeś rację. Nie przywiązywałam zbyt wielkiej wagi do pieniędzy, bo je miałam. Kiedy okazało się, jaka była ostatnia wola wujka Jolleya, to się specjalnie nie przejęłam. Wyobrałam sobie, że będą trochę zrzędzić i narzekać, ale na tym się skończy. To tylko pieniądze, a kiedyś z nich miałam pod dostatkiem.

- Słyszałaś kiedyś o pazerności lub żądzy władzy?

- O tym nie pomyślałam. Co, na dobrą sprawę, wiem o swoich krewnych? Od czasu do czasu mnie denerwują albo mi dokuczają, ale nigdy nie zastanawiałam się nad adnym z nich z osobna. Nudzą mnie. - Przeciągnęła dłonią po włosach tak, że koc zsunął się jej aż do pasa.

- Ginger musi być mniej więcej w tym wieku co ja, a nic nas nie łączy. Ony Biffa przypuszczalnie nawet nie poznałabym na ulicy.

- Nie mogę zapamiętać jej imienia - wtrącił Michael.

- No właśnie. Tak naprawdę wcale ich nie znamy. Możemy się z nich śmiać, ale co o nich wiemy? Do czego są zdolni? Właśnie zaczęłam się nad tym zastanawiać. To nie arty, Michael.

- Wiem o tym.

- Chcę z nimi walczyć, ale nie mam pojęcia jak. - Rozło yła bezradnie rękę.

- Najpewniejszym sposobem będzie pozostanie tutaj. A mo e... - dodał i ujął jej dłoń, była chłodna i miękka - nale y sięgnąć po inne sposoby.

- Na przykład?

- Na przykład posłać ka demu z naszych krewnych butelkę szampana - powiedział.

- Du ą - dodała.

- Oczywiście. Ciekawe, z jaką reakcją się spotkamy.

- To będzie złośliwy gest, prawda? - zaśmiała się.

- Uhm.

- Mo e nie zaufałam dostatecznie twojemu twórczemu umysłowi - zastanowiła się. -

Myślę, e teraz powinniśmy się trochę przespać.

- Chyba tak. - Przesunął palce wzdłu jej ramienia.

- Nie jestem bardzo zmęczona.

- Moglibyśmy zagrać w kanastę - zaproponował.

- Dlaczego nie. - Nie zrobiła najmniejszego ruchu, by go powstrzymać, gdy zsuwał jej z ramion cienkie ramiączka koszuli.

- Albo - to jej decyzja, oboje o tym wiedzieli - mo emy skończyć tę grę, którą zaczęliśmy na dole.

Uniósł jej dłoń i przycisnął do ust.

- Trzeba zacząć od miejsca, w którym skończyliśmy. O ile sobie przypominam byliśmy... tu. - Przybli ył usta do jej warg. Westchnęła i zarzuciła mu ręce na szyję.

- Wydaje mi się, e masz rację - zgodziła się. Pociągnęła go ku sobie.

Mo e stało się tak dlatego, e oboje dobrze siebie znali. A mo e dlatego, e czekali na to przez całe ycie, ale nie chcieli się spieszyć. Po ądanie było czymś, co mo na było zaspokoić dotykiem, przelotną pieśczoą. Namiętność była bardziej zachłanna, domagała się wszystkiego.

Michael dotykał dłońmi i wargami, chciał poznać ciało Pandory cal po calu, odkryć wszystkie jego tajemnice. Zbyt długo czekał, nazbyt długo jej pragnął, by teraz się spieszyć.

Pandora była bardziej hojna, ni przypuszczał, bardziej otwarta, niepohamowana. Nie prosiła, by ją zdobywać, nie udawała, e trzeba ją namawiać i przekonywać. Przebiegała dłońmi po jego ciele z

taką samą ciekawością odkrywcy, jak on po jej ciele. Przylgnęła wargami do jego ust, a kiedy namiętny pocałunek dobiegł końca, w jej oczach ujrzła nie-pohamowane poądanie i bezgraniczną radość. Jesteśmy ze sobą, pomyślał i ukrył twarz w jej włosach. Zostaniemy kochankami.

Ściągnęła z niego szybkim ruchem bluzę i dotknęła jego skóry. Serce waliło mu młotem. Dotychczas się wzbraniała, teraz zaakceptowała to, co miało nastąpić, nie bacząc na konsekwencje. Na zastanawianie się nad skutkami będzie czas później.

Pochylił się nad nią. Uczył się jej ciała w sposób, którego nie spodziewałby się w najśmielszych wyobrazeniach. Czuł jej delikatny zapach, słabszy w zagłębieniu talii, silniejszy i bardziej podniecający pod piersiami.

Przywarł do niej całym ciałem, jęknęła, gdy poczuła go w sobie. Osiągnęli punkt, w którym adne z nich nie wiedziało, co robi, zapamiętali się, zatopili w sobie, zespolili w sposób jedyny i niepowtarzalny. Nikt nigdy nie dał jej tyle co on. Nikt tyle nie ofiarowywał i tyle nie brał.

Sycili się sobą, ale wciąż im było mało. Kiedy wreszcie spojrzeli na siebie, zobaczyli na swoich twarzach niepomierne zdziwienie. To było coś nowego, coś, co nigdy jeszcze adnemu z nich się nie przytrafiło.

Zapanowała cisza. Le eli w milczeniu obok siebie. Zнали się dobrze, zbyt dobrze, by mówić o tym, co się właśnie stało. Starali się ochłonać. Michael wtulił twarz w szyję Pandory.

- Wesołych Świąt - szepnął.

Pandora westchnęła i położyła głowę na jego ramieniu. Była spokojna i bezpieczna.

ROZDZIAŁ 8

Wyjechali z Folley o świcie w dzień po Bo ym Narodzeniu. Po krótkiej sprzeczce postanowili, e Pandora będzie prowadzić do miasta, a Michael w drodze powrotnej. Przesunął do tyłu fotel i wyciągnął nogi. Pandora ostro nie zje d ała wąską, górską drogą. Nie odzywali się do siebie, dopóki nie znaleźli się na autostradzie.

- A co będzie, jeśli nas nie wpuszczą? - zaniepokoiła się.

- Niby dlaczego? - Michael poprawił się na siedzeniu. Nie był przyzwyczajony do roli pasażera. Po raz pierwszy niecierpliwiła go jazda z Folley do Nowego Jorku.

- Nie mów hop, póki nie przeskoczysz. - Pandora skrzyła ogrzewanie i rozpięła płaszcz. - Dom jeszcze nie jest nasz.

- Drobiazg. - Machnął ręką.

- Jak zwykle pewny siebie - rzuciła z przekąsem.

- A z ciebie jak zwykle pesymistka.

- Ktoś musi być realistą.

- Zrozum... - zaczął, chcąc powiedzieć coś złośliwego, ale zauważył, jak kurczowo ścisną kierownicę. To nerwy, pomyślał. Choć sceneria była isticie bajkowa, trudno było udawać, e wybierają się na wycieczkę. On te był zdenerwowany, i to nie wyłącznie za sprawą zatrutego szampana. Nie spodziewał się, e obudzi się obok niej i poczuje się winny, a tak e odpowiedzialny za to, co się stało.

Przez chwilę w milczeniu obserwował krajobraz przesuający się za oknem.

- Posłuchaj - zaczął jeszcze raz łagodniejszym tonem.

- Nie przejęliśmy jeszcze laboratorium, ale jesteśmy krewnymi Jolleya. Dlaczego jakiś technik miałby nam odmówić wykonania analizy?

- Przekonamy się na miejscu. - Przez następne parę minut prowadziła w milczeniu. -

Michael, co nam właściwie da ta analiza?

- Zaspokoi moją ciekawość - odparł. - Chcę wiedzieć, czy ktoś próbował mnie otruć.

- A więc będziemy wiedzieć czy i dlaczego. Nie będziemy tylko nadal wiedzieć kto.

- To wymaga uczynienia następnego kroku - powiedział.

- Mo emy ich wszystkich zaprosić do Folley na Nowy Rok i kolejno przypiekać na ruszcie.

- Nie artuj sobie - zniecierpliwiła się.

- Nie, właściwie biorę to pod uwagę. Tyle e czas jest niezupełnie odpowiedni. -

Zamilkł na chwilę. Patrzył na jej dłonie w cienkich skórzanych rękawiczkach. Nerwowo zaciskała palce.

- Pandoro, dlaczego mi nie powiesz, co naprawdę cię dręczy? - spytał.

- Nic - odrzekła. Wszystko, skorygowała w duchu. Od dwudziestu czterech godzin nie była w stanie jasno myśleć.

- Nic? - powtórzył.

- Nic ponad to, e ktoś chce mnie zabić. To mało? - rzuciła z irytacją.

- To dlatego wczoraj przez cały dzień chowałaś się w swoim pokoju?

- Nie chowałam się - zaprotestowała. - Musiałam być przy Branie. A poza tym byłam zmęczona.

- Prawie nie tknęłaś tego wspaniałego indyka, którego z takim poświęceniem przygotowała Sweeney.

- Nie przepadam za indykiem.
 - Przecie nieraz jedliśmy razem kolację świąteczną - zauwa ył. - Nie ałowałaś sobie.
 - To bardzo uprzejme z twojej strony, e mi to wypominasz. - Nagle dodała gazu i wyprzedziła jadący przed nimi samochód. - A więc powiedzmy, e byłam nie w humorze.
 - Jak zdołałaś tak szybko wmówić sobie, e to, co się między nami wydarzyło, nie budzi twego entuzjazmu? Dlaczego tak niechętnie o tym myślisz? - To bolało. Czuł, e to bolało, ale nie zamierzał tego okazywać.
 - Skąd e. To absurd - obruszyła się. Przecie o niczym innym nie myślała, tylko o tym, co się wydarzyło. Nie była w stanie skupić się nad niczym innym. Śmiertelnie się tego przeraziła. Nie spodziewała się a takiej reakcji. - Spaliśmy ze sobą. - Wzruszyła ramionami, udając, e bagatelizuje całą sprawę. - Przypuszczam, e oboje wiedzieliśmy, e prędzej czy później do tego dojdzie.
- Dokładnie to samo sobie mówił. Stracił ju orientację, ile razy.
- I co z tego? - spytał lodowatym tonem, ale była zbyt pochłonięta własnym stanem, by to zauwa yć.
 - Jak to co? - odpowiedziała machinalnie. Musi przestać wreszcie analizować sytuację.
- Nie mo e sobie pozwolić na to, by ulec sile namiętności, bo przecie to prowadzi donikąd.
- Michael, nie ma sensu nadawać temu, co zaszło między nami, zbyt du ej wagi.
 - A jaka jest waga właściwa?
 - Jesteśmy oboje dorośli... - zaczęła.
 - No i?
 - Do diabła, Michael, nie muszę ci chyba tłumaczyć - zirytowała się.
 - Owszem, musisz.
 - Jesteśmy oboje dorośli - powtórzyła, jeszcze bardziej zniecierpliwiona. - Mamy potrzeby dorosłych ludzi. Spaliśmy ze sobą, bo tego potrzebowaliśmy - podkreśliła.
 - Bardzo praktyczne podejście - zauwa ył z przekąsem.
 - Jestem praktyczna. - Nagle zachciało jej się płakać.
 - Za bardzo praktyczna, by marzyć o mę czyźnie, który ma dziewczyn na pęczki. Za bardzo praktyczna - kontynuowała, podnosząc głos - by myśleć o zaangażowaniu się w związek z mę czyzną, z którym spędziłam jedną noc. I za bardzo praktyczna, eby traktować jako romantyczne prze ycie to, co nie było niczym więcej ni zaspokojeniem normalnych i podstawowych potrzeb.

- Zatrzymaj się - powiedział.

- Nie.

- Zatrzymaj się albo ja to zrobię za ciebie.

Zacisnęła usta i zastanawiała się, czy blefuje. Na szosie był duży ruch, wołała więc nie ryzykować. Zjechała na pobocze. Michael przekręcił kluczyk w stacyjce, chwycił ją za klapy płaszcza i przyciągnął do siebie. Zanim zdążyła zaprotestować, zamknął jej usta pocałunkiem.

Były w tym pocałunku arogancja, złość, namiętność. Trzymał ją przy sobie, nie zważając na przemykające obok samochody.

Rozwścieczyła go, podnieciła, zraniła. A to, jego zdaniem, stanowczo za dużo. Aden męczył ją tym, że tego nie zniósł. Po chwili puścił ją tak samo nagle, jak chwycił.

- Zrób z tego coś praktycznego - rzucił wyzywająco. Pandora cofnęła się na swój fotel.

Dyszała ciężko. Wściekłym ruchem przekręciła kluczyk i włączyła silnik.

- Idiota - warknęła.

- Tak - przyznał. - Wreszcie w czymś jesteśmy zgodni.

To była długa podróż. Wydawała się jeszcze dłuższa, bo siedzieli w samochodzie w całkowitym milczeniu. Gdy tylko wjechali na Manhattan, Michael zmusił Pandorę, by poszła z nim do laboratorium.

- Skąd wiesz, gdzie to jest? - spytała, gdy zostawili samochód na parkingu podziemnym.

- Sprawdziłem adres w notesie Jolleya. - Michael szedł bez kapelusza, w rozpiętym płaszczu, ściskając pod pachą pudełko z butelką szampana. Nie lubił marznąć, ale uznał, że po gorącej atmosferze, jaka panowała w samochodzie, chłód dobrze mu zrobi. Pchnął drzwi obrotowe i znaleźli się w holu budynku ze szkła i stali. - To wszystko należało do wujka -

powiedział.

- Cały ten budynek? - Pandora nie wierzyła własnym oczom.

- Wszystkie siedemdziesiąt dwa piętra.

Ile firm może się tu mieścić? - zastanawiała się. Ilu ludzi pracować? Jak zdoła wziąć na siebie odpowiedzialność za to wszystko? Gdyby miała okazję porozmawiać z wujem Jolleyem, już by mu wygarnęła, pomyślała z lekkim rozbawieniem. Dopiero by miał uciechę.

- Co miałabym zrobić z siedemdziesięcioma dwoma piętrami w środku miasta?

- Jest cała masa ludzi, którzy się tym zajmą za ciebie.
- Michael opowiedział się straconikom przy windzie. Pojechali na czterdzieste piętro.
- A więc są tu tacy ludzie - zastanowiła się Pandora.
- Kto ich sprawdza?
- Księgowi, prawnicy, menedżerowie. To sprawa wynajęcia ludzi, którzy będą pilnować tych, których zatrudniasz.
- To rzeczywiście wszystko upraszcza.
- Jeśli się martwisz, pomyśl o Jolleyu. Posiadanie fortuny nie odbierało mu radości życia i przyjemności. W gruncie rzeczy traktował biznes jako swego rodzaju hobby.
- Hobby. - Pandora obserwowała numery pojawiające się nad drzwiami windy.
- Kąd powinien mieć jakieś hobby - zauważył Michael.
- Tenis to hobby.
- Sztuką jest utrzymanie w ruchu piłki. Jolley przebił ją na naszą połowę kortu, Pandoro.
- Nie mogę powiedzieć, abym mu była za to wdzięczna - zaśmiała się.
- A więc spójrz na to z innej strony. - Położył jej dłoń na ramieniu i lekko ścisnął. -

Nie musisz wiedzieć, jak wyprodukować samochód, by mieć własny. Wystarczy, że potrafisz prowadzić i znasz przepisy drogowe. Jeśli Jolley sądziłby, że nie znamy przepisów, nie dałby nam kluczyków.

Trochę ją pocieszyło takie ujęcie problemu. A jednak dziwnie było wejść do windy, która po upływie paru miesięcy miała do niej należeć.

- Wiemy, do kogo pójść? - Spojrzała pytająco na Michaela.
- Do niejakiego Silasa Lockwortha.
- Dobrze odrobiłeś lekcje.
- Miejmy nadzieję.

Kiedy winda się zatrzymała, udali się do recepcji laboratoriów Sanfielda. Wykładziny były w kolorze bladego różu, ściany kremowe. Po obu stronach szklanych drzwi stały potężne filodendrony. Kobieta za biurkiem powitała ich szerokim uśmiechem.

- Dzień dobry państwu. W czym mogę pomóc? Michael rzucił okiem na komputer stojący na biurku.

Najnowszy model.

- Chcielibyśmy się zobaczyć z panem Lockworthem - powiedział.

- Pan Lockworth ma spotkanie. Jeśli państwo zechcą podać swoje nazwiska, mo e asystent pana Lockwortha państwa przyjmie.

- Jestem Michael Donahue. A to panna Pandora McVie.

- McVie? - powtórzyła recepcjonistka.

- Tak, Maximillian McVie był naszym wujem - oznajmił. Recepcjonistka dotychczas bardzo uprzejma, stała się jeszcze uprzejmiejsza.

- Jestem pewna, e pan Lockworth osobiście by państwa przywitał, gdybyśmy wiedzieli, e państwo przyjdą. Proszę usiąść, zaraz go powiadomię.

Nie upłynęło nawet pięć minut, a w recepcji pojawił się mę czyzna, który ani trochę nie odpowiadał wyobra eniom Pandory o naukowcu. Był wysoki, szczupły, o sportowej syl-wetce, miał jasne włosy i opaloną twarz. Nie sprawiał wra enia kogoś, kto lubi przesiadywać w laboratorium wśród probówek, szkiełek i mikroskopów.

- Panna McVie. - Podszedł do nich z szerokim uśmiechem na twarzy. - Pan Donahue.

Jestem Silas Lockworth. Państwa wuj był moim dobrym przyjacielem. - Wyciągnął rękę do Michaela.

- Bardzo mi miło. - Michael uściskał mu dłoń. - Przepraszam, e wpadliśmy bez uprzedzenia.

- Nie szkodzi. Jolley robił tak samo. Nigdy nie wiedzieliśmy, kiedy przyjdzie.

Zapraszam do siebie.

Lockworth poprowadził ich do gabinetu poło onego na końcu korytarza, gdzie czekała ich następna niespodzianka. Stały tu wyściełane stare meble, na ścianach wisiały litografie, na biurku piętrzyły się dokumenty. W powietrzu unosił się zapach skóry, w którą były oprawione ksią ki umieszczone na regale sięgającym sufitu. W jedną ze ścian było wbudowane akwarium. Całość sprawiała wra enie gabinetu prezesa du ej korporacji, a nie dyrektora laboratorium.

- Mo e napiją się państwo kawy? - zaproponował. - Gwarantuję, e będzie gorąca i mocna.

- Nie, dziękujemy. - Pandora nerwowo ścisnęła rękawiczki. - Nie chcemy zabierać panu zbyt du o czasu.

- Ale cała przyjemność po mojej stronie - zapewnił ją Lockworth. - Jolley nieraz o was mówił. - Gestem dłoni zaprosił ich, by usiedli. - Nie ulega wątpliwości, e byliście jego ulubieńcami.

- I on naszym - powiedziała Pandora.

- No, ale na pewno nie przyszliście tutaj bez powodu. Czym mogę służyć?

- Chcielibyśmy oddać coś do analizy - zaczął Michael. - W miarę możliwości szybkiej i dyskretnej.

- Rozumiem. - Silas uniósł brwi. Znał się na ludziach. Widział, że Pandora z trudem ukrywa zdenerwowanie, a Michael wzburzenie. Miał wrażenie, że coś ich łączy, choć od kiedy weszli do gabinetu, nie popatrzyli na siebie ani razu.

Mógłby odmówić. Część personelu przebywała jeszcze na urlopie, a pracy było dużo.

Nie miał na razie wobec nich żadnych zobowiązań, ale nie zapomniał, ile zawdzięczał

Jolleyowi McVie.

- Postaramy się wam pomóc - zwrócił się do Michaela i Pandory.

Michael otworzył pudełko i wyjął butelkę.

- Musimy mieć analizę zawartości tej butelki. Jeszcze dzisiaj. To poufne zlecenie.

Lockworth obejrzał nalepkę.

- Rocznik siedemdziesiąt dwa. Bardzo dobry. Czy byście myśleli o założeniu winnicy?

- Chcemy wiedzieć, co oprócz szampana jest w środku - oświadczył Michael.

- A macie powody, by myśleć, że coś tam jeszcze jest?

- Lockworth nie krył zdziwienia.

- Inaczej by nas tu nie było.

- Dobrze. Sam to zaniosę do laboratorium. Niezadowolona z obcesowego zachowania Michaela Pandora szybko wstała i wyciągnęła rękę do Lockwortha.

- Przepraszamy za kłopot i bardzo panu dziękujemy - powiedziała. - Jestem pewna, że ma pan dużo o pracy, ale ta sprawa jest dla nas niezwykle ważna - tłumaczyła się.

- Nie ma o czym mówić. - Lockworth postanowił, że gdy tylko wykona analizę wina, postara się dowiedzieć, dlaczego jest to dla nich tak ważne. - Jest u nas kawiarnia dla personelu.

Zaprowadzę was. Zaczekajcie tam na mnie.

- Nie musiałeś być nieuprzejmy. - Pandora usiadła przy stoliku i zaczęła studiować zdumiewająco różnorodne menu.

- Nie byłem.

- Owszem, byłeś. Pan Lockworth poświęcił nam tyle czasu, był taki miły, a ty zachowałeś się jak prostak. Chyba wezmę sałatkę z krewetek.

- Jaki prostak?! Po prostu chciałem być ostro ny. Mo e uwa asz, e powinniśmy o wszystkim powiedzieć komuś zupełnie obcemu?

Pandora uśmiechnęła się do kelnerki.

- Proszę sałatkę z krewetek i kawę.

- Dwie kawy - rzucił Michael. - I porcję indyka.

- Nie zamierzam, jak to sugerujesz, wszystkiego opowiadać komuś zupełnie obcemu.

Natomiast jeśli nie mamy zaufania do Lockwortha, to lepiej kupić od razu zestaw „małego chemika” i próbować na własną rękę zbadać szampana.

Przez parę chwil, a do przyścia kelnerki, siedzieli w milczeniu.

- Pij kawę - mruknął Michael, podnosząc do ust swoją fili ankę.

- Myślisz, e to długo potrwa?

- Nie mam pojęcia. Nie znam się na tym.

- Nie wygląda na naukowca, prawda? - zauwa yła.

- Na uje d acza koni.

- Co?

- Wygląda na uje d acza koni. Zastanawiam się, czy Carlson lub ktoś z rodziny jest w ogóle zainteresowany tym budynkiem.

- Nie myślałam o tym - przyznała.

- O ile mnie pamięć nie myli, dwadzieścia pięć lat temu Jolley włączył Tristar Corporation do firmy Monroe. Słyszałem, jak rodzice o tym rozmawiali.

- Tristar? Co to takiego?

- Plastik. Rozdawał po kawałku tego tortu to tu, to tam. Powiedział mi kiedyś, e chciał dać wszystkim swoim krewnym szansę, zanim ich skreśli z listy.

Pandora wzruszyła ramionami i wypła łyk kawy.

- Co za ró nica, jeśli nawet dał komuś parę udziałów w Sanfieldzie?

- Nie wiem, do jakiego stopnia mogliśmy wtedy ufać Lockworthowi.

- Czułbyś się lepiej, gdyby był łysy i niski, w grubych okularach i mówił z lekkim niemieckim akcentem? - za artowała.

- Mo e.

- A widzisz? - zaśmiała się rozbawiona. - Jesteś zazdrosny, bo ma szerokie ramiona. -

Zatrzepotała rżęsami. - Oto i twój indyk.

Jedli pomału, wypili jeszcze po jednej kawie i zamówili placek z jabłkami. Po półtorej godzinie nie mieli ju ani sił, ani ochoty na przekomarżanie się i docinki. Siedzieli w milczeniu zdenerwowani i zniecierpliwieni. W końcu w drzwiach pojawił się Lockworth.

- Nareszcie. - Pandora odetchnęła z ulgą. Lockworth podszedł do nich, poło ył na stoliku komputerowy wydruk analizy i oddał pudełko Michaelowi.

- Pomyślałem, e zechcecie mieć kopię - powiedział, siadając. Skinął na kelnerkę, eby podała mu kawę.

Pandora popatrzyła na długą listę terminów chemicznych. Nic dla niej nie znaczyły, ale wątpiła, by trichloroetylen czy inna wielosylabowa substancja nale ała do szampana francuskiego.

- Co to znaczy?

- Sam się nad tym zastanawiałem. - Lockworth wyjął papierosy. Michael patrzył na niego przez chwilę z nadzieją.

- Dlaczego ktoś miałby dodawać do szampana pyłek ró any?

- Pyłek ró any? - powtórzył Michael. - To chyba trujące.

- Teoretycznie tak - potwierdził Lockworth. - Ale ta ilość, która była w szampanie, wystarczyłaby od biedy, ebyście chorowali przez dzień lub dwa. Przypuszczam, e nie mieliście adnych dolegliwości?

- Nie. - Pandora popatrzyła na Lockwortha. - Tylko mój piesek chorował - wyjaśniła. -

Kiedy otworzyliśmy butelkę, korek upadł na podłogę i on go wylizał. Zanim zdą yliśmy sami wypić, ju był chory.

- Szczęśliwie dla was, choć to ciekawe, e przyszło wam do głowy, i szampan był zatruty, skoro pies się rozchorował - zdziwił się.

- Na szczęście dla nas. - Michael zło ył wydruk i schował do kieszeni.

- Proszę wybaczyć memu kuzynowi jego zachowanie - tłumaczyła się Pandora. -

Dziękujemy, e zechciał nam pan poświęcić swój czas. Obawiam się, e wyjaśnienie całej sprawy nie jest w tej chwili mo liwe, ale mogę panu powiedzieć, e mieliśmy uzasadnione powody, by podejrzewać to wino.

Lockworth skinął głową. Jako naukowiec a nadto dobrze wiedział, co to znaczy teoretyzowanie.

- Dajcie mi znać, jeśli potrzebna będzie bardziej wyczerpująca ekspertyza. Jolley był bardzo wa ną osobą w moim yciu. Uznajmy to za przysługę dla niego.

- Proszę wybaczyć moje niefortunne zachowanie. - Michael wstał i wyciągnął rękę.

- Sam byłbym trochę zdenerwowany, gdyby ktoś dał mi do zdegustowania pestycydy - stwierdził Lockworth. - Proszę się ze mną skontaktować, gdybym mógł być w czymś jeszcze pomocny.

- No i co teraz? - spytała Pandora, gdy zostali sami.

- Zrobimy wycieczkę do sklepu z alkoholami - powiedział Michael. - Musimy kupić parę upominków.

Kupili po butelce takiego samego szampana dla krewnych. Michael dołączył do ka dej karteczkę ze słowami: „Przysługa za przysługę”. Polecili, by wysłano je pod wskazane adresy.

- Kosztowny gest - zauwa yła Pandora, gdy wyszli na ulicę.

- Traktuj to jak inwestycję - zasugerował.

Nie chodziło jej o pieniądze. Nagle zdała sobie sprawę z bezowocności tych działań.

- Właściwie co nam to da? - Zawahała się.

- Kilka butelek najpierw wzbudzi zdumienie, ale później zostanie nale ycie docenionych. Ale jedna będzie informacją, wręcz groźbą.

- Cenna pogró ka - parsknęła Pandora. - Przecie i tak nie zobaczymy reakcji obdarowanych.

- Rozumujesz jak amatorka.

- Co to ma znaczyć? - Chwyciła go za ramię.

- Kiedy amator robi komuś kawał, myśli, e musi być świadkiem efektu.

- Od kiedy to zatrucie szampana jest kawałem? - obruszyła się Pandora.

- Zemstą kierują te same reguły - wyjaśnił.

- Och, rozumiem. A ty jesteś ekspertem w tych sprawach.

- Mo e i jestem. Wystarczy mi, e ktoś popatrzy na butelkę i się zdenerwuje. Będzie wiedział, e my wiemy i e tak łatwo mu nie pójdzie. e odpłacimy mu pięknym za nadobne.

Twój problem polega na tym, i nie dajesz upustu emocjom na tyle, by cenić sobie zemstę.

- Zostaw w spokoju moje emocje!

- Oczywiście.

Chwyciła go za rękę. Twarz miała zaró owioną od wiatru, w głosie słychać było tłumioną złość.

- Nie byłeś taki poirytowany z powodu szampana czy ró nych poglądów na zemstę.

Jesteś wściekły, poniewa potraktowałam nasze stosunki w sposób praktyczny i racjonalny -
wybuchła.

- Okay - przyznał, zatrzymał się na chwilę, po czym ruszył dalej. Pandora chwyciła go za ramię. -
Chcesz to roztrząsać właśnie teraz? - zniecierpliwił się.

- Nie pozwolę, ebyś mnie traktował lekcewa ąco tylko dlatego, e ucięłam to, zanim ty miałeś szansę
to zrobić.

- Zanim ja miałem szansę? - Chwycił ją za płaszcz. - Z trudem pogodziłem się z tym, co między nami
zaszło. Pragnąłem cię. Do diabła, wciąż cię pragnę. Bóg jeden wie dlaczego.

- Có , ja te cię pragnę i wcale mnie to nie cieszy.

- A więc wygląda na to, e mamy kłopoty.

- I co teraz zrobimy?

Patrzył na nią i widział, e jest zła. Ale widział te , e jest zakłopotana. Ktoś musi uczynić pierwszy
ruch. Uznał, e tym kimś będzie on. Wziął ją za rękę i pociągnął na drugą stronę ulicy.

- Dokąd idziemy? - zdziwiła się.

- Do Plaza.

- Do hotelu Plaza? Po co?

- Weźmiemy pokój, zamkniemy drzwi na klucz, wywiesimy kartkę „Nie przeszkadzać” i będziemy się

kochać przez następne dwadzieścia cztery godziny. A potem zdecydujemy co dalej.

- Nie mamy бага u - achnęła się.

- Nie mamy. Moja reputacja będzie zagrożona.

Weszli do eleganckiego holu. Panujące tu ciepło rozgrzało Pandorę i pobudziło jej nerwy. To tylko impuls, powiedziała sobie. Wiedziała, że pod wpływem impulsu nie należy podejmować żadnej decyzji, która może wszystko zmienić. Chciała się wycofać, ale położył jej dłoń na ramieniu i zatrzymał ją.

- Tchórz - mruknął. Nie mógł wybrać odpowiedniejszego określenia, by ją zatrzymać.

- Dobry wieczór - uśmiechnął się do recepcjonistki. Pandora zastanawiała się przez chwilę, czy jego uśmiech byłby tak samo czarujący, gdyby w recepcji siedział mąż czyżna. -

Proszę o formularz zgłoszeniowy.

- Ma pan rezerwację? - spytała recepcjonistka.

- Donahue. Michael Donahue - powiedział. Urzędniczka nacisnęła parę klawiszy i spojrzała na monitor.

- Obawiam się, że nie mam takiej rezerwacji.

- Cała Katie - westchnął Michael i posłał Pandorze wymowne spojrzenie. - Nie powinienem jej powierzać załatwienia nawet tak błahej sprawy.

Pandora poklepała go po ręce, pojmując w lot, o co chodzi.

- Będziesz ją musiał zwolnić. Wiem, że pracuje u twojej rodziny od czterdziestu lat, ale kiedy ktoś dobiega siedemdziesiątki...

- Zdecydujemy po powrocie do domu - orzekł i ponownie zwrócił się do recepcjonistki. - Najwyraźniej zaszło jakieś nieporozumienie między moją sekretarką a hotelem - wyjaśnił. - Chcemy zostać w mieście tylko do jutra. Nie ma pani nic wolnego?

Urzędniczka ponownie spojrzała na monitor. W takich sytuacjach ludzie na ogół tracili samokontrolę. Spokojny ton Michaela zjednał mu jej sympatię.

- W okresie świątecznym trudno o miejsce, sam pan rozumie - tłumaczyła, naciskając kolejne klawisze. - O, jest wolny apartament.

- Świetnie - ucieszył się Michael. Wziął formularz do wypełnienia. Odbierając klucz, uśmiechnął się raz jeszcze do recepcjonistki.

- Dziękuję, że zabrała pani tyle trudu - powiedział. Zauważył boy'a hotelowego i wręczył mu

banknot.

- Poradzimy sobie, dziękuję - rzucił.

Chłopak popatrzył na dwudziestodolarówkę, którą trzymał w dłoni, i zdziwiony rozejrzał się za bagażem.

- Tak, sir! - wykrzyknął uradowany.

- Myśli, e mamy potajemną randkę - powiedziała Pandora, gdy wchodzili do windy.

- Bo tak jest. - Zanim drzwi się zamknęły, przyciągnął ją do siebie i zamknął jej usta pocałunkiem, który trwał przez dwanaście piętér. - Właśnie się spotkaliśmy. Nie mamy wspólnych wspomnień z dzieciństwa, nie należymy do tej samej rodziny. - Włożył klucz do zamka. - Nie obchodzi nas, jak zarabiamy na życie, nie wiemy o sobie prawie nic.

- Myślisz, e to upraszcza sprawę? - spytała powątpiewająco.

- Przekonamy się.

Nie dał jej czasu na zastanawianie się czy roztrząsanie tego tematu. Po zamknięciu drzwi wziął Pandorę w ramiona. Przylgnęli do siebie z furją, desperacko, jakby to spotkanie miało być pierwszym i ostatnim. Zapomnieli o otaczającym ich świecie, o tym, gdzie są, skąd przybyli, co zamierzają. Zatopili się w sobie bez reszty.

Zrzucili na podłogę płaszcze jeszcze zimne od wiatru. Za płaszcami poszły swetry i koszule. Nie uszli nawet kilku kroków od drzwi i osunęli się na dywan.

- Cholerna zima - złorzeczył Michael, zmagając się z butami.

Pandora walczyła ze swoimi. Jęknęła, gdy przylgnął wargami do jej piersi.

Kochali się gwałtownie, pospiesznie, z zapamiętaniem, nie dając sobie chwili wytchnienia. Były to całkiem nowe doznania, nie przypominające w niczym uniesień pierwszej nocy. Palce dotykały ciała inaczej niż przedtem, usta inaczej całowały.

Serce Pandory nigdy jeszcze nie biło tak szybko. Jej ciało jeszcze nigdy nie było tak rozpalone. Chciała coraz więcej i więcej, wszystkiego, co mógł jej dać. Całowała gorączkowo jego twarz, szyję, piersi.

Nigdy by nie podejrzewał, e może być tak dzika i niepoohamowana. Domagała się pieśzczot w sposób, o jakim mężczyzna mógł tylko marzyć. Jego ciało ją fascynowało, ekscytowało, podniecało. Sprawiała, e niemal zatracił świadomość, i w końcu zespolił się z nią w akcie jedynym i niepowtarzalnym.

Nigdy nie przypuszczała, e mężczyzna może dać kobiecie tak wiele. On wiedział, e może brać od niej wszystko, co zechce, ądać, czego tylko zapagnie, a ona mu nie odmówi.

Ale nie brał i nie ądał. Dawał. To było więcej, ni zdołała sobie wyznaczyć, więcej ni mogła znieść, nieprawdopodobnie więcej.

Zostali tam, gdzie byli, na dywanie, wśród rozrzuconych ubrań. Pandora powoli wracała do rzeczywistości. Widziała pastelowe ściany, promienie słońca wpadające przez okno. Czowała połączone zapachy ich ciał, włosy Michaela na swoim policzku, słyszała bicie jego serca.

Tak szybko się to stało, pomyślała. A mo e upłynęły godziny? Jedyne, czego była pewna, to e nigdy przedtem nie doświadczyła czegoś podobnego. Nigdy na coś podobnego sobie nie pozwoliła, skorygowała samą siebie. Dziwne rzeczy mogą się przytrafić kobiecie, która da upust swojej namiętności. Zanim znów otrzeźwieje, mogą w niej zajść zdumiewające zmiany. Mo e się w jej serce na przykład zakraść uczucie, przywiązanie, ba, nawet miłość.

Złapała się na tym, e głaszczce włosy Michaela, i opuściła rękę. Nie mo e sobie pozwolić na miłość, nawet na krótko. Miłość nie tylko daje, równie bierze. Od dawna o tym wiedziała. I nie zawsze to dawanie i branie odbywa się w jednakowych proporcjach. Michael nie był mę czynną, którego kobieta mogłaby kochać w sposób praktyczny, a ju z całą pewnością nie rozsądny. Zdawała sobie z tego sprawę. On nie podporządkowałby się adnym regułom.

Będzie jego kochanką, ale nie będzie go kochać. Z Michaelem prze yje zwykłą przygodę bez konsekwencji. Przygoda to brzmi znacznie praktyczniej ni romans.

Westchnęła jednak tęsknie.

- Obmyślasz to? - spytał.

- Nie rozumiem, o czym mówisz - zdziwiła się.

- Zastanawiasz się nad zasadami naszego związku? - Uniósł nieco głowę i popatrzył

na nią z góry. Nie uśmiechał się, ale Pandorze wydawało się, e jest rozbawiony.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Słyszę niemal, jak pracują zwoje twego mózgu, Pandoro. Widzę, co się dzieje w twojej głowie.

- Podobno właśnie się spotkaliśmy.

- Jestem dobrym psychologiem. Myślisz - delikatnie skubnął zębami jej wargi - e nale y utrzymać nasze... stosunki na racjonalnej płaszczyźnie. Zastanawiam się, jak zachowasz dystans emocjonalny, kiedy będziemy ze sobą sypiać. Zdecydowałaś, e w nasz związek nie wkradnie się nawet cień romantyzmu.

- W porządku. - Poczwała się głupio. Przesunął dłonią wzdłu jej biodra i sprawił, e zadr ała. - Skoro jesteś taki mądry, zrozumiesz, e tylko posłu yłam się zdrowym rozsądkiem.

- Wolę, jak twoje ciało się rozpala i wyzbywasz się wszelkiego rozsądku. Ale -

pocałował ją, zanim zdążyła odpowiedzieć - nie możemy nie wychodzić z łóżka. Nie wierzę w związki wyrozumowane, Pandora. Nie wierzę w dystans emocjonalny między kochankami.

- Masz w tej dziedzinie spore doświadczenie.

- Zgadza się. - Usiadł. I coś ci powiem. Możesz tłumić emocje, ile tylko chcesz.

Możesz nazywać to, co zachodzi między nami, w sposób tak prozaiczny i praktyczny, jak tylko potrafisz. Możesz kręcić nosem na kolację przy świecach i nastrojową muzykę. I tak będzie to bez znaczenia i niczego nie zmieni. - Odgarnął jej do tyłu włosy i przechylił głowę.

- Mam zamiar doprowadzić do tego, kuzynko, a będziesz myślała tylko o mnie, wyłącznie o mnie. Gdy obudzisz się w środku nocy, a mnie przy tobie nie będzie, zapragniesz, abym był.

A kiedy cię dotknę, zapragniesz mnie natychmiast.

Zadrżała. Wiedziała a nadto dobrze, że on ma rację. Wiedziała też, że będzie się opierała do końca.

- Jesteś arogancki, egocentryczny i naiwny - stwierdziła.

- Nieźle. A ty jesteś zawzięta, uparta i perwersyjna. W tej sprawie możemy być jedynie pewni tego, że jedno z nas wygra.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

- Następna gra? - mruknęła Pandora.

- Może. Może to tylko gra. - Wstał i wziął ją na rękę.

- Michael, nie trzeba mnie nosić - zaprotestowała.

- Owszem, trzeba.

Przeszedł z nią do sypialni. Najpierw usiłowała się wyrwać, ale w końcu się poddała.

Może tylko ten jeden raz, pomyślała.

ROZDZIAŁ 9

Styczeń był mroźny i wietrzny, padał śnieg, niebo zasnuwały szare chmury. Każdego dnia było tak samo zimno jak poprzedni. Był to miesiąc zamarzających i pękających rur, buchających pieców i unieruchomionych silników. Pandora uwielbiała taką pogodę. Mróz osiadał na szybach pawilonu, a w środku zawsze panował chłód, nawet jeśli ogrzewanie było włączone. Pracowała, dopóki nie skostniały jej palce, i cieszyła się każdą chwilą.

W ciągu tego miesiąca droga prowadząca do Folley często była nieprzejezdna.

Pandorze wcale nie przeszkadzało, e nie mo e się stąd wydostać. Spi arnia i zamra arka były pełne, a w komórce piętrzył się stos drew do kominka. Uwa ała, e mają tu wszystko, co jest im potrzebne do ycia. Dnie były krótkie i pracowite, noce długie i cudowne. Od czasu incydentu z szampanem nic zaskakującego się nie wydarzyło. Zima była spokojna i monotonna.

Monotonia to nie było właściwe słowo, uznała. Wykańczała właśnie grubą miedzianą bransoletę. Nie mo na powiedzieć, by nic się nie wydarzyło. Co prawda, nikt z zewnątrz ich nie niepokoił, ale... Kłopoty, jak dobrze wiedziała, to była specjalność Michaela Donahue.

Co chciał wskórać, zostawiając jej na poduszce bukietik fiołków? Była pewna, e zdobycie w styczniu tych małych liliowych kwiatków wymagało posłania się czarodziejską ró d ką. Kiedy go o to zagadnęła, odparł z uśmiechem, e fiołki nie mają kolców. Co to za odpowiedź? - zastanawiała się. Co on chce przez to powiedzieć?

Któregoś dnia po wyjściu z łazienki zastała sypialnię rozświetloną tuzinem świec. Na jej pytanie, czy wyłączono prąd, roześmiał się tylko i pociągnął ją na łó ko.

Zdarzało się, e przy kolacji brał ją za rękę, a o świcie szeptał jej do ucha czule słówka. Kiedyś, nie pytając, wszedł z nią pod prysznic i nie zwa ając na protesty, umył jej sam ka dy cal ciała. Nie myliła się. Michael Donahue nie przestrzegał adnych reguł. I on się nie mylił. Zawładnął nią bez reszty.

Pandora zabrała się do polerowania bransoletki. W ciągu minionych dwóch tygodni zrobiła ich sześć. Wierzyła swojej intuicji, a intuicja mówiła jej, e sprzedaje bardzo szybko, szybciej, ni nadą y z produkcją następnych. I e pojawią się imitacje.

Nie miała nic przeciwko imitacjom. W końcu tylko jeden egzemplarz był oryginalny i rozpoznawalny jako dzieło Pandory McVie. Kapiom brakowało czegoś szczególnego, znamion talentu.

Zadowolona ze swojej pracy obracała w rękę bransoletkę. Nikt nie wzięłby adnego z jej dzieł za imitację. Często u ywała szkiełek zamiast kamieni szlachetnych czy półszlachetnych, poniewa szkło wyra ało jej nastrój w danej chwili. Ka dy egzemplarz jednak, który wyszedł spod jej ręki, był jedyne i na swój sposób niepowtarzalny. Nigdy nie zastanawiała się nad ceną, kiedy tworzyła. Najwa niejsza była dla niej sztuka, a zysk pozostawał sprawą marginesową. Jej twórczość była za ka dym razem inna, ale nie kłamała. Zawsze wyra ała szczerze jej uczucia i nastroje.

Popatrzyła na bransoletkę i westchnęła. Jej sztuka nie kłamała, a ona? Czy mo e być pewna, e jej uczucia są tak samo autentyczne jak jej bi uteria? Uczucia mo na imitować.

Emocje mogą wprowadzić w błąd. Ile razy w ciągu minionych tygodni udawała? Nie udawała, e czuje; udawała, e nic nie czuje. Zawsze była dumna ze swojej uczciwości.

Prawda i niezale ność szły ręką w rękę z jej systemem wartości. Ale wciąż się okłamywała, a to najgorsza forma oszukiwania.

Najwy szy czas z tym skończyć, powiedziała sobie. Czas spojrzeć prawdzie w oczy i przyznać się do swoich uczuć, choćby tylko przed sobą samą.

Od kiedy jest zakochana w Michaelu? Od tygodni? Miesiące? Lat? Nie potrafiłaby odpowiedzieć na to pytanie, bo sama dobrze nie wiedziała. Ale była pewna swoich uczuć.

Kocha. Tego była pewna, bo kochała tylko parę osób w życiu, a kiedy ją kochała, to bezgranicznie. Moim było jej największym problemem. Czy kochanie Michaela bezgranicznie nie jest rodzajem samounicestwienia?

Lepiej się do tego przyznać. Jeden problem nie rozwiąże się sam, jeśli będzie się stosować uniki. Najpierw trzeba go rozpoznać, a potem się z nim uporać. Niezależnie od wszystkiego, kochała Michaela. Potarła zaparowaną szybę w oknie i wyjrzała na dwór.

Dziwne, naprawdę sądziła, że jeśli zaakceptuje ten fakt, poczuje się lepiej. Ale tak się nie stało.

Jakie ma to liwości? Moim mu to wyznać. I pozwolić mu napawać się tą świadomością, pomyślała ze złością. Na pewno tak będzie, zanim nie przerzuci się na swoją następną zdobycz. Nie jest taka głupia, aby się łudzić, i zależymy mu na dłuższym związku.

Oczywiście, ona też nie jest tym zainteresowana, powiedziała sobie i zaczęła składać narzędzia.

Inna moja liwość to skończyć z tym i wyjechać. To, czego nie udało się dokonać jej krewnym podstępą złością, zrobi sama z własnej woli. Wsiądzie w samochód, pojedzie na lotnisko, a stamtąd dokądkolwiek. Najbardziej właściwe określenie to „ucieczka”. Wtedy oka się nie tylko tchórzem, ale i zdrajcą. Nie, nie robi zawodu wujowi Jolleyowi, dobrowolnie nie ustąpi pola. A więc pozostaje jej tylko jedno wyjście.

Niczego nie zmieniać. Niech wszystko zostanie tak, jak jest. Będzie mieszkała z Michaelem, będzie się z nim kochała i spędzała czas. W tajemnicy zachowa miłość, jaką go darzy. Wykorzysta te dwa miesiące, które im jeszcze pozostały, aby przygotować się do rozstania bez alu i łez.

Zawładnął ją, to fakt. Wyzwolił w niej namiętność. Ukazał jej liwości, o istnieniu których nie miała pojęcia. Uzależnił od siebie i rozkochał. W jej głowie panował nieopisany chaos.

- Idzie - powiedziała Sweeney, odwracając się od okna i dała znak Charlesowi. Miała już przygotowany następny plan działania.

- To się nie uda - westchnął Charles.

- Oczywiście, że się uda. Musimy pchnąć te dzieciaki ku sobie dla ich własnego dobra.

Dwoje ludzi, którzy się tak często kłócą, musi się pobrać.

- Niepotrzebnie mieszamy się w nie swoje sprawy - obruszył się Charles.

- Bzdura! - Sweeney usiadła przy stole. - A kto jak nie my ma się mieszać? No, proszę, powiedz. Kto będzie się tłukł po tym domu, pustym domu jak nie my, kiedy oni wrócą do miasta? A teraz weź tę ściereczkę i wachluj mnie. Pochyl się trochę i sprawniej wraź, jesteś słaby.

- Jestem słaby - mruknął Charles, ale wziął ściereczkę.

Kiedy Pandora weszła do kuchni, zobaczyła Sweeney rozło oną na krześle, z zamkniętymi oczami, i Charlesa wachlującego jej twarz.

- Bo e, co tu się stało? - spytała przera ona. - Czy Sweeney zemdląła? - Zanim odpowiedział, ju była przy niej. - Zawołaj Michaela - poleciała. - Szybko. - Odsunęła Charlesa i przykucnęła przy Sweeney. - To ja, Pandora. Coś cię boli? Słabo ci? - dopytywała się.

Tłumiąc radość z udanej sztuczki, Sweeney powoli uniosła powieki. Miała nadzieję, e jest blada.

- Och, panienko, proszę się nie martwić. Zaraz mi przejdzie. Od czasu do czasu serce zaczyna mi kołatać i kręci mi się w głowie.

- Zawołam lekarza. - Pandora zdą yła zrobić zaledwie krok, gdy Sweeney chwyciła ją za rękę.

- Nie trzeba - powiedziała zmęczonym głosem. - Byłam u lekarza parę miesięcy temu.

Powiedział, e w moim wieku mogę mieć takie dolegliwości, ale to nic groźnego.

- Nie wierzę. - Pandora była najwyraźniej zdenerwowana. - Po prostu za du o pracujesz, czas z tym skończyć.

- Nie denerwuj się, proszę. - Sweeney poczuła wyrzuty sumienia, e uciekła się do takiego podstępu.

- Co się stało? - Michael wpadł do kuchni. - Sweeney? - Ukłął obok starszej pani i wziął ją za rękę.

- Ojej, po co tyle zamieszania - zaprotestowała Sweeney.

- To tylko niewielki atak. Doktor mówi, e mogą się powtarzać. Trochę to nieprzyjemne, ale nic groźnego. - Popatrzyła surowo na Charlesa, który właśnie wszedł do kuchni. Bała się, eby nie zapomniał swojej roli.

- Wiesz przecie , co ci powiedział. - Charles dobrze wywiązał się ze swego zadania.

- Daj spokój - zaoponowała słabo.

- Masz dwa lub trzy dni zostać w łó ku.

- Przestań - achnęła się Sweeney. - Za parę minut będę jak nowa. Muszę przygotować kolację.

- Niczego nie będziesz przygotowywać. - Michael podniósł ją z krzesła. - Zaprowadzę cię do łó ka.

- A kto się teraz wszystkim zajmie? - zaniepokoiła się Sweeney. - Charles tylko narobi bałaganu.

Michael ju wychodził z Sweeney z pokoju, gdy Charles przypomniał sobie o następnym ruchu. Kaszlnął, spojrział przepraszająco i kaszlnął jeszcze raz.

- Sami posłuchajcie! - Sweeney oparła - głowę na ramieniu Michaela i popatrzyła na niego błagalnym wzrokiem.

- Nie chcę iść do łóka. On mi zainfekuje całą kuchnię.

- Od kiedy tak kaszlesz? - spytała Pandora. Charles zaczął coś bąkać pod nosem.

Podeszła do niego. - Dość tego - orzekła. - Oboje macie się położyć do łóka. Ja z Michaeliem wszystkim się zajmujemy. - Wzięła pod rękę Charlesa i poprowadziła go w kierunku skrzydła dla słu by. - Do łóka i koniec. Zrobię wam herbatę. Michael, dopilnuj Charlesa, ja się zajmę Sweeney.

W ciągu pół godziny było tak, jak zaplanowała Sweeney. Pandora i Michael zostali sami.

- No, w porządku. - Pandora nalała sobie herbaty. - Myślę, e za kilka dni wydobrzeją.

Potrzebują tylko trochę odpoczynku i opieki. Herbaty?

Michael skrzywił się i sięgnął po kawę.

- Moemy na zmianę się nimi zajmować - powiedział.

- Uhm. - Pandora otworzyła lodówkę i zajrzała do środka. - A co z posiłkami? Umiesz gotować?

- Pewno. Kiepsko, ale umiem. Moja specjalność to hamburgery - pochwalił się. - A ty?

- spytał, kiedy jego słowa nie spotkały się z entuzjastyczną reakcją.

- Gotować? Umiem zrobić stek z grilla i jajecznicę. Wszystko inne to du e ryzyko.

- Czym byłoby ycie bez ryzyka? - Michael podszedł do lodówki. - Jest placek z jabłkami - stwierdził.

- Trudno to nazwać posiłkiem - zauważyła Pandora.

- Zjem trochę. - Wyjął placek i wziął łyeczkę. - Chcesz? - spytał.

Ju miała odmówić dla zasady, ale zaniechała tego. Podeszła do szafki i wyjęła talerzyk.

- A co z naszymi chorymi? - zatroskała się.

- Damy im zupę - powiedział Michael. - Nie ma nic lepszego ni zupa. Najpierw niech trochę odpoczną.

- Michael... - Pandora usiadła naprzeciwko. Zastanawiała się, jak zacząć. Nadszedł

czas, eby poruszyć temat ich pobytu w Folley. Wkrótce dobiegnie końca. - Myślałam o tym, e za dwa miesiące wola Jolleya zostanie wypełniona. W ostatnim liście Fitzhugh pisał, e prawnicy stanowczo radzili wujowi Carlsonowi, eby dał sobie spokój z podwaniem testamentu.

- Tak?

- Dom i cała reszta przypadnie w połowie tobie, w połowie mnie.

- To prawda. Ugryzła kawałek ciasta.

- Dlaczego się uśmiechasz? - spytała.

- Miło na ciebie patrzeć. Dobrze mi się tak tutaj z tobą siedzi.

To tylko słowa, pomyślała. Spojrzała mu w oczy, po czym odwróciła wzrok.

- Wolalabym, ebyś nie mówił takich rzeczy - powiedziała.

- Nie, nie wolałabyś. A więc myślałaś o tym... - wrócił do podjętego tematu.

- Właśnie. Będziemy mieli wspólny dom, ale nie będziemy tu razem mieszkać.

Sweeney i Charles zostaną sami. Martwi mnie to, a teraz, po tym co się stało, jeszcze bardziej.

Są starzy i coraz słabsi. Nie mogą tu zostać sami.

- Zgoda, masz jakiś pomysł?

- Wspomniałam ci ju , e zastanawiam się, czyby tu nie przemieszkiwać. - Odsunęła talerzyk z ciastem. Nagle straciła apetyt. - Teraz myślę, e zamieszkać tu na dobre.

- Z powodu Sweeney i Charlesa?

- Częściowo. - Wypiła łyk herbaty. Nie była przyzwyczajona do tego, by z kimkolwiek omawiać swoje decyzje. Ale tym razem musiała to zrobić. Więcej, uświadomiła sobie, e potrzebuje tej rozmowy i e musi być wobec Michaela szczerą. - Zawsze czułam, e w Folley jest mój dom, ale nie zdawałam sobie w pełni sprawy, do jakiego stopnia, potrzebuję tego domu. Widzisz, nigdy tak naprawdę domu nie miałam. - Popatrzyła na Michaela. - Tylko ten.

Jej słowa wprawiły go w osłupienie. Przez całe ycie uwa ał ją za pieśczoškę rodziców, której jedynie ptasiego mleka mogło brakować.

- Ale przecie twoi rodzice... - zaczął.

- Są cudowni - szybko wpadła mu w słowo. - Uwielbiam ich. Chciałabym, eby zawsze byli tacy, jacy są, ale...

- Jak mu to wytłumaczyć? - Nigdy nie mieliśmy takiej kuchni jak ta, miejsca, do którego przychodzi się dzień w dzień, wiedząc, e zawsze jest takie samo. Nawet jeśli zmienisz tapety, ono i tak będzie wciąż takie samo. Głupio to brzmi...

- zawahała się. - Nie rozumiesz, o co mi chodzi.

- Mo e zrozumieć. - Chwycił ją za rękę. - Mo e chciałbym zrozumieć.

- Chcę mieć dom - powiedziała po prostu. - Folley było moim domem. Chcę tu zostać po upływie terminu wyznaczonego przez wujka.

- Dlaczego mi to mówisz, Pandoro? - spytał, nie wypuszczając jej dłoni.

Jest wiele powodów. Zbyt wiele. Zdecydowała się podać mu tylko jeden, najbezpieczniejszy.

- Za dwa miesiące ten dom będzie nale ał zarówno do ciebie, jak i do mnie. Zgodnie z warunkami testamentu...

Zaklął pod nosem i puścił jej rękę. Wstał od stołu i podszedł do okna. Przez krótką chwilę myślał, e jest gotowa dać mu więcej. Na Boga, tak długo czekał! Było coś w jej głosie, co pozwalało mu ywić taką nadzieję. A mo e tylko to sobie wyobra ał, bo chciał to usłyszeć. Warunki testamentu, pomyślał rozgorączony.

- Czego chcesz, mego pozwolenia? - spytał.

- Chciałam, ebyś to zrozumiał i się zgodził.

- W porządku.

- Nie musisz być taki szorstki. W końcu nie masz adnych konkretnych planów co do tego domu.

- Nie robiłem planów - burknął. - Mo e bym miał.

- Nie chciałam cię zdenerwować - tłumaczyła się.

- Nie, na pewno nie. Wiesz, kiedy mnie irytujesz z premedytacją.

Było w jego głosie coś, co ją niepokoiło, ale czego nie była w stanie sprecyzować.

- Naprawdę przeszkadzałoby ci tak bardzo, gdybym tu mieszkała? - spytała.

Podeszła do niego z wyciągniętą ręką. Zaskoczyła go. Takie gesty nie były w jej stylu.

- Nie, a dlaczego?

- Bo dom będzie w połowie twój - wyjaśniła.

- Mo emy narysować linię przez środek - zaproponował.

- Powstałaby niezręczna sytuacja. Mogłabym cię spłacić - zawahała się.

- Nie - zaprotestował zdecydowanie.

- To była tylko propozycja. - Pandora szybko się wycofała.

- Zapomnij o tym. - Odwrócił się, by poszukać zupy. Obserwowała go przez chwilę.

Widziała, e jest spięty.

- Michael. - Westchnęła i objęła go w pasie. Zesztywniał. - Wszystko, co mówiłam, było nie tak - tłumaczyła się.

- Chyba łatwiej mi się z tobą kłócić, ni dyskutować.

- Mo e obojgu nam łatwiej - zauwa ył. Ujął w dłonie jej twarz. Przez chwilę wyglądali jak przyjaciele i kochankowie.

- Pandoro... - Czy mo e jej powiedzieć, e nie wyobra a sobie, by mógł ją opuścić lub by ona jego opuściła? Czy ona zrozumie, jak jej powie, e chce nadal z nią mieszkać, być z nią? Jak przyjąłaby wyznanie, e jest w niej zakochany od lat, skoro on dopiero teraz sam to zrozumiał i zaakceptował? Pocałował ją w czoło. - Ugotujmy tę zupę - powiedział.

W ciągu następnych dni nie obywało się wprawdzie bez utarczek, ale stwierdzili, e są w stanie współpracować. Przygotowywali wspólnie posiłki, zmywali, sprząтали, podczas gdy Sweeney i Charles le eli w łó kach albo owinięci w koce popijali w fotelach herbatę. Co prawda, zdarzały się chwile, kiedy Sweeney korciło, by wrócić do swoich obowiązków, a Charlesa dręczyły wyrzuty sumienia, ale szybko przypominali sobie, e spełniają swój obowiązek. Gdy słyszeli rozlegający się w domu radosny śmiech, utwierdzali się w przekonaniu, e postępują słusznie.

Michael nabrał pewności, e jeszcze nigdy nie był równie szczęśliwy. Mo na powiedzieć, e bawił się w dom, na co nigdy nie miał ani czasu, ani specjalnej ochoty. Pisał

godzinami w swoim gabinecie, otoczony postaciami rodem z własnej wyobraźni, by następnie przenieść się w świat realny, w którym unosił się zapach potraw i pasty do polerowania mebli.

Miał dom i kobietę i zdecydowany był to zachować.

Późnym popołudniem zawsze rozpalał ogień w kominku w salonie. Po kolacji pili kawę. Wydawało się to czymś normalnym.

Właśnie podkładał drwa, gdy do pokoju wpadł Bruno i potrącił stolik.

- Chyba cię wyślemy do szkoły dobrego wychowania - powiedział Michael, zbierając rozsypane herbatniki. Minał zaledwie miesiąc pobytu Bruna w ich domu, a piesek był ju dwa razy większy ni na początku. Rósł jak na dro d ach. Michael zauwa ył, e Bruno wciska się pod kanapę. - Co tam masz? - zwrócił się do pieska.

Bruno zyskał sobie ju sławę sprytnego złodziejaszka. Poprzedniego dnia zniknął z kuchni kawałek wieprzowiny.

- No dobrze, jeśli tym razem to kawałek kurczaka, to zamieszkaś w garażu - pogroził

mu Michael i ukląkł, aby zajrzeć pod kanapę. Okazało się, że Bruno ogryza jego but.

- Do diabła! - Michael szarpnął but, ale Bruno nie wypuszczał go z zębów. - On jest wart pięć razy tyle co ty, kundlu. - Chwytał but, ale Bruno szarpał z coraz większym zapałem, ciesząc się z tej nowej zabawy.

- O, jak miło! - zawołała Pandora na widok Michaela nurkującego pod kanapę. -

Bawisz się z psem czy ścierasz kurze?

- Mam zamiar zrobić z niego wycieraczkę.

- Ojej, jesteśmy dzisiaj nie w humorze. Bruno, piesku, chodź do pani.

Bruno wypełził spod kanapy i niosąc but w zębach niczym trofeum, stanął dumnie przed Pandorą.

- To tego szukałeś? - Pandora podniosła but. - Jak to dobrze, że uczysz Bruna aportować.

Michael wziął but. Był wilgotny i widniały na nim ślady zębów.

- To ju drugi, który zniszczył. I nawet nie był na tyle uprzejmy, aby wziąć od pary.

- Przecie i tak nosisz tylko adidasy albo wysokie buty.

- Wyślemy go do szkoły - orzekł.

- Ale, Michael, nie możemy pozbywać się naszego dziecka. To tylko okres dorastania. Przejdzie mu.

- Ale ten okres dorastania kosztował mnie dwie pary butów, utratę kolacji i sweter, który gdzieś zniknął.

- Nie powinieneś rozrzucać swoich rzeczy po podłodze - powiedziała Pandora z całym spokojem. - A sweter i tak był zniszczony. Jestem pewna, że Bruno myślał, że to zwykła szmata.

- Jakoś dziwnym trafem nigdy nie gryzie twoich rzeczy.

- Nie, prawda? - uśmiechnęła się słodko.

- Coś taka rozradowana? - spytał podejrzliwie.

- Miałam dziś po południu telefon.

Michael zobaczył błysk podniecenia w jej oczach i uznał, że sprawa butów może poczekać.

- No i? - spytał.

- Od Jacoba Morisona - powiedziała.

- Tego producenta?

- Właśnie tego producenta - powtórzyła z naciskiem. Obiecywała sobie, e zachowa spokój, ale nie była w stanie się opanować. - Będzie niedługo kręcił nowy film. Z Jessicą Wainwright.

Jessicą Wainwright, powtórzył w myślach Michael. Wielka dama teatru i filmu. Jej kariera trwała przez dwa pokolenia.

- Przecie ju się wycofała. Jest na emeryturze. Od pięciu lat nie zagrała w filmie.

- Ale teraz zagra. Re yseruje Billy Mitchell.

- Wygląda na to, e sięgają do rezerw - zauwa ył Michael.

- Gra na wpół obłąkaną, samotnie yjącą księ nę, która wraca do rzeczywistości, gdy odwiedza ją wnuczka. W tej roli ma wystąpić Cass Barkley.

- Materiał na Oscara. A teraz czy mo esz mi wreszcie powiedzieć, dlaczego Morison do ciebie dzwonił?

- Bo Wainwright zachwyca się moimi pracami. Chce, ebym to ja zaprojektowała dla niej bi uterię do filmu. Oto dlaczego! - Roześmiała się i obróciła na pięcie. - Morison powiedział, e jedynym sposobem, by ją namówić do powrotu na ekran była obietnica, e dostanie samych najlepszych. A ona chce mnie.

Michael przyciągnął ją do siebie.

- Uczcijmy to - zaproponował. - Szampan i kurczak.

- Czuję się jak idiotka - wyznała Pandora.

- Dlaczego?

- Uwa am, e jestem profesjonalistką, i kiedy rozmawiałam z Morisonem, uznałam, e to dla mnie wspaniała okazja, by się zaprezentować na szerszym forum. Tymczasem po odłoeniu słuchawki zaczęłam myśleć tylko o tym, e w mojej bi uterii będzie grała wielka Jessica Wainwright. I e producentem będzie sam Morison! Czuję się jak pierwsza lepsza fanka ogłupiała na punkcie gwiazd.

- Dowodzi to tylko, e nie jesteś nawet w połowie taką snobką, za jaką się uwa asz -

skomentował Michael i pocałował ją w usta. - Jestem z ciebie dumny - dodał po chwili.

Nie spodziewała się takiego wyznania. Cała radość z propozycji Morisona wydała się niczym przy tym jednym stwierdzeniu. Nikt nigdy nie był z niej dumny z wyjątkiem Jolleya.

Rodzice ją kochali, głaskali po głowie i pozwalali robić, na co miała ochotę. Duma to był cenny dodatek do uczucia.

- Naprawdę? - Nie wierzyła własnym uszom. Michael zdziwiony jej reakcją pocałował ją po raz drugi.

- Oczywiście.

- Ale nigdy szczególnie nie ceniłeś mojej pracy.

- Nie, to nieprawda. Nie rozumiałem, dlaczego ludzie mają potrzebę obwieszania się błyskotkami albo dlaczego satysfakcjonuje cię projektowanie na tak małą skalę. Ale ślepy nie jestem. Niektóre twoje wyroby są wyjątkowo piękne, inne unikalne, jeszcze inne oryginalne i ekstrawaganckie. Nie wszystkie mi odpowiadają, lecz wszystkie świadczą o twórczej wyobraźni i profesjonalizmie.

- Có ... - Odetchnęła głęboko. - To dla mnie pamiętny dzień. Sądziłam, e uwa asz, i bawię się paciorkami, bo nie chce mi się pracować. Nawet kiedyś coś takiego powiedziałeś.

- Tylko po to, eby cię rozdranić - roześmiał się. - Lubię na ciebie patrzeć, kiedy się złościysz.

Zastanowiła się chwilę.

- Myślę, e to najodpowiedniejsza chwila, by ci powiedzieć.

- Co mi powiedzieć? - Zesztywniał, ale zmusił się do zachowania spokoju.

- Oglądałam transmisję z wręczania nagród Emmy za ka dym razem, kiedy byłeś nominowany.

- Co? - Nie mógł się nie roześmiać, z takim poczuciem winy to oznajmiła.

- Za ka dym razem - powtórzyła Pandora. - Cieszyłam się, jak wygrywałeś. I wiesz... -

zawahała się. - Obejrzałam parę odcinków *Uciezki Logana*.

- Niemo liwe! Co cię do tego skłoniło?

- Wuj Jolley nie przepuścił adnego odcinka. Czasami słyszałam te , jak rozmawiano o tym serialu przy ró nych okazjach. Pomyślałam więc, e obejrzę parę odcinków z ciekawości. Oczywiście tylko z towarzyskiego obowiązku, eby wiedzieć, co to takiego.

- Oczywiście. I...? Wzruszyła ramionami.

- To rodzaj... - zaczęła. Chwycił ją za ucho i lekko ścisnął.

- Niektórzy ludzie mówią prawdę tylko pod presją - ostrzegł.

- Masz rację. - Roześmiała się i złapała go za rękę. - To dobre! - zawołała, kiedy nie chciał jej puścić. - Podobało mi się.

- Dlaczego?

- Michael, to boli! - Wykręciła głowę.

- Znamy sposoby, eby cię zmusić do mówienia.

- Podobało mi się, bo postaci są autentyczne, a fabuła inteligentna. I... to jest w dobrym stylu - dokończyła.

Puścił jej ucho i pocałował ją.

- Jeśli komukolwiek to powtórzysz, wyprę się - zapowiedziała.

- To będzie nasz mały sekret - zgodził się. Przysunęła się do niego. Czowała bicie jego serca. Rozchyliła wargi, gdy ponownie dotknął ich ustami.

Co będzie dalej? Jakie będą konsekwencje tego związku? Czy ju ich nie zaakceptowała? Pozostanie al i ból. Była na to przygotowana. Nie jest w stanie przeszkodzić temu, co wydarzy się w najbliższych tygodniach, ale ma wpływ na to, co zdarzy się wieczorem i mo e jutro. Wszystkie jej uczucia, lęki, potrzeby skoncentrowały się w tym pocałunku.

Zakręciło mu się w głowie. Nieraz ju była namiętna i nieokiełznana. ądająca, zmysłowa. Ale nigdy jeszcze a tak nie poddała się emocjom. Pod siłą kryła się łagodność, pod ponagłaniem prośba. Przytulił ją mocniej, czulej ni zazwyczaj, i pozwalał, by brała to, czego pragnie.

Odchyliła głowę. Kusząco, zapraszająco, uwodzicielsko. Ogarnęła go przemo na ądza, przywarł do niej całym ciałem i poczuł, e Pandora poddaje mu się całkowicie. Nigdy nie była uległa i a do tej pory nie wiedział, e mo e oddawać mu się całą sobą. Opadli na kanapę.

Był czuły i delikatny. Kochali się spokojnie, bez nerwowości, ekscytacji, pośpiechu.

Kochali się w sposób, jakiego nie doświadczyli nigdy przedtem. Dawali sobie wszystko.

Uczyli się swoich ciał palcami, wargami, pomału stopniując napięcie. Byli kochankami od tygodni, ale po raz pierwszy kochali się w sposób tak dojrzały.

Wokół panowała niczym niezmacona cisza. Jeśli nawet Pandora nigdy nie pragnęła romansu, to znalazła go teraz w ramionach Michaela. Znalazła spokój, ukojenie i rozkosz, jakiej nie znała przedtem.

Nasyciwszy się sobą, le eli w milczeniu, pragnąc, by ta chwila trwała wiecznie. Ciszę przerwał nagły dzwonek telefonu. Michael zaklął pod nosem i podniósł słuchawkę.

- Halo.

- Mogę mówić z Michaeliem Donahue? - usłyszał kobiecy głos.

- Jestem przy telefonie.

- Michael, to ja, Penny.

Potańczał dłońmi oczy, jakby chciał skojarzyć imię z twarzą. Penny... to ta mała blondyneczka, która była jego sąsiadką. Chciała zostać modelką. Przypomniał sobie jak przez mgłę, e zostawił jej numer do Folley na wypadek, gdyby otrzymał jakąś wa ną przesyłkę albo gdyby działo się coś w mieszkaniu, co by wymagało jego obecności.

- Michael, musiałam zadzwonić. Zawiadomiłam ju policję, są w drodze - mówiła.

- Policję? - Michael natychmiast oprzytomniał. - Co się stało?

- Włamano się do twego mieszkania.

- Co? - Zerwał się na równe nogi. - Kiedy?

- Nie jestem pewna. Przyszłam do domu parę minut temu i zauwa yłam, e twoje drzwi nie są zamknięte. Myślałam, e mo e wróciłeś i zapukałam. Uchyliłam drzwi.

Mieszkanie było przewrócone do góry nogami. Od razu zadzwoniłam po gliniarzy.

Powiedzieli, ebym się z tobą skontaktowała.

- Dzięki. - Do głowy cisnęły mu się dziesiątki pytań, ale nikt i tak by mu na nie nie odpowiedział - Posłuchaj, postaram się przyjechać jeszcze dziś wieczorem.

- Okay, Michael, naprawdę bardzo mi przykro.

- Cóż , do zobaczenia.

- Michael? - Pandora chwyciła go za rękę.

- Ktoś włamał się do mieszkania.

- O, nie. - Wiedziała, e spokój nie mo e trwać długo. - Myślisz, e to...

- Nie mam pojęcia. Mo e. A mo e ktoś, kto zauwa ył, e mieszkanie od pewnego czasu stoi puste.

- Musisz jechać.

- Jedź ze mną - poprosił.

- Michael, jedno z nas powinno zostać ze Sweeney i Charlesem.

- Nie mo esz być tu sama.

- Musisz jechać - powtórzyła. - Jeśli to był ktoś z rodziny, mo e znajdziesz coś, co pozwoli to udowodnić. Tak czy inaczej musisz spróbować. Damy sobie radę.

- Tak jak ostatnim razem, kiedy wyjechałem.

- Poradzę sobie - upierała się.

- Ale będziesz sama.

- Mam Bruna. Nie patrz tak na mnie - achnęła się. - Mo e on nie jest srogi, ale na pewno umie szczekać. Będę zamykać wszystkie drzwi i okna.

- To nie wystarczy - odparł, potrząsając głową.

- No dobrze, zadzwonimy na komisariat. Mają raport Fitzhugh o incydentach, jakie tu się wydarzyły. Wyjaśnimy, e będę przez noc sama, i poprosimy, eby mieli dom na oku.

- To ju lepiej. Jeśli to było zaplanowane... - Podniósł ostrzegawczo w górę palec.

- To tym razem nie damy się zaskoczyć - dokończyła. Michael zawahał się chwilę, po czym skinął głową.

- Zadzwonię na komisariat - powiedział.

ROZDZIAŁ 10

Po wyjściu Michaela Pandora zasunęła cię ką zasuwę na drzwiach do domu. Przedtem jeszcze przez ponad pół godziny sprawdzali razem wszystkie drzwi i okna. Była mu za to wdzięczna. Czowała się teraz bezpieczna mimo jego nieobecności.

W domu panowała cisza. Było a za cicho.

Poszła do kuchni i zaczęła trzaskać garnkami i patelniami. To, e jest sama, nie znaczy, e pozostanie beczynna. Wolałaby teraz być z Michaelem, dodać mu otuchy, gdy stanie na progu mieszkania zdewastowanego przez włamywacza. Ciekawe, czy on te chciałby, eby mu towarzyszyła, zastanawiała się. Oboje zdawali sobie jednak sprawę, e nie jest to mo liwe. W domu było dwoje starych ludzi, którzy nie mogli zostać sami. I którym trzeba było przygotowywać posiłki.

Nie było to ich najmocniejszą stroną, ani jej, ani Michaela. We dwoje jakoś sobie radzili, teraz musiała się uporać z gotowaniem sama. Zdecydowała się na kurczaka. A e brakowało jej towarzystwa, włączyła radio i poszukała stacji nadającej muzykę country. Z

głośnika popłynął głos Dolly Parton. Zdjęła z półki jedną z ksiąg kucharskich Sweeney i zajrzała do spisu treści. Kurczak piknikowy, przeczytała. Ciekawe, czy to bardzo pracobłonne, zastanawiała się.

Była bez reszty pochłonięta pracami kulinarnymi, gdy nagle zadzwonił telefon.

Szybko wytarła ręce i podniosła słuchawkę. Nogą wystukiwała rytm piosenki płynącej z radia.

- Słucham - odezwała się.

- Czy to pani Pandora McVie? - usłyszała nieznany głos.

- Tak - odparła, przytrzymując brodą słuchawkę. Nie przerwała swego zajęcia. Kroiła kurczaka na mniejsze porcje.

- Proszę uwa nie słuchać - ciągnął rozmówca z drugiej strony linii.

- Mo e pan mówić głośniej? - poprosiła. - Kiepsko pana słyszę. - Wydawało jej się, e słyszy męski głos, choć nie była tego na sto procent pewna.

- Muszę panią ostrzec, nie ma du o czasu. Jest pani w niebezpieczeństwie.

Pandora wypuściła z rąk nóż do drobiu.

- Co? Kto mówi? - dopytywała się.

- Proszę posłuchać. Jest pani sama, bo zostało to zaaran owane. Dziś w nocy ktoś ma się do pani włamać.

- Ktoś? - Wzięła słuchawkę do ręki. Wyczuwała, e osoba po drugiej stronie linii jest zdenerwowana. Co najmniej tak samo jak ona. - Jeśli stara się pan mnie zastraszyć... -

zaczęła.

- Staram się panią ostrzec - zawahał się. - Nie powinna pani posyłać tego szampana -

dokończył. - Nie podoba mi się to wszystko, ale nic ju nie da się zrobić. Nikomu nie miała stać się krzywda, rozumie pani? Ale boję się tego, co teraz mo e nastąpić.

Pandora poczuła, jak oładek kurczy się jej ze strachu. Na dworze zrobiło się ju całkiem ciemno. Była w domu sama z dwójką starych słu ących.

- Jeśli się pan boi, to niech mi pan powie, kim pan jest. Niech mi pan pomo e.

- Ju i tak ryzykuję, ostrzegając panią. Nie rozumie pani. Proszę natychmiast wyjść z domu.

To podstęp, powiedziała sobie. Podstęp, eby wywabić ją na dwór. Wyprostowała się, ale przesunęła spojrzenie z jednego okna na drugie.

- Nigdzie nie pójdę - odrzekła zdecydowanym tonem. - Jeśli chce mi pan pomóc, proszę powiedzieć, kogo powinnam się bać.

- Niech pani po prostu wyjdzie z domu - powtórzył rozmówca i przerwał połączenie.

Pandora stała jeszcze przez chwilę ze słuchawką w ręku. Wciąż wpatrując się w okno, odwiesiła słuchawkę. To był podstęp, upewniła się. Podstęp, który mają zmusić do opuszczenia domu i tak przestraszyć, eby nie wróciła.

A poza tym Michael ju zawiadomił policję. Wiedzą, e jest sama. Wystarczy, e podniesie słuchawkę telefonu.

Ręce jej się trochę trzęsły, ale zabrała się z powrotem do gotowania. Włó yła do piekarnika kurczaka, wstawiła ziemniaki i postanowiła wypić kieliszek wina przed kolacją.

Właśnie zaczęła nalewać, gdy do pokoju wpadł Bruno i zaczął się do niej łaścić.

- Bruno. - Ucieszyła się i przytuliła pieska. Od razu poczuła się raźniej. - Jak to dobrze, e tu jesteś - szepnęła. Nagle rozpaczliwie zapragnęła, eby był przy niej Michael.

Bruno lizał ją po twarzy, ale nagle zerwał się i pobiegł do drzwi. Zaczął w nie drapać i szczekać.

- Ju chcesz wyjść? - zdziwiła się. - Myślałam, e zaczekasz do rana.

Bruno wrócił, pokręcił się i oglądając się na Pandorę, znowu pobiegł do drzwi. Gdy powtórzyło się to trzy razy, skapitulowała. Ten ostrzegawczy telefon musiał być znowu jakimś głupim kawałem, uznała. Zresztą, pomyślała, przekręcając klucz w zamku, co szkodzi otworzyć drzwi i zobaczyć, co się dzieje na dworze.

Gdy tylko to zrobiła, Bruno wypadł z domu jak strzała i rzucił się przed siebie. Biegł z nosem przy ziemi. Pandora stała w otwartych drzwiach, wytę ając wzrok. Nie zauwa yła nic, co by mogło budzić jej niepokój.

W końcu drąc z zimna, doszła do wniosku, e i tak nie spodziewała się zobaczyć czegokolwiek czy kogokolwiek. Śnieg przestał sypać, niebo było pogodne i rozgwie d one, las uśpiony. Było tak, jak powinno być. Zwyczajny wieczór na wsi. Głęboko zaczerpnęła powietrza i zaczęła nawoływać Bruna. W tej samej chwili oboje zauwa yli jakiś poruszający się na skraju lasu cień. Wydawało się, jakby odrywał się od drzewa.

Ktoś tam musi być. Zanim zdą yła zareagować, Bruno zaczął szczekać i rzucił się naprzód, z trudem przebijając się przez wysoki śnieg.

- Nie, Bruno! Bruno! Wracaj! - wołała przera ona. Nie namyślając się wiele, chwyciła starą kurtkę, która wisiała przy drzwiach, i narzuciła ją na siebie. Sięgnęła jeszcze po du ą elazną patelnię i pobiegła za psem. - Bruno! Bruno! - wołała raz po raz.

Tymczasem pies dobiegł ju do lasu i z nosem przy ziemi szukał śladów. Zbierając się na odwagę, ruszyła za nim. Ktokolwiek to był, najwyraźniej uciekł na widok niezdarnego, wyrosniętego szczeniaka. Choć sama podszyta strachem, uznała, e nie da się zastraszyć.

Zara ona entuzjazmem Bruna wbiegła między drzewa. Zdyszana przystanąła, by rozejrzeć się i posłuchać, co się dzieje dokoła. Przez chwilę panowała zupełna cisza, a nagle z jej prawej strony

rozległo się wściekłe ujadanie.

- Bruno! Bruno! Zostaw! - wołała. Podniecona pobiegła w stronę, z której dobiegało szczekanie. Śnieg sypał się z gałęzi, które poruszyła, ujadanie było coraz bardziej zajadłe.

Brnąc przez śnieg, nie zauważyła leżącego pnia. Upadając, uderzyła się dotkliwie w kolano.

Zakłęła pod nosem i wstała z trudem. Bruno wyskoczył zza drzew i znowu przewrócił ją na ziemię.

- Zostaw mnie. - Odpychała psa. - Do diabła, Bruno, jak nie przestaniesz... - Urwała, bo pies nagle zeszywniał i zaczął warczeć. Rozciągnięta na śniegu podniosła głowę i zobaczyła cień przemykający między drzewami. W jednej chwili zapomniała, że jest za dumna, by bać się tchórza.

Mimo że ręce miała zgrabiące z zimna, chwyciła znowu patelnię, podniosła się i zaczęła się skradać w kierunku najbliższego drzewa. Usiłując zachować spokój, zbierała się do ataku i obrony. Nie wiedziała, czy krewny czy obcy, zrobi coś do niej należąco. Kolana uginały jej się ze strachu. Bruno rzucił się naprzód. Pandora podniosła patelnię i czekała.

- Co się tu, do diabła, dzieje?

- Michael! - Patelnia wylądowała w śniegu, a ona rzuciła się naprzód za Brunem.

Szczęśliwa okrywała pocałunkami twarz Michaela. - Och Michael! Jak się cieszę, że to ty.

- Taaak. Wyglądałaś rzeczywiście na uszczęśliwioną z tą patelnią. Skończył ci się lakier do włosów?

- Była pod ręką - warknęła i odstąpiła o krok. - Do Ucha, Michael, o mało nie umarłam ze strachu. Miałaś już być w połowie drogi do Nowego Jorku, a nie czaić się w lesie.

- A ty miałaś siedzieć zamknięta w domu - odparł.

- I siedziałabym, gdybyś nie czaił się w lesie. Co tu robisz?

Strzepał śnieg z jej twarzy.

- Ujechałem dziesięć mil, ale nękało mnie złe przeczucie. Nie mogłem sobie dać rady.

Postanowiłem się zatrzymać na stacji benzynowej i zadzwonić do sąsiadki, że nie przyjadę.

- Ale twoje mieszkanie... - zaniepokoiła się Pandora.

- Rozmawiałem z policją, podałem im listę wartościowych rzeczy, które znajdowały się w mieszkaniu. Pojedziemy razem do Nowego Jorku za dzień lub dwa. - Michael patrzył na nią, na jej włosy przyprószone śniegiem, zaśnieżyła ona kurtkę. Pomyślał, co mogłoby się stać, gdyby.. - Nie mogłem cię zostawić samej - powiedział.

- Zaczynam wierzyć, że jednak jesteś rycerski. - Uśmiechnęła się i pocałowała go w policzek. - To

wyjaśnia, dlaczego nie jesteś w Nowym Jorku, ale co robisz w lesie?

- Coś podejrzewałem - odparł i podniósł patelnię. Przyjrzał jej się. No, miałem szczęście, e mnie nie trzasnęła, pomyślał.

- Następnym razem jak będziesz coś podejrzewał - powiedziała Pandora - nie stercz pod lasem i nie wpatruj się w dom.

- Nie robiłem tego. - Michael zaczął iść w kierunku domu. Chciał, eby Pandora była ju w środku, za drzwiami zamkniętymi na klucz.

- Widziałam cię - upierała się.

- Nie wiem, kogo widziałaś. - Michael popatrzył na psa.

- Gdybyś nie puściła Bruna, wiedzielibyśmy. Chciałem rozejrzeć się trochę, zanim wejde do domu, i zauwa yłem ślady butów. Poszedłem za nimi a do lasu. Właśnie podchodziłem do tego kogoś, kogo próbował zaatakować Bruno, kiedy ten kundel wpadł mi pod nogi i przewrócił mnie twarzą w śnieg. Wtedy ty zaczęłaś na niego krzyczeć. I ten, na kogo polowałem, ktokolwiek to był, miał dość czasu, eby się ulotnić.

- Gdybyś mi powiedział, co się dzieje, moglibyśmy działać razem - zauwa yła Pandora.

- Ale sam nie wiedziałem, co się dzieje. Tak czy inaczej umowa była taka, e nie wychodzisz z domu i drzwi są zamknięte na klucz.

- Pies musiał wyjść - broniła się. - No i otrzymałam ten telefon. - Obejrzała się za siebie i westchnęła. - Ktoś zadzwonił, eby mnie ostrzec.

- Kto? - spytał Michael.

- Nie wiem. To był męski głos, choć... nie jestem na sto procent pewna.

- Groził ci? - Michael ścisnął jej ramię.

- Nie, nie, to nie była groźba. Ktokolwiek to był, najwyraźniej wiedział, co się kroi, i nie był z tego powodu szczęśliwy. To było a nadto jasne. On... mo e ona... powiedział, e ktoś będzie próbował włamać się do Folley i e ja powinnam wyjść z domu.

- I ty oczywiście posłuchałaś i wybrałaś się do lasu z patelnią dla obrony. Pandoro - potrząsnął nią - dlaczego nie zadzwoniłaś na policję?

- Bo myślałam, e to kolejny kawał, i się wściekłam.

- Popatrzyła butnie na Michaela. - Tak, najpierw się przestraszyłam, ale potem po prostu się wściekłam. Nie lubię, jak ktoś usiłuje mnie zastraszyć. Kiedy wyjrzałam na zewnątrz i zobaczyłam

kogoś pod lasem, chciałam tylko dać mu nauczkę.

- Cudownie - powiedział. - Co za głupota.

- Robiłeś to samo.

- Nie to samo. Masz klasę, bystry umysł, powiem nawet, e jesteś odwa na. Ale, kuzyneczko, nie jesteś wagi cię kiej. Co by było, gdybyś dopadła tego kogoś, a on bynajmniej nie miałby ochoty na arty?

- I ja nie potraktowałabym tego jako artu.

- No dobrze. - Błyskawicznym ruchem podciął jej nogi tak, e wylądowała na śniegu.

Nie miała nawet mo liwości zaprotestować, gdy stanął nad nią z patelnią w wyciągniętej ręce.

Bruno uznał to za dobrą zabawę i skoczył jej na piersi. - Mógłbym wrócić jutro i zastać cię nieprzytomną w lesie, zagrzebaną w śniegu. - Podniósł ją. - Nie zamierzam podejmować takiego ryzyka.

- Przewróciłeś mnie... - zaczęła.

- Cicho. - Po raz drugi nią potrząsnął, ale tym razem o wiele gwałtowniej. - Jesteś zbyt wa ną osobą, Pandoro, nie zamierzam więcej ryzykować. Zadzwonimy na policję i wszystko im opowiemy.

- Co oni mogą zrobić?

- Zobaczymy.

Odetchnęła głęboko i oparła się o Michaela. To polowanie mo e i było podniecające, ale nogi nadal miała jak z waty.

- No dobrze, mo e i masz rację. Nie posunęliśmy się ani o krok naprzód od czasu, gdy się zaczęły te kawały.

- To, e zawiadomimy policję, nie oznacza, e sami zrezygnujemy z poszukiwań. Tyle tylko, e zwiększy to nasze szanse. Mogłem dzisiaj nie wrócić, Pandoro. Pies mógł nikogo nie wystraszyć. Byłabyś sama. - Ujął jej ręce i przycisnął do ust. - Nie pozwolę, eby cokolwiek ci się stało.

Zakłopotana z powodu przyjemności, jaką sprawiły jej te słowa, próbowała cofnąć ręce.

- Dam sobie sama radę, nie martw się. Uśmiechnął się, ale jej nie puścił.

- Mo e, ale nie będziesz miała okazji się przekonać. Chodźmy do domu. Jestem głodny.

- Typowe. Przede wszystkim myślisz o swoim oładku... O mój Bo e, kurczak! -

Pomknęła do domu jak strzała.

- Nie o takim głodzie myślałem. - Michael pobiegł za nią i chwycił ją w ramiona.

Znowu poczuł ulgę. Kiedy w lesie usłyszał jej wołanie i uświadomił sobie, że wyszła z domu i że coś mu się jej stało, zmartwił ze strachu. - Prawdę mówiąc - nie wypuszczał jej z objęć

- myślałem o rzeczach pilniejszych niż jedzenie.

- Michael - broniła się ze śmiechem - jeśli mnie nie puścisz, nie będziemy mogli nawet wejść do kuchni.

- To zjemy gdzie indziej.

- Ale zostawiłam w piecyku kurczaka. Pewno są już tam tylko spalone kości.

- Zawsze jest jeszcze zupa - powiedział, otwierając drzwi.

Zamiast dymu, swądu i bałaganu zastali półmisek z kawałkami chrupiącego kurczaka i idealny porządek.

- Sweeney! - Pandora wyrwała się z ramion Michaela. - Co ty tutaj robisz? Miałaś przecież w łóżku.

- Robię, co do mnie należy - odparła wawym głosem Sweeney i popatrzyła na nich z ukosa. O ile mogła się zorientować, wszystko przebiegało zgodnie z jej planem. Pandora i Michael nabrali ochoty na zaczerpnięcie powietrza i, jak to z młodymi ludźmi bywa, zapomnieli o tym światcie, a tym bardziej o kurczaku w piekarniku.

- Ale przecie obiecałaś, że nie będziesz wstawać - przypomniała jej Pandora.

- Och - achnęła się Sweeney. - Dostatecznie się należałam. - Kiedy nie miała zajęcia, nudziła się śmiertelnie. Ale warto było, skoro zobaczyła Pandorę w ramionach Michaela.

- Jestem już zdrowa jak ryba, zapewniam was. Zaraz podam kolację.

Michael i Pandora przypatrywali się jej uważnie. Miała twarz zaokrągloną i rumianą, oczy jej błyszczały. Krzątała się koło zlewu i kuchenki ze zwykłą sobie energią.

- Mimo wszystko chcielibyśmy, abyś się oszczędzała - powiedział Michael. - Nie forsuj się.

- Michael ma rację - włączyła się Pandora. - Pozmywamy po kolacji, a ty odpoczniesz.

- Zauważyła, że Michael skrzywił się lekko, i klepnęła go po ramieniu. - Bardzo to lubimy -

dodała.

Za namową Michaela i Pandory zjedli wszyscy czworo w kuchni. Charles siedział

obok Sweeney i nie bardzo wiedział, jak często powinien kaszleć i na ile jeszcze udawać chorego.

Pandora i Michael zgodnie uznali, e sprawę niepokojących incydentów zachowają dla siebie. Nie musieli nawet porozumiewać się co do tego. Informacja, i ktoś obserwuje dom, byłaby dla dwojga starych ludzi zbyt stresująca.

Kolacja pozornie przebiegła w pogodnej atmosferze, ale Pandora przez cały czas się zastanawiała, kiedy uda im się zapędzić Charlesa i Sweeney do łó ek, eby móc zadzwonić na policję. Kilkakrotnie przyłapała Sweeney, jak spogląda to na nią, to na Michaela z widocznym zadowoleniem. Pocziwa staruszka, pomyślała, wierząc naiwnie, e Sweeney cieszy się, i wróciła do swoich zajęć. Tym bardziej postanowiła chronić ją i Charlesa przed wszelkimi przykrościami. Wreszcie udało jej się namówić ich, eby opuścili kuchnię.

Posprzątała w kuchni i krótko przed dziewiątą przyszła do salonu.

- Wszystko w porządku? - spytał.

Usłyszała znajome zniecierpliwienie w głosie Michaela i skinęła głową. Nalała sobie kieliszek brandy.

- Trochę jak z dziećmi. Nie mogłam ich zmusić, eby wyszli z kuchni, ale w końcu udało mi się znaleźć film z Cary Grantem, który ich zaciekawiał. - Wypiła łyk brandy i westchnęła z ulgą. - Sama bym go chętnie obejrzała.

- Innym razem. - Michael sięgnął po szklankę. - Dzwoniłem na policję, zaraz tu będą.

- Wciąż mi nie daje spokoju, e inni mogą się o wszystkim dowiedzieć. W końcu to tylko nasze domysły.

- A więc niech się teraz policja domyśla. Pandora usiłowała się uśmiechnąć.

- Twój Logan zawsze załatwia wszystko sam - zauwa yła.

- Ktoś mi kiedyś powiedział, e to zwykła fikcja. - Dolał sobie brandy i uniósł

kieliszek w jej kierunku. - Stwierdziłem, e nie lubię, jak znajdujesz się w centrum akcji.

- Czy byś wykształcił w sobie syndrom opiekuńczości wobec kobiet, Michael? To do ciebie niepodobne.

- Mo e i nie - zgodził się. - Sytuacja się zmienia, gdy chodzi o moją kobietę.

Pandora uniosła brwi i popatrzyła mu prosto w oczy. To śmieszne, by odczuwać przyjemność, słysząc tak głupie i zaborcze określenie.

- Twoją?

- Moją - potwierdził. Objął ją za szyję. - W czym problem?

Być może naprawdę tak myślał - w tej chwili. Za kilka miesięcy, kiedy wróci do swego świata, do swoich znajomych, ona będzie już tylko jego trochę irytującą kuzynką. Ale teraz może rzeczywiście tak myślał.

- Sama nie wiem - zająknęła się.

- A więc zastanów się nad tym - powiedział, zbliżając usta do jej warg. - Wrócimy jeszcze do tej sprawy.

Zostawił ją rozgorączkowaną i poszedł otworzyć drzwi. Gdy wrócił, siedziała już spokojnie na krześle przy płonącym kominku.

- Porucznik Randall, Pandora McVie - powiedział, przedstawiając jej policjanta.

- Witam panią. - Porucznik ściągnął wełniany szalik i włożył go do kieszeni płaszcza.

Pandora uznała, że wygląda jak typowy dziadek. Grubawy, poczciwy, swojski. - Paskudny wieczór - stwierdził i stanął nieopodal kominka.

- Napije się pan kawy, poruczniku? - spytała.

- Z rozkoszą. - Randall popatrzył na nią z wdzięcznością.

- Proszę, niech pan siada. Zaraz wracam.

Chciała zyskać trochę na czasie, parząc kawę i ustawiając na tacy filiżanki. Po prostu przygotować się psychicznie do tej rozmowy. Nigdy dotychczas nie miała okazji do kontaktów z policją, nie licząc tych sporadycznych wypadków, gdy zdarzyło jej się nie zapłacić za parking. A teraz na dodatek będzie musiała mówić o swojej rodzinie i stosunkach z Michałem.

Stosunki z Michałem, zastanowiła się. Właśnie z tego powodu kryła się w kuchni i zwlekała z powrotem do salonu. Wciąż jeszcze nie mogła ochłonąć z wrażeń, gdy nazwał ją swoją kobietą. Nie zachowuj się jak nastolatka, upomniwała siebie. To absurdalne, żebyś straciła głowę tylko dlatego, że jakiś mężczyzna namiętnie na ciebie popatrzył.

No tak, ale tym mężczyzną był Michael.

Wyjęła z szafki serwetki, złożyła je w trójkąt i położyła na tacy obok filiżanek i cukiernicy. Nie chce być niczyją kobietą, jest panią samej siebie. To po prostu napięcie i podniecenie związane z wydarzeniami tego wieczora sprawiło, że reaguje jak szesnastolatka.

Jest dorosła i samowystarczalna. Jest zakochana. Muszę to sobie wybić z głowy, postanowiła.

Oddechnęła głęboko, wzięła tacę i wyszła z kuchni.

- Panowie - uśmiechnęła się, stawiając tacę na stoliku. - Oto i kawa. Z mleczkiem i cukrem, poruczniku? - zwróciła się do policjanta.

- Serdeczne dzięki, tak - odparł. Pandora podała mu fili ankę. - Pan Donahue ju mi zreferował, w czym rzecz. Wygląda na to, e macie drobne kłopoty.

Uśmiechnęła się, słysząc takie określenie.

- Drobne - przytaknęła.

- Nie chcę państwa pouczać - powiedział porucznik, patrząc na nich surowo - ale po pierwszym incydencie nale ało sprowadzić tu policję.

- Myśleliśmy, e jak zignorujemy ten akt wandalizmu, zniechęcimy tego, kto to zrobił, do ponownych - tłumaczyła Pandora. - Najwyraźniej byliśmy w błędzie.

- Muszę zabrać butelkę z szampanem. - Porucznik znów spojrzał na nich karcąco. -

Mimo e daliście go do analizy, zbadamy go w naszym laboratorium.

- Zaraz przyniosę. - Michael wstał z krzesła.

- Panno McVie, z tego co opowiada pani kuzyn, wynika, e warunki testamentu pana McVie były trochę niekonwencjonalne.

- Trochę - zgodziła się.

- Powiedział mi równie , e nakłonił panią do przyjęcia ich - ciągnął porucznik.

- To ju fantazja Michaela, poruczniku - zaprotestowała Pandora. - Robię to, na co się sama zdecydowałam.

- Zgadza się pani z panem Donahue, e te incydenty wią a się ze sobą i są sprawką kogoś z państwa rodziny? - spytał.

- Trudno byłoby się nie zgodzić.

- Czy mo e jest ktoś, kogo podejrzewa pani bardziej ni innych? - dopytywał się Randall.

Pandora ju wcześniej się nad tym zastanawiała.

- Nie - odparła. - Wie pan, nie utrzymujemy zbyt bliskich stosunków rodzinnych.

Prawdę mówiąc, nikogo nie znam za dobrze.

- Z wyjątkiem pana Donahue - zauwa ył Randall.

- To prawda. Michael i ja często odwiedzaliśmy wuja, więc spotykaliśmy się tutaj. -

Czy chcieliśmy tego, czy nie, dodała w duchu. - Poza nami krewni odwiedzali wuja Jolleya sporadycznie.

- Oto i szampan, poruczniku. - Michael podał policjantowi pudełko. - I wynik analizy z laboratorium Sanfielda.

Randall schował wydruk do kieszeni.

- Adwokat państwa wuja - Randall zajrzał do notatek - Fitzhugh, parę tygodni temu powiadomił o tym, e ktoś tu się kręci. Patrolujemy okolicę, ale w tej sytuacji zechcą państwo wyrazić zgodę na patrolowanie tutejszego terenu codziennie.

- Oczywiście - rzekł Michael.

- Skontaktuję się z Fitzhugh. - Pandora dołała kawy porucznikowi. - Będę równie potrzebował listę krewnych wymienionych w testamencie i trochę informacji na ich temat.

Pandora zmarszczyła brwi. Starali się najlepiej, jak potrafili, wypełnić polecenie porucznika. Gdy skończyli, Pandora popatrzyła na niego przepaszająco.

- Mówiłam, e nie utrzymujemy zbyt bliskich stosunków - usprawiedliwiała się.

- Poproszę adwokata, eby uzupełnił te dane. - Randall wstał niechętnie z fotela. Starał

się nie myśleć o powrotnej jeździe. Na dworze panował przejmujący chłód. - Obiecuję, e zachowamy jak najdalej posuniętą dyskrecję - powiedział.

- Jeśli cokolwiek się zdarzy, proszę do mnie zadzwonić. Jeden z moich ludzi będzie znał sprawę.

- Dziękujemy, poruczniku. - Michael podał policjantowi płaszcz.

- Myśleliście kiedyś o zainstalowaniu alarmu? - Randall rozejrzał się po pokoju.

- Nie.

- To pomyślcie - poradził, wychodząc.

- Znowu nas poucza - mruknęła Pandora. - Wiesz - zwróciła się do Michaela - myślę, e są dwie szkoły działania policji: albo zamknie sprawę, albo rozdmucha. Ty liczysz, e uda im się coś znaleźć? - Spojrzała na niego pytająco.

- Dziś wieczorem sam ju byłem blisko. - Nalał sobie brandy. - Prawie ju miałem coś w ręku. Albo kogoś. Lubię otwartą walkę, twarzą w twarz.

- Lepiej, ebyśmy to traktowali jak partię szachów, a nie jak mecz bokserski. -

Podeszła do niego, objęła go w pasie i przytuliła policzek do jego ramienia. Takiego gestu się po niej nie spodziewał. Gdy dotknął twarzą do jej włosów, uświadomił sobie, jak bardzo się z tego cieszy. Czy kiedykolwiek uwa ał, e ona nie pasuje do jego wyobra enia ideału kobiety?

- Nigdy nie miałem cierpliwości do szachów - powiedział.

- A więc zostawmy to policji. - Objęła go mocniej. Potrzeba ochrony go była równie silna, jak pragnienie, by być chronioną. - Myślałam o tym, co może dziś w nocy się wydarzyć. Nie chcę, aby ci się coś stało.

- Dlaczego?

- Bo... - Popatrzyła mu w oczy i poczuła, że ogarniają ją fale czułości. Ale nie chciała się wygłupić, nie chciała narazić na szwank swojej dumy. - Bo wtedy musiałabym sama zmywać

- dokończyła.

Uśmiechnął się. Nie, nie miał w sobie zapasów cierpliwości, ale kiedy okoliczności będą tego wymagały, zdobędzie się na cierpliwość. Musnął wargami jej usta. Prędzej czy później otrzyma od niej jeszcze więcej. I wtedy będzie musiał zdecydować, co robić.

- Tylko dlatego? - spytał.

- Gdyby coś ci się stało, nie mógłbyś pracować - ciągnęła Pandora. - Musiałabym znosić twój paskudny charakter.

- Myślałem, że ją go znosisz.

- Byłbyś jeszcze bardziej nieznośny, gdybyś się nudził. Pocałował ją zmysłowo, prowokacyjnie.

- Z tobą bym się nie nudził. Tylko że ty nie chcesz tego zauważyć.

Tym razem pocałował ją gwałtownie, niecierpliwie.

- W końcu naleysz do rodziny... - zaczęła. Zaśmiał się i skubnął zębami koniuszek jej ucha.

- Nie wycofuj się.

- Nigdy się nie wycofuję - achnęła się.

- Chyba że zaczynasz wszystko racjonalizować. - Znowu zbliżył wargi do jej ust. -

Związki w naszej rodzinie są bardzo luźne - szepnął. - Ten związek nie.

- Nie wiem, czego ode mnie chcesz - usiłowała się bronić.

- Zwykle jesteś taka bystra.

- Nie artuj, Michael.

- Nie artuję. - Odsunął ją na odległość wyciągniętych rąk. Przesunął dłonie wzdłuż jej ramion. - Nie, nie zamierzam tego zgadywać za ciebie, Pandoro. Nie zamierzam ci niczego ułatwiać. Sama musisz

przyznać, e oboje pragniemy tego samego. I zrobisz to.

- Zarozumialec - warknęła.

- Tylko pewny siebie - skorygował. - Pragnę cię.

- Wiem - szepnęła.

- Tak. - Ujął jej dłonie. - Myślę, e wiesz.

ROZDZIAŁ 11

W lutym zima pokazała, co potrafi. Przyszedł taki dzień, kiedy Pandora musiała przekopywać drogę do pawilonu, w którym pracowała. Wcale nie była z tego powodu niezadowolona. Przeciwnie, była za to wdzięczna losowi. Ruch na świe ym powietrzu dobrze jej zrobił.

Pandora doszła do pewnych niewygodnych dla siebie wniosków. Jej ycie nigdy ju nie będzie takie samo jak dotychczas. Jeśli chodzi o pracę, miesiące, jakie spędziła w posiadłości Folley, tworząc nowe projekty bi uterii, tylko wyszły jej na korzyść. Prawdę mówiąc, często traktowała swoją twórczość jako odskocznię od tego, co dzieje się wokół niej i co bezpośrednio jej dotyczy.

Nagle uzmysłowienie sobie, e jej zdrowie, nawet jej ycie mo e być wystawione na niebezpieczeństwo, spowodowało, e zmieniła trochę swój tak zwykle praktyczny i racjonalny pogład na świat. Zaczęła doceniać to, co dotychczas uwa ała za oczywiste i naturalne.

Choćby to, e budzi się rano w ciepłym łó ku, e patrzy na płatki śniegu za oknem. Nauczyła się cieszyć ka dą chwilą.

Rozwa ała, czyby nie pojechać na dzień do Nowego Jorku i nie zabrać trochę rzeczy, które chciałyby mieć ze sobą w Folley. Głównie chodziło jej o to, e mogłaby podjąć pewne decyzje. To, co chciałyby zatrzymać, i to, czego wolałyby się pozbyć, byłoby w jakimś stopniu odzwierciedleniem zmian, jakie w sobie zaakceptowała.

Musi załatwić sprawę wynajmu mieszkania i pracowni. Nie będzie mieszkała sama, lecz ze starymi słu ącymi wuja, za których czuje się odpowiedzialna. Choć kiedyś postanowi-

ła, e będzie odpowiedzialna tylko za siebie i swoją sztukę, dokonała wyboru bez wątpliwości i skrupułów. Mimo e mieszkała w mieście, wśród ludzi, ruchu i zgiełku ulic, izolowała się. Z

tym ju koniec.

Wszystko to jakoś splatało się z osobą Michaela.

Za parę tygodni ich wspólny pobyt w Folley dobiegnie końca. W czasie następnych zim będzie wspominała tę, którą spędzili razem. Przygotowując się do nowego, odmiennego od dotychczasowego ycia, przyrzekła sobie, e nie będzie ałować. Jednak nie mogła sobie zabronić marzeń. Wszystko przecie w jej yciu się zmieniło.

Po wizycie policji musiała po zmroku zamykać swoją pracownię na klucz, skończyły się te samotne spacerunki po lesie. Rytualem stał się wieczorny obchód Folley i sprawdzanie wszystkich drzwi i okien, czego przedtem nigdy nie robiono. Nieraz wracając z pawilonu do domu, widziała w oknie pokoju obserwującego ją Michaela. Powinno ją to napawać spokojem i dawać poczucie bezpieczeństwa, ale wiedziała, że on czeka na coś, co może się wydarzyć.

Bezczynność mu nie służyła.

Od czasu gdy pojechali do Nowego Jorku, aby zająć się sprawą włamania, stał się jakby bardziej obcy, z trudem hamował zniecierpliwienie. Choć oboje rozumieli konieczność patrolowania terenu przez policję, czuli się nieswojo, jakby ktoś wdzierał się w ich prywatne życie.

Sledztwo policyjne nie wniosło niczego nowego. Kiedyś z krewnych miał alibi. Od kiedy zwrócili się o pomoc do policji, nic nowego się nie wydarzyło. Tak jak przewidywała Pandora, w rodzinie zawrzało. Otrzymała telefon od Carlsona, który z oburzeniem stwierdził, że wszczęli policyjne dochodzenie, aby uniemożliwić mu podwójne testamenty.

Wkrótce potem przyszedł list od Ginger, której przyszło do głowy, że w Folley straszy. Michael odbył dwuminutową rozmowę telefoniczną z Morganem, który rozhisteryzowany plótł coś o sprawach rodzinnych, a Biff ujął całą sytuację na swój zwykły lakoniczny sposób. „Gliny i rabusie? Wygląda na to, że bawicie się w złodziei i policjantów”.

Tylko Hank się nie odezwał.

Laboratorium policyjne potwierdziło, że analiza szampana Randall prowadził

dochodzenie z właściwą sobie precyzją i rozwagą. Michael i Pandora znajdowali się w tym samym punkcie co przed paroma tygodniami: czekali na rozwój sytuacji.

Michael nie wiedział, jak Pandora to wytrzyma. Idąc ścieżką którą przekopała, zastanawiał się, jak może być tak spokojna, skoro on wprost kipiał. Najgorsze, że nic się nie działo. Czekanie, a ktoś zrobi następny ruch, było torturą nie do wytrzymania. Nie będzie w stanie się rozluźnić, dopóki nie nabierze pewności, że Pandora jest całkowicie bezpieczna.

Nie będzie usatysfakcjonowany, póki jego ręce nie zacisną się na czyimś gardle. Tkwiąc w beczynności, był bliski obłędu. Zatrzymał się obok pawilonu i rozejrzał dokoła.

Dom, pokryty czapą śniegu, ze zwisającymi z dachu soplami lodu, wyglądał bajkowo.

Stanowiłby idealną scenerię jakiejś tajemniczej, trochę niesamowitej opowieści. Ale teraz jest po prostu ich domem.

Wcisnął ręce do kieszeni i obserwował dym unoszący się z kominów. Może to głupie, ale zawsze lubił to miejsce. Im dłużej tu mieszkał, tym bardziej się upewniał, że właśnie tutaj przynależy. Nie wiedział tylko, jak Pandora przyjmie jego decyzję o pozostaniu w Folley po upływie terminu wyznaczonego przez wujka.

Skończył właśnie ostatni scenariusz na ten sezon. Mógłby, jak to często czynił, wziąć parę tygodni urlopu wczesną wiosną i udać się gdzieś na gorące, hałaśliwe plażę. Mógłby łowić ryby, odpoczywać i przyglądać się dziewczynom w o dwa numery za małych bikini.

Mógłby... ale wiedział, że nigdzie nie pojedzie.

Przez parę ostatnich dni bawił się wymyślaniami scenariusza pełnometra owego filmu fabularnego. Już przedtem się nad tym zastanawiał, ale wciąż coś mu stawało na przeszkodzie. Wiedział, że tutaj mógłby go napisać. Miałby świadomość, że Pandora pracuje obok i że krytycznie potraktuje jego pomysły, co tylko dodałoby mu bodźca do wydajniejszej pracy.

Ale czekał. Cekał na coś, co jeszcze może się stać; na to, by wykryć, kto chciał ich zastraszyć na tyle, by odstąpili od planów i zrezygnowali z dotrzymania warunków testamentu wuja Jolleya. Ale przede wszystkim czekał na dzień, w którym Pandora mu zaufa i odda mu swoje serce.

Przekręcił gałkę w drzwiach i ucieszył się, że Pandora dotrzymuje słowa i zamyka się od wewnątrz na klucz.

- Pandorol - zawołał.

Otworzyła drzwi, trzymając w ręku dłuto. Obrzucił ją wzrokiem i podniósł obie ręce do góry.

- Nie mam broni - powiedział.

- Ale ja mam robotę - odparowała, unosząc lekko w uśmiechu kąciki warg. Jej spojrzenie mówiło, że cieszy się z jego wizyty. Nauczył się już rozpoznawać takie drobne znaki.

- Wiem, że naruszam twoje godziny pracy, ale mam ważne powody - tłumaczył się.

- Wpuszczasz zimne powietrze - zwróciła mu uwagę. Kiedyś, niewiele myśląc, zatrzasnęłaby mu drzwi przed nosem. Teraz zatrzasnęła je za jego plecami.

- Do diabła, tu wcale nie jest ci tak ciepło.

- Jest w sam raz, kiedy pracuję. A właśnie to robię - odpowiedziała.

- Może masz pretensje do Sweeney. Wysłała mnie po zakupy i nalega, abym cię ze sobą zabrał. - Popatrzył na nią porozumiewawczo. - „Ta dziewczyna za ciebie przesiaduje w pawilonie” - powiedziała. „Potrzebuje trochę słońca”.

- Mam masę słońca - zaprotestowała Pandora. A jednak podobał jej się pomysł

wyjazdu do miasta. Nie zaszkodzi porozmawiać z jubilerem z małego centrum handlowego.

Zaczynała myśleć o tym, by wyjść ze swymi wyrobami poza miasto. - Myślę, że powinniśmy jej ustąpić, tylko najpierw to skończę.

- Nie spieszy mi się.

- Dobrze, a więc za godzinę. - Odeszła od drzwi, ale nie usłyszała, by trzasnęły.

Odwróciła się zatem i zobaczyła, że Michael przygląda się jej narzędziom. - Michael - napomniała go lekko poirytowanym tonem.

- Nie przeszkadzaj sobie.

- Nie masz nic do roboty? - zdziwiła się.

- Nic a nic - odparł z uśmiechem.

- adnego pościgu samochodowego? - dopytywała się.

- Nie, a poza tym nigdy nie widziałem cię przy pracy.

- Nie lubię publiczności.

- Więcej wyobraźni, kochanie. Powiedzmy, że jestem praktykantem.

- Nie jestem pewna, czy jest mi potrzebny.

- Co to jest? - spytał, wskazując przedmiot leżący na stole.

- To jest breloczek. Jeszcze nie skończony. Zrobiłam go z mosiężnego drucika i opiłków srebrnych, które zostały mi z naszyjnika.

- Nic się nie zmarnuje. Praktyczna jak zawsze. Co robisz?

Po chwili namysłu uznała, że prościej będzie odpowiedzieć na jego pytanie, niż się go pozbyć. Wyjaśniła mu pokrótce kolejne czynności.

- Wydaje się to dość proste - zauważył.

- Pięcioletnie dziecko potrafiłoby przymocować takie łożki.

- A jednak jest w tym coś niebywałego. Zwykły kawałek metalu zmienił się w intrygujący ornament. Ozdobny i egzotyczny.

- Taki właśnie miałam zamiar - przytaknęła Pandora. - Ten naszyjnik będzie nosiła na planie filmowym Jessica Wainwright. Ma to być prezent od dawnego kochanka. Filmowa hrabina twierdzi, że był tureckim księciem.

Michael jeszcze raz uważnie przyjrzał się naszyjnikowi.

- Bardzo odpowiedni - przyznał.

- Będzie sięgał niemal do talii, kończąc się perłową łezką. - Pandora pokazała mu rysunek. - Pani Wainwright jest osobą szczególną. Nie chce niczego zwyczajnego, nawet kła-sycznego. Wszystko, co nosi, powinno dodać jej postaci tajemniczości.

Odłó yła szkic i poskładała narzędzia. Umocuje zapięcie po powrocie z miasta. A jeśli zostanie jeszcze trochę czasu do kolacji, zacznie następny projekt. Praca nad pozłacaną, ozdobną zapinką w kształcie pawia z rozłożonym ogonem zajmie jej co najmniej dwa tygodnie.

- Ten przedmiot mógłby stanowić zabójczą broń. - Michael podniósł przyrząd do polerowania.

- e co proszę? - Uniosła w górę brwi.

Lubił, gdy tak mówiła i patrzyła na niego z bezgranicznym zdumieniem połączonym z powątpiewaniem.

- Pasowałoby mi do scenariusza - dodał.

- Zostaw moje narzędzia w spokoju. - Pandora odłó yła na bok pilnik. - Zaprosisz mnie w mieście na lunch? - Zdjęła fartuch roboczy i włożyła płaszcz.

- Chciałem cię spytać o to samo.

- Ale ja spytałam pierwsza. - Zamknęła pawilon i otuliła się szczelniej płaszczem. -

Śnieg zaczyna topnieć - zauważyła.

- Za parę tygodni pięć tuzinów cebulek, które zasadził Jolley, kiedy bawił się w ogrodnika, zacznie kwitnąć.

-

onkile - powiedziała Pandora. W tej chwili wydawało się to wręcz nieprawdopodobne. Wokół leżącego śniegu powietrze było przenikliwie zimne i wilgotne. - Zima minęła jakoś dziwnie szybko - dodała.

- Masz rację. - Objął ją ramieniem. - Nigdy nie przypuszczałem, że te sześć miesięcy tak szybko upłynie. Myślałem, że do tego czasu jedno z nas popełni morderstwo.

- Mamy na to jeszcze cały miesiąc - roześmiała się.

- Ale teraz musimy się dobrze sprawować - przypomniał jej. - Porucznik Randall ma nas na oku.

- Zaprzepaściliśmy szansę. - Objęła go za szyję. - Były takie momenty, kiedy miałam ochotę trzasnąć cię jakimś tępym narzędziem w głowę.

- I wzajemnie. - Pochylił się i dotknął ustami jej warg. Były chłodne i lekko spierzchnięte.

W oknie bocznego skrzydła Sweeney uchyliła zasłonę.

- Patrz tylko! - powiedziała do Charlesa. - Mówiłam, że się uda. Za parę tygodni będę pieką weselny tort.

W chwili gdy Charles równie zbliżył się do okna, Pandora nabrała całą garść śniegu i rzuciła go Michaelowi prosto w twarz.

- No, no, nie ciesz się na zapas - mruknął Charles. Pandora, chcąc uniknąć rewanżu, pomknęła do garażu.

Zdała się pochylić na sekundę przed tym, nim śnieżka uderzyła w drzwi.

- Wciąż chybiasz, kuzynie. - Wpadła do środka i wskoczyła do jego samochodu.

Zadowolona wtuliła się w siedzenie. Była pewna, że Michael nie zechce zabrudzić nieskazitelnego wnętrza śniegiem. Otworzył drzwi, wsunął się do środka i rzucił śniegiem w jej głowę. Zapiszczała. Przekręcił kluczyk.

- Lepiej celuję z bliska - powiedział.

- Ktoś mógłby sądzić, że męczyzna, który jeździ takim okazałym samochodem, będzie na niego chuchał i dmuchał. - Zgarnęła śnieg z włosów i twarzy.

- Jest okazały, jeśli kupujesz go jako wyznacznik swego statusu społecznego.

- Co oczywiście nie dotyczy ciebie.

- Kupiłem go, bo ma optymalne zużycie paliwa. I dlatego, że znakomicie się prezentuje z rudymi włosami w środku - dodał.

- I jasnymi, i ciemnymi - dodała Pandora.

- Rudymi - powtórzył, zawijając na palcu pukiel jej włosów. - Mam swoje preferencje.

Nie powinna się uśmiechać, słysząc te słowa, ale uśmiechała się jeszcze, kiedy wyjechała na długą, krętą drogę.

- Nie możemy się skarżyć na służby drogowe - zauważyła. - Z wyjątkiem tych dwóch tygodni w zeszłym miesiącu szosy były dobrze oczyszczone. - Patrzyła przez okno na pryzmy śniegu odsuniętego z drogi.

- Ale podjazd był zaśnieżony.

- Przypomniało mi się, jak jeździłeś na tym małym traktorze do odśnieżania.

Uwielbiałeś to. A wuj Jolley mówił, że prowadząc ten pojazd, czuje się jak prawdziwy macho.

- Pędził jak wariat przez dziedziniec - roześmiał się Michael.

Dojeżdżając do zakrętu, Michael zwolnił. Pandora pochyliła się i włączyła odtwarzacz płyt kompaktowych.

- Większość ludzi taki sprzęt ma w swoim gabinecie - zauważyła.

- Nie mam gabinetu.

- Nie masz te stereo - roześmiała się. - Ani telewizora, o ile pamiętam.

Wzruszył ramionami, ale w myślach liczył, ile rzeczy mu ukradziono.

- Ubezpieczenie wszystko pokryje - rzucił.

- Policja potraktowała to jak zwyczajne włamanie. Moje i tak było - zamyśliła się.

- A moje to była tylko zasłona dymna. Chciałbym, ebyśmy. .. - Urwał, bo zbliżyli się do następnego zakrętu. Znowu nacisnął hamulec, ale tym razem nie dało to żadnego efektu.

- Michael, jeśli chcesz się przede mną popisywać, to nic z tego. - Pandora odruchowo złapała się uchwytu nad oknem.

Trzymając kierownicę jedną ręką, Michael drugą sięgnął do hamulca ręcznego.

Samochód pędził w dół. Chwycił kierownicę obu rękami, usiłując pokonać następny zakręt.

- Hamulce nie działają - rzucił tylko. Licznik szybkości wskazywał, że jadą ponad siedemdziesiąt mil na godzinę.

Pandora kurczowo ścisnęła uchwyt.

- Nie uda nam się zjechać bez hamulców - wyszeptała przerażona.

- Nie - odparł, nie zamierzając kłamać. Koła piszczały przeraźliwie, gdy brał następny zakręt.

Pandora wpatrywała się w szosę wijącą się przed nimi. Serce podeszło jej do gardła.

Znak przed ostrym zakrętem nakazywał zwolnić do trzydziestu mil na godzinę. Michael wziął

go z prędkością siedemdziesięciu pięciu. Zamknęła oczy. Kiedy je otworzyła i zobaczyła przed sobą zaspę śnieżną, krzyknęła. Jakimś cudem Michaelowi udało się ją ominąć.

Wpatrywał się w szosę, starając się przewidzieć kolejny zakręt. Pot wystąpił mu na czoło. Znał tę szosę i dlatego właśnie był przerażony. Jeszcze trzy mile, ostry spadek i gwałtowny podjazd pod górę. Rozpędzony samochód wjedzie w balustradę, przerwie ją i rozbije się na skałach na dole.

- Jest tylko jedna szansa - powiedział Michael. - Musimy skrócić w drogę prowadzącą do starej gospody. To za tym zakrętem. - Nie mógł oderwać wzroku od szosy, eby spojrzeć na Pandorę. Palce

kurczowo zaciskał na kierownicy. - Trzymaj się - rzucił.

Umrę, pomyślała. Nie mogła myśleć o niczym innym. Słyszała pisk opon. Samochód przechylił się na bok. Miała wra enie, e za sekundę się przewróci, e będą dachować.

Widziała gałęzie ocierające się o karoserię, gdy wpadli na wąską drogę. Przez moment wydawało się, e uda im się utrzymać na drodze. Ale zakręt był za ostry, szybkość za du a.

Samochód pędził wprost na drzewa.

- Kocham cię - szepnęła i wyciągnęła rękę do Michaela. A potem zapadła ciemność.

Michael powoli dochodził do siebie. Czuł ból, ale nie wiedział dlaczego. Słyszał jakiś hałas. W końcu odwrócił głowę w kierunku, z którego dobiegał. Kiedy otworzył oczy, zobaczył ciemnowłosego chłopca zagląającego przez okno.

- Proszę pana, proszę pana! Nic panu nie jest? Michael oszołomiony pchnął drzwi.

- Wezwij pomoc - wyszeptał, walcząc z ogarniającą go znowu ciemnością. Głęboko zaczerpnął powietrza, usiłując zebrać myśli. Chłopiec pomknął przez las.

Pandora, przemknęło Michaelowi przez myśl. Ogarnął go strach. Pochylił się nad nią.

Ręce mu dr ały, gdy usiłował wymacać puls. Był. Krew spływała jej po twarzy z rozciętego czoła. Palcami ścisnął ranę i sięgnął po podręczną apteczkę. Zatał

krwawienie i zaczął sprawdzać, czy nie ma złamań. Jęknęła. Musiał się siłą powstrzymać, by jej nie przytulić.

- Spokojnie, spokojnie - powtarzał. - Nie ruszaj się. - Kiedy otworzyła oczy, zobaczył, e ma szklisty i błędny wzrok. - Nic ci nie będzie. - Ujął delikatnie w dłonie jej twarz. Powoli odzyskiwała jasność spojrzenia. W końcu chwyciła go za rękę.

- Hamulce - szepnęła.

- Tak. - Przytulił policzek do jej twarzy. - To była piekielna jazda, ale wygląda na to, e się nam udało - powiedział.

Pandora rozejrzała się dokoła. Samochód zatrzymał się na drzewie. Tylko dzięki temu, e śnieg był tu bardzo głęboki, auto zwolniło i uderzenie nie zakończyło się tragicznie.

- My... tobie nic nie jest? - Pandorze łzy napłynęły do oczu, gdy dotknęła twarzy Michaela. - Dobrze się czujesz?

- Wspaniale. - Nadgarstek mu pulsował, jakby miał w nim młot pneumatyczny, a głowa pękała z bólu, ale ył. Kiedy Pandora chciała się poruszyć, powstrzymał ją. - Nie, nie ruszaj się. Nie wiem, jakie masz obra enia. Był tu jakiś chłopiec. Poszedł po pomoc.

- Tylko głowa - powiedziała. Wzięła go za rękę i zobaczyła krew. - O Bo e, ty krwawisz - przeraziła się. - Skąd? - Zanim zaczęła szukać zranionego miejsca, chwycił ją za obie ręce.

- To nie ja, to ty. Jesteś ranna w głowę - wyjaśnił. - Mo esz mieć wstrząśnienie mózgu.

Pandora dotknęła dr ącą ręką banda a. Rana bolała, ale nie zwracała na to uwagi.

Skoro boli, to znaczy, e yje. I to jest najwa niejsze.

- Myślałam, e umarłam - powiedziała. Zamknęła oczy, ale spod rzęs popłynęły łzy. -

Myślałam, e oboje umarliśmy.

- Oboje yjemy i nic nam nie jest - zapewnił ją. Od szosy dobiegł dźwięk syreny policyjnej. Pandora znowu otworzyła oczy. - Wiesz, co się stało? - spytał.

Głowa ją bolała, ale odzyskała jasność umysłu.

- Ktoś usiłował nas zabić - powiedziała. Skinął głową.

- Mam zdecydowanie dość czekania, Pandoro.

Porucznik Randall zastał Michaela w poczekalni pogotowia ratunkowego. Rozpiął płaszcz i usiadł obok niego na drewnianej ławce.

- Wygląda na to, e macie trochę kłopotów - zaczął. - Trochę.

Randall wskazał banda na nadgarstku.

- Coś powa nego? - spytał.

- Tylko zwichnięcie - odparł Michael. - Parę draśnień, zadrapań i cholerny ból głowy.

Kiedy go ostatni raz widziałem, mój samochód wyglądał jak akordeon - za artował.

- Odholujemy go. Czy jest coś, na co powinniśmy zwrócić uwagę?

- Hamulce. Wygląda na to, e nie działały.

- Kiedy ostatni raz u ywał pan samochodu? - spytał Randall.

- Dziesięć dni temu, mo e dwa tygodnie. - Michael potarł czoło. - Jechałem do Nowego Jorku w związku z włamaniem do mieszkania.

- Gdzie trzyma pan samochód? - ciągnął dalej Randall.

- W gara u.

- Zamkniętym na klucz?

- Gara ? - zdziwił się Michael. Wpatrywał się w korytarz, którym odwieziono Pandorę. - Nie. Mój wuj zainstalował jedno z tych zdalnie sterowanych urządzeń alarmowych parę lat temu. Nigdy nie działało. Tak czy inaczej, rozmontował je i nie założył zamka.

Samochód Pandory tam stoi - przypomniał sobie nagle. - Jeśli...

- Sprawdzimy - powiedział porucznik. - Panna McVie była z panem?

- Tak, jest teraz u lekarza. - Po raz pierwszy od tygodni Michael zamarzył o papierosie. - Zraniła się w głowę. - Spojrzał na swoje dłonie, na których jeszcze przed chwilą była jej krew. - Zamierzam wykryć, kto to zrobił, poruczniku, a potem...

- Proszę nie mówić niczego, co mógłbym wykorzystać przeciwko panu - ostrzegł

Randall. Spotykał ludzi, którzy rzucali takie groźby tylko po to, by rozładować chwilowe napięcie. Michael Donahue do takich nie należał. - Niech mi pan pozwoli wykonywać moje obowiązki, panie Donahue.

Michael patrzył na niego przez dłuższą chwilę.

- Ktoś tu prowadzi grę, zabójczą grę - wycedził przez zęby - narażając osobę bardzo dla mnie ważną. Czy będąc na moim miejscu, siedziałby pan z założonymi rękami i czekał na ciąg dalszy?

Randall uśmiechnął się pod wąsem.

- Wie pan, nigdy nie opuściłem żadnego odcinka. Znakomita rozrywka. Ta cała sprawa mogłaby się znaleźć w pańskim serialu.

- Mogłaby się znaleźć w moim serialu - powtórzył Michael.

- Problem tylko w tym, że w życiu wszystko przebiega inaczej niż na ekranie. Otóż i pańska kuzynka.

Michael natychmiast podbiegł do Pandory. Patrzył na nią pełen niepokoju.

- Wszystko w porządku - uprzedziła jego pytanie.

- Niezupełnie - włączył się młody lekarz, który jej towarzyszył. - Panna McVie ma wstrząśnienie mózgu.

- Doktor założył mi parę szwów na głowie i chce mnie tu uwięzić. - Uśmiechnęła się słodko do lekarza i ujęła Michaela pod ramię. - Wracajmy do domu.

- Chwileczkę. - Michael zwrócił się do lekarza: - Chce ją pan zatrzymać w szpitalu? -

spytał.

- Michael - zaczęła Pandora.

- Cicho - ofuknął ją.

- Ka dy pacjent ze wstrząśnieniem mózgu musi zostać poddany rutynowemu badaniu.

Panna McVie powinna zostać na noc pod fachową opieką.

- Nie zostanę w szpitalu tylko dlatego, e mam guza na głowie - zaprotestowała. -

Dobry wieczór, poruczniku.

- Dobry wieczór, panno McVie.

- A teraz, doktorze...

- Barnhouse - przedstawił się lekarz.

- A więc, doktorze Barnhouse - ciągnęła - wezmę sobie pańską radę do serca. Chcę odpocząć, uniknąć stresu. Gdy tylko poczuję nudności czy zawroty głowy, zjawię się w szpitalu. Mogę pana zapewnić, e teraz, kiedy przekonał pan Michaela, e jestem inwalidką, będę miała nale ytą opiekę. Nie musi się pan martwić.

- Nie mogę pani zmusić do pozostania, to jasne - odrzekł lekarz, wyraźnie niezadowolony.

- Jeśli myśli pan, e ja mogę, to niewiele pan wie o kobietach - zauwa ył Michael.

Lekarz zrezygnowany zwrócił się do Pandory.

- Chcę panią widzieć za tydzień, a jeśli wystąpią objawy, o których mówiliśmy, to wcześniej. Musi pani teraz przed dwadzieścia cztery godziny odpoczywać. To znaczy le eć.

- Tak, panie doktorze. - Podała mu rękę. Uścisnął ją niechętnie. - Był pan bardzo miły, dziękuję - dodała.

- Gdybym nie wiedział, e jest inaczej - zauwa ył po chwili Michael - powiedziałbym, e chce cię tu zatrzymać tylko po to, eby na ciebie patrzeć.

- Oczywiście - prychnęła. - Wyglądałam olśniewająco z krwią na twarzy i dziurą w głowie.

- Tak myślałem. - Pocałował ją w policzek, ale wykorzystał to, by bli ej przyjrzeć się ranie. Szwy były ładne i małe, gubiły się na linii włosów. Policzył, e było ich sześć. - Chodź, jedziemy do domu, ebym mógł zacząć cię pielęgnować.

- Zawiozę was - zaproponował Randall. - Przy okazji trochę się rozejrzę.

Gdy tylko weszli do domu, Sweeney zajęła się Pandorą z prawdziwie matczyną troską.

Ułożyła ją w łóżku i otuliła kołdrą. Pandora nie miała siły, aby protestować. Zjadła zupę i wypila gorącą słodką herbatę. Choć lekarz twierdził, że powinna spać, wzięła szkicownik i ołówek i zajęła się rysowaniem. Kiedy poczuła się zmęczona, zaczęła rozmyślać.

Morderstwo. Nic, tylko morderstwo. Morderstwo dla pieniędzy - dla niej rzecz wprost niepojęta. Już przedtem wiedziała, że jej życie znalazło się w niebezpieczeństwie, ale mimo wszystko wydawało jej się to mało realne. A teraz wystarczyło, że dotknęła zranionego czoła, aby uświadomić sobie, i rzeczywiście ktoś nastaje na jej zdrowie i życie.

Wuj, ciotka, kuzyn? Kto a tak bardzo pojął majątku Jolleya, aby posunąć się do zabójstwa? Nie po raz pierwszy połowała, a nie poznała lepiej swojej rodziny. Wysłuchiwała jedynie uwag wuja Jolleya, nawiasem mówiąc, niezbyt pochlebnych, z których wywnioskowała, że jej krewni są po prostu nudni.

Raz czy dwa uczestniczyła w przyjęciu dla rodziny. Monroe wciąż się złościł, Biff się przechwalał, Ginger nieustannie szczebiotała. Ale nudni czy nie, jedno z nich przekroczyło dopuszczalne granice. Gotowe było posunąć się a do wyeliminowania jej, aby osiągnąć swój cel. Zaczęła szkicować z pamięci portrety krewnych. Może przynajmniej w ten sposób wpadnie na właściwy trop.

- Galeria łobuzów - orzekł Michael, wchodząc do pokoju. Wracając z gara u, gdzie razem z Randallem znaleźli na betonowej podłodze jeszcze wilgotne ślady płynu hamulcowego. Ktoś, kto to robił, zostawił tylko tyle płynu, aby przez pierwsze parę mil samochód zachowywał się normalnie. W samochodzie Pandory dokonano tej samej szkody.

Nie chciał mówić Pandorze, że ten, kto próbował ich zabić, był dzień czy dwa temu tak blisko, bo w gara u. Popatrzył na szkice.

- Co widzisz? - spytała.

- e masz ogromny talent i powinnaś się poświęcić malarstwu.

- Chodzi mi o ich twarze. - Poruszyła się niecierpliwie. - Nic w nich nie ma. adnych rysów, adnych oznak, a są zdolni do zabójstwa.

- Ka dy jest zdolny do zabójstwa. Tak, tak - dodał Michael, gdy otworzyła usta, aby zaprzeczyć. - Ka dy. Tyle e motyw może być różny, zale ny od osobowości, okoliczności, potrzeb. Jedni zabijają wtedy, gdy ich życie jest w niebezpieczeństwie, inni, gdy zagrożony jest ktoś, kogo kochają.

- To zasadniczo różnica.

- Nie. - Usiadł na łóżku. - To sprawa różnego systemu wartości. Jedni zabijają, bo ich dom jest zagrożony, inni - bo zagrożony jest ich styl życia, dobrobyt, władza.

- A więc bardzo zwyczajna osoba może zabić, jeśli poczuje się zagrożona.

- Jedna z nich próbowała - Wskazał na jej rysunki. - Na przykład ciocia Patience ze swoją okrągłą buzią i krótkowzrocznymi oczami.

- Chyba nie wierzysz, e...

- Jest bezgranicznie oddana bratu. Nigdy nie wyszła za mąż - powiedział. - Dlaczego?

Bo zawsze się nim opiekowała.

Wziął do ręki następny rysunek.

- Albo choćby sam Monroe. Uważał Jolleya za zwariowanego nudziarza.

- Jak oni wszyscy.

- Masz rację - zgodził się Michael. - Carlson, pruderyjny, wyprany z poczucia humoru, jedyny syn Jolleya, który jeszcze żyje.

- Próbował obalić testament.

- Wiedział, że jego ojciec był inteligentny. Kto wie, czy nie zechce użyć bardziej niegodziwych środków, aby dopiąć swego. Biff... - Michael nie mógł się nie roześmiać, patrząc na rysunek. Pandora naszkicowała go dokładnie takim, jaki był. Egocentryk, zajęty wyłącznie własną osobą.

- Jakoś nie widzę go z rękami splamionymi krwią.

- Za część ze stu pięćdziesięciu milionów? Ja widzę. Śliczna mała Ginger. Ciekawe, czy potrafi być taka słodka, na jaką wygląda i Hank. - Pandora narysowała go z rozluźnionymi mięśniami. - Czy zadowolili się kilkoma tysiącami, skoro mógłby mieć miliony?

- Sama nie wiem - zamyśliła się. - Nawet jeśli mam ich ustawionych w szeregu przede mną, nie wiem.

- Ustawieni w szeregu - powtórzył Michael. - Moje tu kryje się odpowiedź.

Najwłaściwy czas, aby zorganizować miłe rodzinne przyjęcie - powiedział.

- Przyjęcie? Nie myślałam o tym, aby ich tutaj wszystkich zapraszać.

- Dlaczego? Będzie wspaniale.

- Nie przyjadą.

- Ale przyjadą. - Michael już wybiegał myślą w przód. - Mogę się założyć. Lekki sygnał, że nie dzieje się tu za dobrze, a zlecą się jak na skrzydłach. Za tydzień będziesz u lekarza. Jeśli uzna, że jesteś zdrowa, zaczniemy naszą grę.

- Jaką?

- Za tydzień - powtórzył i ujął w dłonie jej twarz. Nie była piękna, ale było w niej coś niezwykłego.

Długo trwało, zanim to sobie uświadomił. - Jesteś trochę blada - zauważył.

- Zawsze jestem blada, kiedy mam wstrząśnienie mózgu. Chcesz mnie rozpieszczać?

- Troszeczkę. Bo e, myślałem, e cię straciłem. - Spowa niał nagle.

- Oboje byśmy się stracili, gdybyś tak dobrze nie panował nad samochodem. -

Przytuliła się do jego ramienia. Było silne, dawało oparcie i poczucie bezpieczeństwa. Postara się udawać, e Michael zawsze będzie przy niej. - Cudem wyszliśmy z tego cało.

- Ale wyszliśmy. - Popatrzył na nią. Wyglądała na słabą i wycieńczoną, ale wiedział, e jej wola pozostała niezłomna. - A teraz porozmawiamy o tym, co mi powiedziałaś bezpo-

średnio przed wypadkiem.

- Krzyczałam? - spytała.

- Nie.

- Jeśli krytykowałam twój sposób jazdy, to przepraszam.

- Powiedziałaś, e mnie kochasz. - Zauważył, e otworzyła szeroko oczy ze zdumienia. Niejeden mężczyzna poczułby się dotknięty taką reakcją, ale Michael potraktował

to z właściwym sobie poczuciem humoru. - Mo na by to nazwać wyznaniem na łó u śmierci.

Naprawdę tak powiedziała? Pamiętała tylko, e chwyciła go za rękę w tych ostatnich sekundach, sądząc, e za chwilę oboje zginą.

- To była histeria - zaczęła, starając się odsunąć.

- Nie brzmiało to jak bredzenie.

- Michael, słyszałeś, co mówił doktor Barnhouse. Mam unikać stresów. Jeśli chcesz w czymś pomóc, to zrób mi jeszcze herbaty.

- Mam coś lepszego na uspokojenie nerwów i rozluźnienie mięśni. - Położył się obok niej na łó ku i zaczął delikatnie obsypywać pocałunkami twarz Pandory. - Chcę to jeszcze raz usłyszeć, teraz, tutaj.

- Michael - próbowała oponować.

- Nie, le spokojnie. Będę cię dotykać, tylko dotykać, nic więcej. Na resztę będziemy jeszcze mieli du o czasu.

Był cierpliwy i czuły. Nie po raz pierwszy dziwiła się, e tak uparty, wybuchowy i pewny siebie mężczyzna mo e mieć tak delikatne dłonie. Ściągnął buty i wśliznął się pod kołdrę obok niej. Trzymał ją

w ramionach i gładził ją, dopóki nie usłyszał, jak wzdycha z ulgą.

- Będę się tobą opiekować - wyszeptał. - A kiedy wyzdrowiejesz, będziemy się sobą opiekować nawzajem.

- Jutro będę zdrowa - powiedziała sennym głosem.

- Oczywiście - przytaknął. - Ale jeszcze mi tego nie powiedziałaś po raz drugi - przypomniał. - Kochasz mnie, Pandoro?

Była tak zmęczona i wyczerpana, e nie miała ju siły do walki.

- A jeśli tak? - odpowiedziała pytaniem. Z trudem przekrzywiła głowę, by popatrzeć mu w oczy. - Ludzie zakochują się i odkochują, to normalne.

- Ludzie. - Pochylił głowę tak nisko, e dotykał wargami jej ust. - Nie Pandora.

Denerwuje cię to, prawda?

Chciała spiorunować go wzrokiem, ale oczy same się jej zamknęły.

- Tak. Robię, co mogę, eby odwrócić sytuację - odrzekła.

Przytulił się do niej, na razie usatysfakcjonowany tą odpowiedzią. Kocha go. Ma jeszcze czas, eby skłonić ją, by polubiła tę sytuację.

- Pozwól mi się dowiedzieć, jak to się skończy - powiedział i utulił ją do snu.

ROZDZIAŁ 12

Michael przypatrywał się ciemnym plamom na podłodze gara u ze swego rodzaju ponurą fascynacją. Wypuszczenie płynu hamulcowego z samochodu przyszej ofiary było sposobem zabójstwa, często spotykanym w filmach i powieściach kryminalnych. Widzowie i czytelnicy lubili te znane sobie, niezawodne chwytły, podobnie jak ciekawi byli pomysłów nowych i oryginalnych.

Michael wykorzystywał te metody w swoich scenariuszach, tak samo zresztą jak pomysł z zatrutym szampanem. Fałszywy telegram te mu się czasem zdarzał, nie mówiąc ju o bohaterce zamkniętej w ciemnej piwnicy. To wszystko nale ało do klasyki kryminału.

Ka da z tych sztuczek wymierzonych w niego i Pandorę mogła zostać zaczerpnięta z któregoś z jego scenariuszy. To Randall zwrócił mu na to uwagę, choć oczywiście artował.

Michaelowi jednak nie wydawało się to szczególnie zabawne.

Powinien był przewidzieć taki scenariusz. Mo e dlatego tak się nie stało, e był to schemat a nadto tuzinkowy i banalny, nawet jak na standardy hollywoodzkie. Niezale nie od wszystkiego, uznał, e nie

pozwoli, by wyłączono go z tej gry. Zrobi następny ruch według klasycznych schematów.

Wszedł do domu, podniósł słuchawkę telefonu i zaczął realizować własny scenariusz.

Właśnie kończył ostatnią rozmowę, gdy do pokoju weszła Pandora.

- Michael, musisz coś zrobić ze Sweeney - powiedziała. Odwrócił się i popatrzył na nią uwa nie. Wyglądała cudownie - wypoczęta, zdrowa, lekko poirytowana.

- Czy to nie pora twojej poobiedniej drzemki? - zdziwił się.

- Właśnie o tym mówię. - Zmarszczyła brwi. - Nie potrzebuję poobiedniej drzemki.

Od wypadku minął ju tydzień. - Wyjęła z włosów skórzaną przepaskę i zaczęła się nią bawić. - Byłam u lekarza, powiedział, e nic mi nie jest.

- Nie wiedziałem, e masz głowę z kamienia - za artował. - Nie wyglądało to najlepiej.

- Lekarz był zły, bo doszłam do siebie bez jego pomocy - powiedziała. - Jestem zdrowa, tylko Sweeney nie chce tego przyjąć do wiadomości. Jak dalej będzie tak koło mnie skakać, to dopiero się rozchoruję. - Stanęła przed nim z butnie podniesioną głową. Wyglądała, jakby nie przechorowała ani jednego dnia w yciu.

- Czego ode mnie oczekujesz? - spytał.

- Ona ciebie posłucha. Z jakichś powodów uwa a, e jesteś nieomylny. Pan Donahue to, pan Donahue tanto. Co powiesz, jest święte. - Uderzała nerwowo przepaską w dłoń.

- Przez cały ubiegły tydzień słyszałam, jaki to ty jesteś wspaniały, przystojny, mądry.

To cud, e w ogóle wyzdrowiałam.

Skrzywił się, ale rozumiał, e gadanina Sweeney mo e zniweczyć to, co ju udało mu się osiągnąć.

- Przesadza, zwykłe babskie gadanie - skwitował krótko.

- Ale - dodał po chwili - ponieważ nigdy ci niczego nie odmawiam... i ponieważ przesadza równie z nadskakiwaniem mnie, zajmę się tym.

- Jak? - Pandora przekrzywiła głowę i spojrzała na niego z ukosa.

- Sweeney będzie przez następne dni za bardzo zajęta, by móc się koło nas krzątać.

Musi przygotować przyjęcie.

- Przyjęcie? - zdziwiła się Pandora.

- Tak, przyjęcie, które wydajemy w przyszłym tygodniu dla wszystkich naszych krewnych.

Pandora rzuciła okiem na telefon, przypomniałszy sobie, e właśnie kończył

rozmowę, gdy wchodziła do pokoju.

- Co ty właściwie zamierzasz? - spytała.

- Układam następną scenę tego spektaklu, kuzynko. Poprosimy Sweeney, eby wyjęła najlepszą porcelanę, choć wątpię, czy będzie czas, by jej u yć.

- Michael... - Nie chciała wyjść na tchórza, ale wypadek nauczył ją ostro ności. -

Przecie jeden z nich próbował nas zabić.

- I mu się nie udało. Sądysz, e ju nie spróbuje? Policja nie mo e w nieskończoność patrolować naszego terenu. A poza tym - zacisnął pięść - nie zamierzam puszczać tego w niepamięć. - Przesunął wzrok w miejsce, w którym włosy pokrywały bliznę na czole Pandory.

Lekarz powiedział, e z czasem zblednie. - Załatwimy to na mój sposób - dodał.

- Wcale mi się to nie podoba.

- Pandoro! - Uśmiechnął się i pocałował ją w policzek. - Zaufaj mi.

Fakt, e ju mu zaufała, tylko jeszcze bardziej ją zdenerwował. Westchnęła i wzięła go za rękę.

- A więc powiedzmy Sweeney, eby zabrała się do roboty.

A do chwili przyjazdu pierwszego samochodu Pandora myślała, e nikt się nie zjawi.

Dyskutowali godzinami nad planem Michaela, spierali się, kłócili, wymieniali argumenty, a w końcu się poddała. Teatr, uznała, ale miała w sobie sporo z charakteru wuja Jolleya, wyczekiwała więc tego spektaklu, zwłaszcza e była jedną z głównych postaci, które w nim miały wystąpić. Im bli szy był wieczór, w który miało się odbyć przyjęcie, tym była spokojniejsza.

Ubrała się na tę okazję w dopasowaną czarną suknię bez ramiączek. Ozdobiła szyję srebrnym naszyjnikiem własnej roboty, w uszach miała kolczyki sięgające ramion. Skoro Michael chce przedstawienia, niech je ma.

Kiedy zobaczył ją na szczycie schodów, zaniemówił. Czy naprawdę był przez te wszystkie lata przekonany, e nie jest piękna? Czy tylko sobie to wmawiał? W tym momencie w ka dym razie wiedział jedno. Przyćmiłaby urodą ka dą kobietę, którą znał. Ale gdyby jej to powiedział, nie uwierzyłaby. Pokiwał więc tylko głową z uznaniem i obserwował ją, kiedy schodziła na dół.

- Doskonale - powiedział.

W ciemnym garniturze wyglądał imponująco, stwierdziła w duchu.

- Prawdziwa bohaterka dramatu. - Wziął ją za rękę. - Chłodna i zmysłowa zarazem.

Hitchcock zrobiłby z ciebie gwiazdę.

- Nie zapominaj, co się przytrafiło Janet Leigh.

- Zdenerwowana? - Roześmiał się i dotknął jednego z jej kolczyków.

- Nie tak bardzo, jak przypuszczałam. Jeśli się nie uda...

- Nie będzie gorzej niż teraz. Wiesz, co masz robić.

- Powtarzaliśmy to do znudzenia. Jeszcze mam siniaki. Pochylił się i pocałował ją w oba ramiona.

- Zawsze uważałem, że jesteś urodzoną artystką. Kiedy będziemy mieć już wszystko za sobą, dokończymy przedstawienie sami. Nie, nie wycofuj się - ostrzegł. - Już za późno. -

Stali blisko siebie, ich usta niemal się stykały. - Od początku było za późno.

Starła się nad sobą panować, ale jej zdenerwowanie nie miało nic wspólnego z ich planem na ten wieczór.

- Dramatyzujesz - powiedziała.

Skinął głową i zagłębił palce w jej włosach.

- Ja mam wycucie dramatu, ty zmysł praktyczny. Interesujące połączenie.

- Niełatwe.

- Jeśli życie byłoby zbyt łatwe, przespałabyś je - stwierdził Michael. - O, chyba są już pierwsi goście - dodał. Z podwórza dobiegł odgłos zajeżdżającego samochodu. Pocałował ją szybko. - Połamania nóg - rzucił.

- Właśnie tego się boję - mruknęła.

W ciągu pół godziny w bibliotece zebrali się ci, którzy uczestniczyli w ceremonii otwarcia testamentu, z wyjątkiem mecenasa Fitzhugh. Wszyscy wydawali się tak samo spięci jak przed sześcioma miesiącami. Z portretu spoglądał na nich Jolley. Od czasu do czasu Pandora zerkała na obraz, jakby spodziewała się, że wuj da jej jakiś znak. Wreszcie uznała, że nadszedł czas, by rozpocząć grę.

Carlson stał wraz z nią obok regału. Wyglądał na poirytowanego, rzucił Pandorze groźne i zniecierpliwione spojrzenie.

- Wujku Carlsonie - powiedziała, podchodząc do niego.

- Tak się cieszę, e przyjechałeś. Nie mieliśmy wielu okazji, eby się bliżej poznać.

- Nie podlizuj się - warknął. Obracał w dłoni kieliszek brandy, ale nie pił. - Jeśli ci się wydaje, e przekonasz mnie, ebym nie kwestionował tego absurdałnego testamentu, to się mylisz.

- Nawet o tym nie myślę. Pan Fitzhugh zapewnił, e nie masz najmniejszych szans. -

Uśmiechnęła się słodko. - Przyznaję, e testament jest absurdałny, zwłaszcza teraz, kiedy byłem zmuszona mieszkać pod jednym dachem z Michaeliem przez tyle miesięcy. - Przerwała na chwilę. - Muszę powiedzieć, e były takie dni, kiedy chciałem się poddać - ciągnęła.

- Robił, co mógł, eby obrzydzić mi życie. Raz udawał, e jego matka zachorowała i musi jechać do Kalifornii. I wtedy zamknął mnie w piwnicy. Dziecinada - prychnęła, rzucając Michaelowi spojrzenie pełne pogardy. Kątem oka zauważyła, e Carlson nerwowo wypił łyk brandy. - Cóż, termin mego wyjścia na wolność tu - tu. - Roześmiała się. - Tak się cieszę, e mogliśmy się spotkać na tej skromnej uroczystości. Michael otworzył wreszcie butelkę szampana, którą przechowuje od Bożego Narodzenia.

ona Carlsona upuściła kieliszek na perski dywan.

- Nic nie szkodzi. - Pandora uśmiechnęła się wyrozumiale. - Zaraz to zetrzemy. Nalać ci drinka?

- Nie trzeba. - Carlson chwycił onę za łokieć i odprowadził ją na bok. - Przepraszam za kłopot - rzucił w stronę Pandory.

Kiedy odchodzili, poczuła lekki dreszcz podniecenia. Tak, to musiał być Carlson.

- Sześć miesięcy temu rzuciłem palenie - oznajmił Michael Hankowi i jego onie.

Skinęli głowami z wyraźną aprobatą.

- Nie będziesz tego ałował - powiedział Hank. - Jesteś odpowiedzialny za swoje zdrowie i kondycję.

- Ostatnio du o się nad tym zastanawiałem - powiedział Michael. - życie z Pandorą pod jednym dachem nie ułatwiało mi wytrwania w tej decyzji. Robiła, co mogła, eby dać mi się we znaki. Kazała komuś wysłać do mnie sfigowany telegram, ebym poleciał do Kalifornii przekonany, e moja matka zachorowała. - Zerknął przez ramię na Pandorę.

- Jeśli wytrzymałeś sześć miesięcy bez papierosa... - wtrąciła Meg, sprowadzając rozmowę ponownie na temat jego zdrowia.

- To cud, e wytrzymałem z tą kobietą, e jestem zdrów i cały. Ale to się ju kończy. -

Popatrzył na Hanka i zachichotał.

- Mamy do kolacji szampana zamiast soku z marchwi. Co ty na to? Trzymałem tę butelkę od świąt na specjalną okazję.

Palce Hanka zaciśnięte na szklance wody mineralnej zbieleły, Meg pobladała.

- My... - zająknął się Hank, patrząc bezradnie na Meg - ...my nie pijemy alkoholu.

- Szampan to nie alkohol. - Michael poklepał go po ramieniu. - Przepraszam na chwilę. - Podeszedł do stołu, eby dolać sobie brandy i zaczekał na Pandorę. - To Hank - powiedział.

- Nie. - Dolała sobie wermutu. - To Carlson. - Zgodnie ze scenariuszem rzuciła mu wściekle spojrzenie. - Nudziarz z ciebie, Michael, potworny. Przebywanie z tobą nie jest warte adnych pieniędzy.

- Snobka, udająca intelektualistkę - odciął się. - Liczę ju dni do końca.

Pandora obróciła się na pięcie i podeszła do Ginger.

- Nie wiem, jak zdołałam wytrzymać z tym typem - westchnęła.

- A ja myślałam, e on jest miły. - Ginger przejrzała się w srebrnym lusterku.

- Nie przebywałaś z nim pod jednym dachem. Nie upłynął nawet tydzień, jak włamał się do pawilonu, w którym pracowałam, i wszystko mi zniszczył. A potem twierdził, e zrobił to ktoś z zewnątrz.

Ginger zeszywniała. Szybko przypudrowała nos.

- Nie posądziłabym go o złe intencje. Mówiłam... - Urwała, popatrzyła na Pandorę i uśmiechnęła się nieśmiało. - Śliczne kolczyki - dodała.

Michael zmuszał się, by słuchać wywodów Monroe na temat rynku papierów wartościowych.

- Kiedy wszystko zostanie załatwione - udało mu się wpaść Monroe w słowo - będę musiał poprosić cię o radę. Myślałem o tym, czy by się bardziej nie zaangażować w jedną z firm chemicznych wuja Jolleya. Tam tkwi masa forsy w nawozach i pestycydach. - Zauważył, e Patience rozpaczliwie macha rękami, ale uspokoiła się pod wściekłym spojrzeniem, jakie rzucił jej Monroe.

- Pogadamy - mruknął Monroe. Michael uśmiechnął się.

- Dobra.

Pandora bezskutecznie usiłowała wyciągnąć coś z Ginger. Pięciominutowa rozmowa zasiała w niej podejrzenia. Była zdezorientowana i zaczynała ją ju boleć głowa. Postanowiła spróbować szczęścia z Biffem.

- Dobrze wyglądasz - stwierdziła, uśmiechając się do niego i jego ony.

- Za to ty jesteś trochę błada, kuzynko - odparł.

- Minione sześć miesięcy nie nale ało do przyjemnych. - Ruchem głowy wskazała Michaela. - Oczywiście, ty zawsze go nie znosiłaś.

- Masz rację - potwierdził uprzejmie Biff.

- Nie udało mi się odkryć, dlaczego Jolley tak za nim przepadał. Mało, e jest nudny, to na dodatek uwielbia idiotyczne arty. Raz, na przykład, zwabił mnie podstępnie do piwnicy i zamknął w ciemnościach.

- Nigdy tak naprawdę nie nale ał do naszej klasy - uśmiechnął się Biff.

Pandora ugryzła się w język i skinęła głową.

- Wiesz, e kiedyś nawet do mnie zadzwonił, zmieniając głos. Próbował mnie zastraszyć, mówiąc, e ktoś chce mnie zabić.

Biff zmarszczył brwi i popatrzył jej prosto w oczy.

- Zastanawiające - stwierdził.

- Cóż , teraz właściwie jest ju po wszystkim. Nawiasem mówiąc, smakował wam szampan ode mnie?

Biff zacisnął palce na szklance.

- Szampan? - powtórzył.

- Wysłałam zaraz po świętach.

- Ach, tak. - Podniósł szklankę i wypił parę łyków, nie spuszczać z niej wzroku. - A więc to od ciebie.

- Wpadłam na ten pomysł, kiedy ktoś przysłał Michaelowi butelkę na Bo e Narodzenie. Obiecał, e dziś ją otworzy. Przepraszam, ale muszę sprawdzić, co z kolacją.

Kiedy wychodziła z pokoju, wymienili przelotne spojrzenia z Michaelem. Dotychczas wszystko przebiegało zgodnie ze scenariuszem. Oboje odgrywali swoje role tak, jak to zostało uzgodnione. Teraz ona musi przejąć pałeczkę. W kuchni Sweeney kończyła właśnie przygotowywać posiłek.

- Jeśli są głodni - zwróciła się do Pandory - będą musieli poczekać jeszcze dziesięć minut.

- Sweeney, czas wyłączyć prąd - powiedziała Pandora.

- Wiem, wiem, tylko skończę.

Sweeney została poinstruowana, e na sygnał Pandory ma zejść do piwnicy i wyłączyć prąd, odczekać

dokładnie minutę i włączyć zasilanie z powrotem. Sceptycznie odnosiła się do tego pomysłu, ale w końcu zgodziła się wziąć udział w przedstawieniu.

Wytarła ręce i zeszła do piwnicy. Pandora głęboko zaczerpnęła powietrza i wróciła do biblioteki.

Michael stał przy biurku. Niemal niezauważalnie skinął głową, gdy weszła do pokoju.

- Kolacja będzie za dziesięć minut - oznajmiła Pandora.

- Tyle czasu nam wystarczy - powiedział Michael. - Pewno dziwicie się, dlaczego zaprosiliśmy was na dzisiejszy wieczór - zaczął, wznosząc w górę kieliszek. Wszystkie twarze zwróciły się ku niemu. - Jedno z was jest mordercą - oznajmił nagle.

W tym momencie zgasło światło. Kobiety zaczęły krzyczeć, ktoś przewrócił stół, rozległ się brzęk tłuczonego szkła. Kiedy światło ponownie rozbłysło, zmartwieli. Koło biurka, twarzą do podłogi, leżała Pandora. Obok leżał nóż do otwierania kopert z zakrwawionym ostrzem. Michael błyskawicznie znalazł się przy Pandorze i wziął ją na ręce, zanim ktokolwiek zdołał zareagować. W śmiertelnej ciszy wyniósł ją z pokoju. Po paru minutach wrócił sam. Kolejno mierzył wzrokiem zebranych.

- Morderca - powtórzył. - Ona nie żyje.

- Co to znaczy: nie żyje? - Carlson wysunął się do przodu. - Co tu jest grane?

Chodźmy zobaczyć, co się z nią dzieje.

- Nikt jej nie dotknie. - Michael zastąpił mu drogę. - Nikt niczego nie dotknie ani nie opuści tego pokoju, dopóki nie przyjedzie policja.

- Policja? - Carlson, blady z przerażenia, rozejrzał się dokoła. - Nie yczymy tu sobie policji. Zajmiemy się tym sami. Ona po prostu zemdląca.

- Na tym jest jej krew. - Michael wskazał nóż.

- Nie! - krzyknęła Meg. - Nikomu nic nie miało się stać. Chodziło tylko o to, eby was przestraszyć. Nikt nie planował morderstwa. Och, Hank. - Przycisnęła twarz do piersi męża.

- Chcieliśmy tylko zrobić parę kawałów - mruknął Hank.

- Morderstwo pierwszego stopnia to nie kawał.

- My nigdy... - Patrzył zaszokowany na Michaela. - Nie morderstwo - tłumaczył, tuląc do siebie onę.

- Nie chcesz szampana, prawda, Hank?

- Właśnie wtedy chciałam ju z tym skończyć - szlochała Meg. - Nawet zadzwoniłam i próbowałam ją ostrzec. Uważałam, e to nie ma sensu, e nie powinniśmy, ale potrzebowaliśmy pieniędzy. Wydaliśmy wszystko na nasz klub sportowy. Myśleliśmy, e jak uda nam się was skłócić, to nie dotrzecie

warunków testamentu. To wszystko. Hank i ja przyczailiśmy się w chacie i czekaliśmy. A potem on poszedł do pawilonu i przewrócił

wszystko do góry nogami. Jeśli ona pomyślałaby, e to zrobiłeś ty...

- Nigdy nie myślałam, e do tego dojdzie - zapiszczała Ginger. Dwie łzy spływały jej po policzkach. - Naprawdę, to wszystko wydawało się głupie i... takie podniecające.

Michael spojrział na swoją śliczną, słodką kuzyneczkę z buzią aniołka.

- A więc i ty brałaś w tym udział? - zdziwił się.

- Ja naprawdę nie chciałam. Ale kiedy ciocia Patience mi wyjaśniła...

- Ciocia Patience? - Układanka zaczęła powoli tworzyć całość.

- Morgan zasługuje na swoją część. - Starsza pani ścisnęła dłonie i potoczyła po wszystkich wzrokiem. Uwa ała, e postąpiła słusznie. To wszystko wydawało się tak naturalne.

- Myśleliśmy, e zmusimy jedno z was do wyjazdu, i wtedy wszystko będzie tak, jak powinno być.

- Telegram - włączył się Monroe - ale nie morderstwo.

- Zwrócił się do Carlsona. - To był twój pomysł.

- To niedorzeczne. - Carlson otarł czoło białą jedwabną chusteczką. - Prawnicy okazali się niekompetentni. Nie byli w stanie nic zrobić. Ja tylko broniłem swoich praw.

- Morderstwem.

- Nie gadaj głupstw. Chodziło o to, eby cię wywabić z domu. Nie zrobiłem niczego więcej ponad to, e zamknąłem ją w piwnicy. Kiedy się dowiedziałem o szampanie, miałem trochę wątpliwości, ale w końcu nic złego się nie stało.

- Dowiedziałeś się o szampanie? - Michael tylko na to czekał. - Od kogo?

- Od Biffa - odparła Meg. - To Biff wszystko obmyślił, obiecywał, e nic się nikomu nie stanie.

- Có ... - Biff wzruszył ramionami. - Ka dy w tym pokoju maczał w tym palce. -

Podniósł do góry ręce i dokładnie im się przyjrzał. - Na moich nie ma śladów krwi. Stawiam na ciebie. - Posłał Michaelowi lodowaty uśmiech. - W końcu to nie tajemnica, e nie mo ecie się znieść.

- Ty to zorganizowałeś. - Michael postąpił krok bli ej.

- Pozostaje jeszcze sprawa mego samochodu.

Biff wzruszył ramionami, ale nad jego górną wargą pojawiły się kropelki potu.

- Ka dy w tym pokoju był w to zamieszany - powtórzył.

- Czy by ktoś chciał temu zaprzeczyć? - Oddychał coraz szybciej. - Ktoś wpadł w panikę i to zrobił. Nie znajdziecie moich odcisków palców na no u do kopert.

- Jeśli ktoś raz próbuje dokonać morderstwa, to nietrudno udowodnić, e próbował po raz drugi - powiedział spokojnie Michael.

- Niczego nie udowodnisz. Ka dy z nas mógł ci spuścić płyn hamulcowy. Nie dowiedziesz, e to ja.

- Nie muszę. - Michael błyskawicznie znalazł się przy nim i chwycił go za kłapy. -

Nawet nie wspomniałem o płynie hamulcowym - wycedził przez zęby.

Złapany w pułapkę, Biff kompletnie stracił głowę. Rzucił się na Michaela z pięściami.

Obaj wylądowali na podłodze. Stracili lampę Tiffany'ego, omal nie przewrócili stołu. Zebrani cofnęli się, pozostawiając im miejsce do walki.

- Michael, wystarczy! - Pandora weszła do pokoju szybkim krokiem. - Jest ju porucznik.

Michael wstał i pociągnął Biffa. Charles, ubrany w liberię, stanął w drzwiach biblioteki.

- Podano do stołu - oznajmił.

Dwie godziny później Pandora i Michael siedzieli przed kominkiem w bibliotece, racząc się smakołykami przygotowanymi przez Sweeney.

- Nigdy nie przypuszczałam, e to się uda - powiedziała Pandora, nakładając sobie kolejny plasterek szynki.

- Im bardziej przewidywalne ruchy, tym bardziej przewidywalne zakończenie.

- Porucznik Randall nie wyglądał na zachwyconego - zauwa yła.

- Chciał to załatwić na swój sposób. - Michael wzruszył ramionami. - Kiedy ju odkrył, e Biff odwiedzał pozostałych członków rodziny i telefonował do nich, czuł się zobowiązany do wyśledzenia czegoś więcej.

- Wiesz, jak niewygodnie odgrywać martwą? - zmieniła temat Pandora. Potarła obolały kark.

- Byłaś doskonała. - Pocałował ją w policzek. - Prawdziwa gwiazda.

- Ta sztuczka z zakrwawionym no em była niezła - przyznała. - A jednak, gdyby się trzymali razem...

- Zorientowaliśmy się po tym telefonie do ciebie, e jedno z nich się załamało.

Okazało się, e to Meg miała dość. Dziwne, e jej nie poznałaś.

- Umiejętnie zmieniła głos. Wzięłam ją za męczyznę - przyznała Pandora. - Ale, ale...

wiesz, myślałam, czyby nie doinwestować ich klubu - powiedziała Pandora.

- Niezły pomysł - zgodził się Michael.

- Jak myślisz, co będzie teraz?

- Och, Carlson dogada się jakoś z pozostałymi, z wyjątkiem Biffa. Nie sądzę, byśmy musieli iść do sądu z powodu testamentu. Co do naszego drogiego kuzyna Biffa - Michael wzniosł w górę kieliszek szampana - będzie musiał stawić czoło powaniejszym oskarżeniom niż złośliwe kawały czy włamanie. Moje ja nie odzyskam swego telewizora, ale on będzie musiał zamienić ciemny garnitur na więzienny błękit.

- Na dodatek podbiłeś mu oko - zachichotała Pandora.

- Tak. - Michael wypił jeszcze trochę szampana. - Teraz pozostaje nam już tylko wytrwać ostatnie dwa tygodnie.

- I wszystko się skończy - dodała.

- Nie. - Ujął ją za rękę. - Dopiero się zacznie. - Pochylił się nad nią. - Od kiedy?

- Co od kiedy? - spytała.

- Od kiedy jesteś we mnie zakochana?

- Nie siedzę tu po to, aby podbudowywać twoje męskie ego - achnęła się.

- W porządku, a więc zacznijmy ode mnie. - Objął ją ramieniem. - Myślę, że się w tobie zakochałem, kiedy po powrocie z Wysp Kanaryjskich wszedłeś do salonu. Miałaś nogi do samej szyi i patrzyłaś na mnie z góry. Potem już nigdy nie byłem taki jak przedtem.

- Mam dość gierki, Michael - ucięła.

- I ja. - Przeciągnął palcem po jej policzku. - Powiedziałaś, że mnie kochasz, Pandoro.

- Pod presją.

- A więc będę nadal wywierał presję, bo już z ciebie nie zrezygnuję. Dlaczego nie mielibyśmy się od razu pobrać?

- Co? - wykrztusiła z trudem.

- Tutaj, w bibliotece. - Rozejrzał się dokoła. - Byłby niezły epilog.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- To proste. Oto fabuła. Ty kochasz mnie, ja kocham ciebie.

- To wcale nie jest proste - przekonywała. - Teraz byłam tutaj tylko ja, byłam pod ręką. Kiedy wrócisz do swoich tancerek o blond włosach i biuściastych statystek, to...

- Jakich tancerek? Nie znoszę tancerek o blond włosach.

- Michael, nie czas na arty.

- Zaczekaj. Kupisz sobie białą suknię, mo e i welon. W welonie ci będzie do twarzy.

Zamówimy masę kwiatów, zaprosimy pastora i urządzimy tradycyjną ceremonię ślubną. A potem zamieszkamy na stałe w Folley i ka de z nas zajmie się swoją karierą. Postaramy się, eby za rok, najwy ej za dwa, Sweeney i Charles mogli się zająć niemowlęciem. Co ty na to?

- Pocałował ją w koniuszek ucha.

- ycie to nie scenariusz... - zaczęła.

- Szaleję na twoim punkcie, Pandoro. Spójrz na mnie. Jako artystka, umiesz dojrzeć to, co kryje się pod powierzchnią. Nie powinnaś mieć z tym kłopotów, skoro zawsze mówiłaś mi, e jestem płytki.

- Myliłam się; Michael, jeśli to jakaś gra, uduszę cię gołymi rękami.

- Gry się skończyły. Kocham cię, to wszystko.

- To wszystko - mruknęła. - Chcesz się o enić?

- A jak myślisz? Wiem ju , czego się spodziewać po wspólnym yciu.

- Czy by? - zdziwiła się.

- Owszem. - Przytulił się do niej i pocałował, wkładając w to całą swoją miłość.

Otoczyła go ramionami. Mo e rzeczywiście wszystko jest proste.

- Kocham cię, Michael - szepnęła.

- A więc się pobierzemy - podsumował.

- Na to wygląda.

- Nie wiesz jeszcze, co cię czeka - ostrzegł i roześmiał się. - Zamierzam ci utrudniać ycie, jak się da, dlatego, e jesteś najbardziej irytującą kobietą, jaką zna historia. Rozumiemy się?

- A jak? Zawsze się rozumieliśmy. Pocałował ją w czoło, czubek nosa, usta.

- On rozumiał nas oboje. - Spojrzał na portret Jolleya. Podą yła za jego wzrokiem.

- Osiągnął to, co sobie zaplanował. Wyobra am sobie, e dobrze się bawi. - Potarła policzkiem o policzek Michaela. - Chciałabym, eby mógł być na naszym ślubie - westchnęła.

- A kto powiedział, e nie będzie? - Michael podniósł się i wziął kieliszki. Podał jej jeden. - Za Maximilliana Jolleya McVie.

- Za wuja Jolleya - powiedziała Pandora, stukając w jego kieliszek - i za nas.